

# EUROPA

pismo Instytutu  
Europy  
Wschodniej

2. 1987.

---

Wydawnictwo Organizacji Solidarnosc Walczaca

**PM**

PRAWY MARGINES

# EUROPA

pismo Instytutu  
Europy  
Wschodniej

redaguje zespół

2. 1987

---

Katowice, Warszawa, Wrocław



## OD REDAKCJI

Drugi numer pisma poświęcony jest głównie modnemu dziś tematowi Europy Środkowej. Pojęcie to interpretowane jest w różny sposób. Jedni rozumieją pod tym terminem małe kraje Europy Wschodniej, inni dopatrują się w nim spuścizny po Monarchii Austro-Węgierskiej, jeszcze inni zaś do Europy Środkowej zaliczają Niemcy, a także ich sąsiadów z południa. My skłaniamy się raczej ku pierwszemu rozumieniu tego pojęcia i dlatego koncentrujemy się głównie na prezentacji dorobku myśli opozycyjnej na ten temat z tej właśnie części Europy. Ponieważ dyskusję zapoczątkował Kurdera, pozwoliliśmy sobie jego tekst przedrukować, by czytelnik nie musiał go szukać nie wiadomo gdzie, bowiem w prasie oficjalnej na pewno go nie znajdzie. Głosy Balucha, Drawicza, Szarugi i Redaktora mają m.in. za zadanie zachęcić czytelników do udziału w dyskusji. Prezentujemy także obszerny esej Asha, który zapewne odegra jeszcze ważną rolę w dyskusji o Europie Środkowej.

Dalsze materiały łączą się w jakiś sposób z zasadniczym tematem, choćby tylko w sensie geograficznym. Mamy tu na myśli wywiady z węgierskimi opozycjonistami Harasztim i Koppadem oraz czeskim decydentem Liehmem. Już teraz pragniemy zaśygnalizować przekłady dalszych rozmów z węgierskimi opozycjonistami w następnym numerze. Artykuł o sytuacji w Rumunii wydał nam się bardzo aktualny. To, co tam się dzieje, może tylko napawać najwyższym niepokojem. Podobne rzeczy będą się dziać również u nas, jeśli pozwolimy na dalszy upadek kraju. Decydenci tego stanu rzeczy nie odwrócą. Wręcz przeciwnie. Nie są lepsi od Ceaușescu.

Ostatni esej Klausa Manna, w którym stara się on wytłumaczyć, dlaczego decyduje się na samobójczą śmierć, nie ma szans na ukazanie się w oficjalnym obiegu. Tekstu poruszającego zawartą w nim problematykę nie powinno zabraknąć w piśmie pod tytułem "Europa".

Wybraliśmy także obszerny fragment opowiadania autora z NRD, który spędził kilka lat w "pewnym socjalistycznym więzieniu" i "pobyt" ten opisał - jak nam się wydaje - dość ciekawie. Tekst ten powstał wcześniej, niż "Protokoły przesłuchań" Jürgena Fuchsa, wydane w Polsce przez NOWĄ.

# Milan Kundera Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej

1.

We wrześniu 1956 roku dyrektor węgierskiej agencji prasowej, kilka minut przedtem zanim artyleria ostrzelała jego biuro, wysłał w świat rozpaczliwy teleks o rozpoczętej tego dnia ofensywie rosyjskiej na Budapeszt. Depesza kończyła się słowami: "Zginieją za Węgry i Europę".

Co miało znaczyć to zdanie? Zapewne miało znaczyć, że rosyjskie czołgi zagrażają Węgom, a z nimi całej Europie. Ale w jakim sensie Europa była zagrożona? Czy rosyjskie czołgi gotowe były przekroczyć granice Węgier i ruszyć na Zachód? Nie. Dyrektor węgierskiej agencji prasowej chciał powiedzieć, że Europa jest zagrożona właśnie na Węgrzech. Gotów był zginąć, aby Węgry pozostały Węgrami i by pozostały Europą.

Nawet jeśli sens tego zdania jest jasny, to przecież nadal nas ono intryguje. Bowiem we Francji czy w Ameryce przywykliśmy sądzić, iż chodziło wówczas nie o Węgry, ani nie o Europę, ale o ustrój polityczny. Nikt by nie powiedział, że zagrożone były Węgry jako takie; tym bardziej jest niezrozumiałe, dlaczego Węgier stojący twarzą w twarz wobec śmierci przywołuje Europę. Czy Sołżenicyn, demaskując ucisk komunistyczny, powołuje się na Europę jako wartość naczelną, dla której warto umierać?

Nie. Zdanie "zginąć za ojczyznę i za Europę" jest nie do pomyslenia w Moskwie czy w Leningradzie, lecz właśnie w Budapeszcie lub w Warszawie.

2.

Czym bowiem jest Europa dla Węgra, Czecha albo Polaka. Narody te od początku należały do części Europy zakorzenionej w rzymskim świecie chrześcijańskim. Uczestniczyły we wszystkich fazach jego historii. Dla nich słowo "Europa" nie oznacza zjawiska ze sfery geografii, lecz jest pojęciem duchowym, synonimem słowa "Zachód". Z chwilą gdy Węgry przestają być Europą, tzn. Zachodem, wyrzucone zostają z kolein własnego losu, ze swej historii - tracą najgłębszą istotę swojej tożsamości.

Europa geograficzna, rozciągająca się od Atlantyku po Ural za sze była podzielona na dwie odrębnie rozwijające się połowy: jedna była związana ze starożytnym Rzymem i z kościołem katolickim /jej znakiem szczególnym jest alfabet łaciński/, druga zaś była zakotwiczona z Bizancjum i w kościele prawosławnym /znak szczególny: cyrylica/. Po 1945 roku granica między dwiema Europami przesunęła się o kilkaset kilometrów na zachód i narody, które dotąd uważały się za zachodnie, obudziwszy się pewnego poranka stwierdziły, że znajdują się na Wschodzie.

Po wojnie ukształtowały się w Europie trzy zasadnicze sytuacje: sytuacja Europy Zachodniej, sytuacja Europy Wschodniej oraz sytuacja Europy Środkowej. Ta ostatnia jest najbardziej skomplikowana, gdyż geograficznie Europa Środkowa jest środkiem, kulturalnie - Zachodem, a politycznie - od 1945 roku - Wschodem.

Ta pełna sprzeczności sytuacja Europy, którą nazywamy środkową, pozwala zrozumieć, dlaczego tam właśnie od 35 lat skupia się dramat Europy, wspaniała rewolta węgierska w 1956 roku i krwawa masakra, jaka po niej nastąpiła; praska wiosna i okupacja Czechosłowacji w 1968 roku; polskie zrywy w 1956, 1968, 1970 i w ostatnich latach. Niczego, co dzieje się w Europie geograficznej, na Zachodzie czy na Wschodzie, nie da się porównać z ciągiem buntów środkowo-europejskich ani pod względem dramatycznej treści, ani pod względem historycznej doniosłości<sup>1</sup>. Każdy z tych buntów był dziełem całej niemal ludności. Gdyby nie poparcie Rosjan, panujące reżymy nie utrzymałyby się nawet trzech godzin. Jednak tego, co dzieje się w Pradze lub w Warszawie nie można uważać za dramat Europy Wschodniej, obozu komunistycznego czy komunizmu, lecz właśnie za dramat Europy Środkowej.

Bowiem te poparte przez całe społeczeństwa zrywy są nie do pomyślenia w Rosji. Są nie do pomyślenia również w Bułgarii, która, jak wszyscy wiedzą, jest najbardziej stabilnym krajem obozu komunistycznego. Dlaczego? - Dlatego, że Bułgaria od zarania należy do cywilizacji Wschodu z racji religii prawosławnej, której pierwszymi misjonarzami byli zresztą Bułgarzy. Skutki ostatniej wojny światowej oznaczały więc dla Bułgarów poważną i godną ubolewania zmianę polityczną /prawa człowieka depcze się tam nie mniej niż w Budapeszcie/, nie były jednak cywilizacyjnym szokiem jak w przypadku Czechów, Polaków i Węgrów.

3.

Tożsamość narodu czy cywilizacji odbija się i streszcza w całości wytworów duchowych, którą zwykło się nazywać k u l t u r a. Jeśli ta tożsamość jest śmiertelnie zagrożona, życie kulturalne nasila się i rozwija, a kultura staje się wartością, wokół której skupia się cały naród<sup>2</sup>. Dlatego też we wszystkich rewoltach środkowo-europejskich zarówno pamięć kulturalna, jak współczesna twórczość, odgrywały rolę tak wielką i decydującą jak nigdy i nigdzie w żadnej z rewolt europejskich.

Pisarze skupieni w kole noszącym imię romantycznego poety Petőfi'ego rozpoczęli na Węgrzech refleksję krytyczną i w ten sposób przygotowali eksplozję 1956 roku. Teatr, film, literatura i filozofia pracowały przez długie lata na wyzwolicielską emancypację praskiej wiosny. Zdjęcia z afisza dramatu Mickiewicza, największego polskiego poety romantycznego, wywołało bunt studentów polskich w 1968 roku. Szczęśliwy związek kultury i życia, twórczości i życia, nadał buntom środkowo-europejskim niedoścignione piękno, oczarowując na zawsze nas, którzyśmy je przeżywali.

To co dla mnie piękne w najgłębszym znaczeniu tego słowa, intelektualistcie niemieckiemu lub francuskiemu zdaje się raczej podejrzane. Sądzi on, że rewolty nie mogą być autentyczne i naprawdę ludowe, jeśli ulegają zbyt wielkim wpływom kultury. To dziwne, ale dla niektórych pojęcia ludu i kultury są nie do pogodzenia. W ich oczach idea kultury łączy się z obrazem uprzywilejowanej eli-

ty. Dlatego też ruch Solidarności przyjęli z o wiele większą sympatią niż poprzednie rewoluty. Otóż, cokolwiek by nie mówić, ruch Solidarności w istocie swej nie różni się od wcześniejszych buntów; jest jedynie ich apogeum - najdoskonalszym /najlepiej zorganizowanym/ zwiazkiem ludu i prześladowanej, zaniedbanej, szycanowanej narodowej tradycji kulturalnej.

4.

Ktoś mógłby powiedziec na to, że jeśli nawet przyjąc, iż narody środkowoeuropejskie bronią swej zagrożonej tożsamości, to przecież ich sytuacja nie jest przez to wcale aż tak swoista. Rosja jest w podobnym położeniu: ona również traci swą tożsamość. Nie Rosja, lecz komunizm pozbawia narody ich esencji; zresztą Rosja pierwsza padła jego ofiara. I jeśli prawda jest, że rosyjski tżumi inne języki imperium, to przecież nie dlatego, że Rosjanie pragną zrussyfikować inne narody, lecz dlatego, że biurokracja rządziecka - głęboko anarodowa, antynarodowa, ponadnarodowa - potrzebuje technicznego narzędzia dla zjednoczenia swego państwa.

Rozumiem tę logikę, tak jak rozumiem drażliwość Rosjan cierpiących na myśl, iż można utożsamiać znieprawdzonego komunizm z ich ukochaną ojczyzną. Ale trzeba też zrozumieć Polaków, których ojczyzna - z wyjątkiem krótkiego okresu międzywojennego - od dwustuleci była podporządkowana Rosji i przez cały ten czas poddana russyfikacji, tyleż cierpliwej, co nieubłaganej.

Europa Środkowa będąca wschodnią granicą Zachodu zawsze była szczególnie wyczulona na niebezpieczeństwo rosyjskiej potęgi. Nie tylko Polacy. František Palacky, znakomity historyk i najwybitniejsza postać czeskiej dziewiętnastowiecznej polityki, w 1848 roku napisał słynny list do frankfurckiego parlamentu rewolucyjnego, w którym bronił i usprawiedliwiał cesarstwo Habsburgów, jedyną ochronę przed Rosją, "mocarstwem, które osiągnawszy dziś ogromną potęgę, pomnaża swą siłę bardziej niżby mógł to uczynić jakikolwiek kraj zachodni". Palacky ostrzega przed imperialnymi ambicjami Rosji, która usiłuje stać się "monarchią światową". tj. zmierza do panowania nad światem. "Światowa monarchia Rosji - powiada Palacky - byłaby wielkim i niesłychanym, nieszczęściem bez miary, ni granic". Według Palacky'ego Europa Środkowa powinna być domem równoprawnych narodów, które we wzajemnym poszanowaniu i pod osłoną wspólnego, silnego państwa pielęgnowałyby swe odrębności. To marzenie, podzielane przez wszystkie wybitne umysły środkowoeuropejskie, nigdy nie ziściło się w pełni, pozostało jednak potężnym obrazem Europy w całym bogactwie jej różnorodności, małą arcyeuropejską Europą, zmiaturyzowanym modelem Europy narodów opartej na regule: maksimum różnorodności na minimum przestrzeni. Jakże mogła nie przerażać jej Rosja budująca się na regule przeciwniej: minimum różnorodności na maksimum przestrzeni?

Istotnie, nic bardziej obcego Europie Środkowej z jej umiowaniem różnorodności niż jednostajna, ujednocająca i centralizująca Rosja, która z groźną determinacją przemienia wszystkie narody swego imperium /Ukraińców, Białorusinów, Ormian, Łotyszów, Litwinów itd./ w jeden naród rosyjski czy - jak powiemy dziś, w dobre powszechnej mistyfikacji słownika - w jeden naród radziecki.

Ale czy komunizm jest zaprzeczeniem rosyjskiej historii, czy raczej jej spełnieniem? - Z całą pewnością jest zarazem jej za-



przeczeniem /jej religijności, na przykład/ i spełnieniem /ziszczaniem jej centralizujących skłonności i imperialnych marzeń/. Od wewnątrz, widziany z Rosji, najbardziej uderza ten pierwszy aspekt - brak ciągłości. Z punktu widzenia podbitych najsilniej odczuwany jest aspekt drugi - ciągłość<sup>3</sup>.

5.

Ale może zbyt absolutnie przeciwstawiam Rosję cywilizacji zachodniej? Czyż Europa, choć podzielona na zachodnią i wschodnią, nie jest jednak całością zakorzenioną w Starożytnej Grecji w myśli judeochrześcijańskiej?

Zapewne, odległe, antyczne korzenie łączą Rosję z nami. Zresztą przez cały wiek XIX zbliżała się do Europy. Fascynacja była wzajemna. Rilke ogłosił Rosję swą duchową ojczyzną i wszyscy ulegli sile rosyjskiej powieści, nieodłącznej od naszej wspólnej kultury europejskiej.

To prawda i kulturalne zaręczyny dwu Europ pozostała wspaniałym wspomnieniem<sup>4</sup>. Niemniej jednak prawdą jest, że komunizm rosyjski ożywił stare, antyzachodnie obsesje rosyjskie i brutalnie oderwał Rosję od zachodniej historii.

Chcę podkreślić raz jeszcze, że na wschodniej granicy Zachodu silniej niż gdzie indziej postrzega się Rosję jako Anty-Zachód: jawi się ona nie jako jedno z wielu mocarstw europejskich, lecz jako szczególna, zupełnie inna cywilizacja. Mówi o tym Czesław Miłosz w "Rodzinnej Europie": w XVI i XVII wieku "Moskwa byli to barbarzyńcy z którymi toczono wojny na peryferiach jak z Tatarami i nie interesowano się nimi szczególnie... Z tego też okresu pustki na wschodzie pochodzi u Polaków pojęcie Rosji jako czegoś z z e w n ą t r z, poza orbitą świata<sup>5</sup>.

"Barbarzyńcami" zdają się ci, którzy reprezentują inny świat, inną cywilizację. Rosjanie nadal reprezentują ją dla Polaków. Kazimierz Brandys opowiada piękną historię o tym, jak pewien polski pisarz spotkał wielką poetkę Annę Achmatową. Uskarżał się przed nią na swoje ciężkie położenie - objął go zakaz druku, Achmatowa przerwała mu: "Grozi panu aresztowanie?" - Polak zaprzeczył. - "Wyrzucają pana ze Związku?" - "Nie" - "Więc o co panu chodzi?". Achmatowa była szczerze zdziwiona.

Brandys komentuje: "Takie są ruskie pocieszenia. W porównaniu z rosyjskim losem nic nie powinno się wydawać straszne. Dzieje się jednak inaczej. Rosyjski los nie jest wpisany w naszą świadomość, jest dla nas czymś obcym, nie poczuwamy się do niego - do żadnych pokrewieństw ani odpowiedzialności. Cięży nad nami, lecz nie jest naszym dziedzictwem. Zawsze to czułem w rosyjskiej literaturze. Bąłem się jej. Do dziś boję się niektórych opowiadań Gogola i całego Sałykowa-Szczedrina. Wolałbym nie znać ich świata, nie wiedzieć, że istnieje<sup>6</sup>.

Brandys nie odrzuca s z t u k i Gogola, lecz przeraża go ś w i a t, jaki ta sztuka przywołuje: oczarowuje nas i pociąga, gdy jest daleko, a odsłania całą swą straszną obcość, gdy otacza nas z bliska; ma inny/większy/ wymiar nieszczęścia, inny obraz przestrzeni /tak ogromnej, że giną w niej całe narody/, inny /powolny i cierpliwy/ rytm czasu, inny sposób śmiania się, życia i umierania<sup>7</sup>.

Oto dlaczego Europa, którą nazywam środkową odczuwa zmianę

swego losu po roku 1945 nie tylko jako katastrofę polityczną, lecz jako zakwestionowanie swej cywilizacji. Głębką racją oporu krajów środkowoeuropejskich jest obrona ich tożsamości, albo inaczej - obrona ich zachodniości.

6.

Nikt już nie robi sobie złudzeń co do ustroju krajów satelickich. Zapomina się jednak w czym tkwi sedno ich tragedii - zostały wymazane z mapy Zachodu. Jak wytłumaczyć, że to oblicze dramatu jest niemal niewidoczne? Można by wpiernw obwiniać samą Europę środkową: Polacy, Czesi i Węgrzy mają za sobą burzliwą, rozczłonkowaną historię, a tradycja państwowości jest u nich mniej silna i ciągną niż u wielu narodów europejskich. Z jednej strony przyparte do muru przez Niemców, z drugiej - przez Rosjan, narody te wyczerpały zbyt wiele sił w walce o przeżycie i własny język. Nie będąc w stanie przeniknąć wystarczająco głęboko do świadomości europejskiej, pozostały najmniej znaną i najbardziej kruchą częścią Zachodu: dodatkowo kryła je zasłona dziwnych i trudno dostępnych języków. Cesarstwo austro-węgierskie miało okazję stworzyć silne państwo w Europie Środkowej. Niestety, Austriacy byli rozdarci między aroganckim nacjonalizmem wielkich Niemiec a własną misją środkowoeuropejską. Nie zdołali zbudować federacyjnego państwa różnych narodów i ich porażka stała się nieszczęściem dla całej Europy. W 1918 roku niezadowolone narody środkowoeuropejskie rozbiły Cesarstwo, nie zdając sobie sprawy, iż mimo niedostatków było niezastąpione. W ten sposób po I wojnie światowej Europa Środkowa przekształciła się w strefę słabych/bezbronnnych państweczek, umożliwiając pierwsze podboje Hitlerowi i ostateczny triumf Stalinowi. Być może w europejskiej podświadomości zbiorowej państwa te nadal funkcjonują jako niebezpieczni wichrzyciele.

Dopatruję się również winy Europy Środkowej w tym, co nazwałbym "ideologią słowiańszczyzny". "Ideologia" mówię w cudzysłowie, gdyż jest to li tylko polityczna mistyfikacja sfabrykowana w XIX wieku. Czesi /mimo poważnych ostrzeżeń ze strony swych najbardziej reprezentatywnych polityków/ lubili nią wymachiwać, broniąc się naiwnie przed niemiecką agresywnością; natomiast Rosjanie posługiwali się nią chętnie dla usprawiedliwienia swych imperialnych zakusów. "Rosjanie lubią nazywać słowiańskim wszystko, co rosyjskie" stwierdził już w 1844 roku wielki pisarz czeski Karel Havlíček<sup>8</sup>, ostrzegając swoich rodaków przed ich głupim i nierealistycznym rusofilstwem. Nierealistycznym, gdyż w ciągu swej tysiącletniej historii Czesi nigdy nie mieli bezpośredniej styczności z Rosją. Mimo językowego pokrewieństwa nie mieli z Rosjanami żadnego wspólnego s w i a t a, żadnej wspólnej historii, żadnej wspólnej kultury, zaś stosunki Polaków z Rosjanami zawsze były walką na śmierć i życie.

Blisko sześćdziesiąt lat temu Józef Konrad Korzeniowski, znany pod nazwiskiem Joseph Conrad, zirytowany etykietką "duszy słowiańskiej", jaką chętnie mu przyczepiano z racji polskiego pochodzenia, pisał, iż nie ma nic bardziej obcego temperamentowi polskiemu z jego rycerskim poczuciem obowiązku moralnego i przesadnym poszanowaniem praw jednostki niż to, co w świecie literackim nazywa się "duchem słowiańskim". Jakże go rozumiem! Ja też nie znam nic żałośniejszego niż ten kult mrocznych głębi, ten sentymen-

lizm tyleż głośny, co pusty, który nazywają "duszą słowiańską" i przypisują mi czasami!<sup>9</sup>.

A jednak idea słowiańskiego świata stała się komunalem w historiografii<sup>10</sup>. Podział Europy po 1945 roku jednoczący ów rzekomy "świat" /włączając doń również biednych Węgrów i Rumunów, których język nie jest bynajmniej słowiański, lecz któż by się przejmował takim szczegółem/ mógł więc wydawać się rozwiązaniem niemal naturalnym.

7.

Czy jest zatem winą Europy Środkowej, że Zachód nawet nie zauważył jej zniknięcia? - Niezupełnie. Na początku stulecia mimo swej politycznej słabości stała się ogromnym, może największym, centrum kultury. Znaczenie Wiednia pod tym względem jest dziś dobrze znane, ale nigdy dość podkreślać, że oryginalność stolicy austriackiej byłaby niemożliwa bez zaplecza innych miast i krajów, które przez swą twórczość uczestniczyły w całej kulturze środkowoeuropejskiej. Szkoła Schönberga stworzyła system dodekafonii, zaś Węgier Bela Bartok, moim zdaniem jeden z dwu, trzech największych muzyków XX wieku, umiał znaleźć ostatnie oryginalne możliwości muzyki opartej na zasadzie tonalnej. Praga wydała Kafkę i Haška, których dzieła są wielkim powieściowym pendant do twórczości wiedeńskich - Musila i Brocha. Dynamika kulturalna krajów nie niemieckojęzycznych wzrosła jeszcze bardziej po roku 1918, kiedy Praga dała światu inicjatywę praskiego koła lingwistycznego i jego myśli strukturalistycznej<sup>11</sup>. W Polsce, wielka trójca - Gombrowicz, Schulz i Witkiewicz - zapowiadała modernizm europejski lat pięćdziesiątych, w szczególności tzw. teatr absurdu.

Pojawia się pytanie, czy ta wielka eksplozja twórcza była jedynie geograficzną koincydencją? Czy też może zakorzeniona była w długiej tradycji, w przeszłości? Innymi słowy: czy można mówić o Europie Środkowej jako o rzeczywistej całości kulturalnej mającej swą własną historię? A jeśli całość taka istnieje, to czy można ją określić geograficznie? Jakie są jej granice? Daremnie byśmy próbowali wyznaczyć je ściśle, gdyż Europa Środkowa nie jest państwem, lecz kulturą, losem. Jej granice są wyobrażeniowe i trzeba wyznaczyć je na nowo, wychodząc od każdej nowej sytuacji historycznej.

Na przykład już w połowie XV wieku Uniwersytet Karola w Pradze skupiał inteligencję /profesorów i studentów/ czeską, austriacką, bawarską-saską, polską, litewską, węgierską i rumuńską i już wtedy kiełkowała idea wielonarodowej wspólnoty, w której każdy by miał prawo do własnego języka. Pod wpływem tego uniwersytetu /którego rektorem był reformator Jan Hus/ powstały wówczas pierwsze przekłady Biblii na węgierski i rumuński.

Później wyłoniły się nowe sytuacje: rewolucja husycka, powstanie cesarstwa Habsburgów łączącego trzy niezależne państwa: Czechy, Węgry i Austrię, wojny z Turkami XVII-wieczna kontrreformacja. Środkowoeuropejska odrębność kulturalna objawiła się w pełni za sprawą nadzwyczajnego rozkwitu sztuki barokowej, która połączyła rozległy obszar od Salzburga do Wilna. Na mapie Europy barokowa Europa Środkowa /charakteryzująca się supremacją irracjonalności i dominującą rolą sztuk pięknych, zwłaszcza muzyki/ stała się przeciwstawnym biegunem Francji, którą cechowała supre-

macja racjonalizmu i dominująca rola literatury i filozofii. W epoce barokowej tkwią źródła niezwyklego rozwoju muzyki środkowoeuropejskiej, która od Haydna po Schönberga, od Liszta po Bartoka, streszcza w sobie ewolucję całej muzyki europejskiej.

W XIX wieku waśnie narodowe /Polaków, Węgrów, Czechów, Chorwatów, Słowenów, Rumunów i Żydów/ przeciwstawiły jedne narody drugim: choć niesolidarne, izolowane i zamknięte w sobie, przeżywały one jednak wspólne egzystencjalne doświadczenia narodu, który wybiera między istnieniem a nieistnieniem, między autentycznym życiem narodowym a asymilacją. Nawet panujący naród cesarstwa zmuszony był wybierać między swą austriacką tożsamością a fuzją z potężniejszym narodem niemieckim. Również Żydzi nie uniknęli tej kwestii. Erodzony w tej części Europy syjonizm, odrzucając asymilację, wybrał tę samą drogę co inne narody środkowoeuropejskie.

Nowe sytuacje powstały w wieku XX: rozpad Cesarstwa, aneksja rosyjska, długi okres buntów środkowoeuropejskich będących jednym wielkim zakładem o niewiadomą.

Tym co określa i wyznacza środkowoeuropejską całość nie mogą więc być granice /nieautentyczne, narzucone przez inwazję, podboje i okupacje/, lecz wspólne zasadnicze sytuacje, coraz inaczej grupujące te narody w wyobrażeniowych i zmiennych granicach, wewnątrz których trwa ta sama pamięć, to samo doświadczenie, ta sama wspólna tradycja.

8.

Rodzice Zygmunta Freuda pochodzili z Polski, ale on sam spędził dzieciństwo na Morawach, w moim rodzinnym kraju, podobnie jak Edmund Husserl i Gustaw Mahler. Pisarz wiedeński Joseph Roth również ma swe korzenie w Polsce; wielki poeta czeski Juliusz Zeyer urodził się w Pradze, w rodzinie niemieckojęzycznej i czeski był jego językiem z wyboru. Za to macierzystym językiem Hermanna Kafki był czeski, zaś jego syn, Franz, wybrał niemiecką. Pisarz Tibor Dery, kluczowa postać rewolucji węgierskiej 1956 roku, pochodził z rodziny niemiecko-węgierskiej, a mój drogi Daniël Kisz, wspinał się pisarzem, z węgiersko-jugosłowiańskiej. Cóż za planetarna losów narodowych u najbardziej reprezentatywnych osób! Wszyscy, których wymieniłem, są Żydami. Żadnej bowiem części świata geniusz żydowski nie naznaczył równie głęboko. Wszędzie obcy i wszędzie u siebie, wychowani ponad narodowymi waściami w XX wieku Żydzi byli głównym elementem kosmopolitycznym i integrującym Europę Środkową - byli jej intelektualnym spoiwem, kondensacją jej ducha, twórcami jej duchowej jedności. Dlatego ich Kocham i przywiązany jestem namiętnie i nostalgicznie do ich dzieciństwa, jakby było moje własne.

Naród żydowski jest mi drogi również dlatego, że moim zdaniem w jego losie koncentruje się, odbija i znajduje swój symboliczny obraz los środkowoeuropejski. Czym jest Europa Środkowa? - Leżącą między Niemcami a Rosją strefą małych narodów. Podkreślam słowa: mały naród. A kim są Żydzi, jeśli nie małym narodem par excellence - jedynym spośród wszystkich małych narodów, który przetrwał cesarstwa i niszczycielski marsz Historii.

Ale co to znaczy - mały naród? Proponuję następującą definicję: mały naród to taki, którego istnienie może zostać w każdej chwili zakwestionowane, który może zniknąć i o tym wie. Francuzi, Rosjanie czy Anglicy nie stawiają sobie pytania, czy ich naród



przetrwają. Ich hymny mówią o wielkości i wieczności. Natomiast hymn polski zaczyna się słowami: "Jeszcze Polska nie zginęła...".

Europa Środkowa, ojczyzna małych narodów, ma swą własną wizję świata opartą na głębokiej nieufności wobec historii. Historia, bożyszcze Hegla i Marksa, wcielenie Rozumu, który nas sędzi i o nas rozstrzyga, jest historią zwycięzców. A narody środkowoeuropejskie nie są zwycięzcami. Nierozdzielne z historią europejską nie mogą bez niej istnieć, ale są jakby odwrotną stroną tej historii, jej ofiarami i outsiderami. W pełnym rozczarowań doświadczeniu historii leży źródło oryginalności ich kultury, mądrości, niepowagi, która kpi sobie z wielkości i chwały. "Nie zapominajmy, że tylko przeciwstawiając się historii jako takiej, możemy oprzeć się tej dzisiejszej". Chciałbym wyrzucić to zdanie Gombrowicza na wrotach do Europy Środkowej<sup>12</sup>.

I dlatego w tej strefie małych narodów, które "jeszcze nie zginęły", kruchość Europy - całej Europy - widoczna była wcześniej i wyraźniej niż gdzie indziej. Bowiem w świecie współczesnym, gdzie władza koncentruje się coraz bardziej w rękę paru wielkich, w s z y s t k i m narodom europejskim grozi, że wkrótce staną się małymi narodami i podzielią ich los. W tym sensie los Europy Środkowej zdaje się antycypacją losu europejskiego w ogóle, a jej kultura nabiera tym większej aktualności.

Wystarczy przeczytać największe powieści środkowoeuropejskie: w "Somnabulikach" Brocha historia jawi się jako postępująca degradacja wartości; "Człowiek bez właściwości" Musila ukazuje społeczeństwo euforyczne, które nie wie, że jutro zniknie; w "Dzielnym wozaku Szwajku" Haška tylko struganie z siebie wariata pozwala zachować jeszcze wolność; powieściowe wizje Kafki mówią o świecie bez pamięci, świecie posthistorycznym. Całą wielką twórczość środkowoeuropejską od początku wieku po dziś można odczytywać jak długą medytację nad możliwym końcem cywilizacji europejskiej<sup>13</sup>.

9.

Dziś Europa Środkowa jest podporządkowana Rosji, z wyjątkiem małej Austrii, która raczej szczęśliwym trafem niż z innego powodu zachowała niepodległość, ale wyrwana ze środkowoeuropejskiego otoczenia straciła wiele ze swej odrębności i nie ma już zupełnie znaczenia. Zniknięcie środkowoeuropejskiego ogniska kultury było niewątpliwie jednym z największych wydarzeń stulecia dla całej cywilizacji zachodniej. Powtarzam więc pytanie: jak to możliwe, że przeszło niezauważone i nieśledzone?

Odpowiedź jest prosta. Europa nie zauważyła zniknięcia swego wielkiego centrum kulturalnego, ponieważ nie odczuwa już swej jedności jako jedności kulturalnej. Na czym w gruncie rzeczy opiera się jedność Europy? W średniowieczu opierała się na wspólnej religii. W epoce nowożytnej, gdy średniowieczny Bóg przemienił się w Deus absconditus, religia ustąpiła miejsca kulturze, która urzeczywistniała odtąd najwyższe wartości, w jakich ludność europejska rozpoznawała się i określała, z którymi się identyfikowała.

Otóż wydaje mi się, że w naszym stuleciu następuje kolejna zmiana, równie istotna jak ta, co dzieli średniowiecze od czasów nowożytnych. Jak niegdyś Bóg ustąpił miejsca kulturze, tak dziś z kolei kultura ustępuje miejsca.

Ale komu i czemu? W jakiej dziedzinie realizować się będą najwyższe wartości zdolne zjednoczyć Europę? Osiągnięcia techniki? Rynek? Środki masowego przekazu? /Czy wielkiego poetę, zastąpi wielki dziennikarz?/ A może polityka? Ale jaka? Prawicowa czy lewicowa? Czy ponad tym głupim a nieprzewidywalnym manicheizmem istnieje jeszcze jakiś wspólny, dostrzegalny ideał? Może zasada tolerancji, szacunek dla wierzeń i myśli drugiego? Ale czy tolerancja nie staje się czymś pustym i niepotrzebnym, jeśli nie chroni żadnej autentycznej twórczości ani żadnej potężnej myśli? A może dymisja kultury jest swego rodzaju wyzwoleniem i należy się mu radośnie poddać? A może Deus absconditus powróci, by zająć zwolnione miejsce, i stać się widzialnym? Nie wiem. Wydaje mi się tylko, że wiem, że kultura ustąpiła miejsca.

Hermann Broch był opętany tą ideą już w latach trzydziestych. Mówił, że "malarstwo stało się sprawą zupełnie ezoteryczną, należąca do muzealnego świata: nie budzi już żadnego zainteresowania, jest niemal reliktem minionej epoki". W owym czasie jego słowa wydawały się zdumiewające, ale dziś już nikogo nie dziwią. Sam przeprowadziłem mały sondaż, zadając spotykanym ludziom niewinne pytanie, jaki jest ich ulubiony malarz współczesny. I okazało się, że nikt nie miał ulubionego współczesnego malarza, a większość w ogóle nie znała nikogo.

Trzydzieści lat temu, gdy żyło pokolenie Matisse'a i Picassa, taka sytuacja była nie do pomyślenia. Od tego czasu malarstwo straciło wagę, stało się działalnością marginesową. Czy dlatego, że przestało być dobre? Lub też my straciliśmy do niego upodobanie i smak? Tak czy inaczej sztuka, która tworzyła styl epki i towarzyszyła Europie przez stulecia, poczuła nas albo myśmy ją porzucili.

A poezja, muzyka, architektura, filozofia? One również straciły zdolność jednoczenia Europy, przestały być podstawą jej jedności. Dla ludności europejskiej są to wydarzenia równie ważne jak dekolonizacja Afryki.

10.

Franz Werfel pierwszą część życia spędził w Pradze, drugą w Wiedniu, trzecią na emigracji - najpierw we Francji, później w Ameryce. Oto typowa środkowoeuropejska biografia. W 1937 roku znalazł się w Paryżu wraz z żoną, słynną Almą, wdowa po Mahlerze, zaproszony przez Organizację Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów na kolokwium poświęcone "przyszłości literatury". W swoim wystąpieniu Werfel sprzeciwił się nie tylko hitleryzmowi, ale i niebezpieczeństwu totalitarnemu w ogóle, ideologicznemu i dziennikarskiemu ogłupieniu, które zabija kulturę. Zakończył propozycją, która jego zdaniem mogła powstrzymać szatański proces, mianowicie założenia światowej Akademii Poetów i Myślicieli /Weltakademie der Dichter und Denker/. Członkowie Akademii w żadnym wypadku nie mogli być delegowani przez rządy. Wybór miał zależeć wyłącznie od wartości dzieła, a liczba członków, największych pisarzy świata, wynosić od 24 do 40. Misją tej niezależnej od polityki i propagandy Akademii byłoby "stawienie czoła upolitycznieniu i barbaryzacji świata".

Propozycję nie dość, że odrzucono, ale po prostu wysmiano. Oczywiście - była naiwna. Strasznie naiwna. Jak stworzyć taką nie-

zależną Akademię; w absolutnie upolitycznionym świecie, gdzie artyści i myśliciele byli już wszyscy nieuleczalnie "zaangażowani"? Musiała zdawać się komicznym zgromadzeniem pięknoduchów.

A jednak ta naiwna propozycja mnie wzrusza, bo zdradza rozrzuconą potrzebę odnalezienia jakiegoś autorytetu moralnego w świecie pozbawionym wartości, trwożne pragnienie, by rozległ się niesłyszalny głos kultury, głos Dichter und Denker<sup>14</sup>.

W mojej pamięci z tą historią łączy się wspomnienie poranka, kiedy po rewizji u mego przyjaciela, słynnego czeskiego filozofa, policja skonfiskowała tysiącstronicowy rękopis. Z Hradczanego, gdzie mieszkał, schodziliśmy na Kampe, minęliśmy most Manesa. Próbowaliśmy żartować: jakże policjanci rozszyfrują jego raczej hermetyczny, filozoficzny język? Ale żaden żart nie mógł ukoić bólu, zaradzić utracie dziesięciu lat pracy, jaką kosztował ten rękopis, którego kopii filozof nie miał.

Zastanawialiśmy się, czy nie wysłać listu otwartego za granicę, by nadać sprawie międzynarodowy rozgłos. Było dla nas jasne, że musimy zwrócić się nie do jakiejś instytucji czy męża stanu lecz tylko do kogoś stojącego ponad polityką i reprezentującego wartość bezdyskusyjną, powszechnie uznaną w Europie. A więc do osobistości ze świata kultury. Ale gdzie ją znaleźć? Zrozumieliśmy nagle, że kogoś takiego nie ma. Są oczywiście wielcy malarze, dramaturdzy i muzycy, ale nie zajmują już uprzywilejowanego miejsca autorytetów moralnych, uznanych przez Europę za jej duchowych przedstawicieli. Zrozumieliśmy, że kultura jako dziedzina, w której realizują się najwzwyższe wartości, już nie istnieje.

Szliśmy w stronę rynku Starego Miasta, w którego pobliżu wówczas mieszkałem; czuliśmy ogromną samotność i pustkę - pustkę europejskiej przestrzeni, skąd kultura powoli uchodziła<sup>15</sup>.

11.

Ostatnie wspomnienie Zachodu, jakie kraje środkowoeuropejskie zachowały z doświadczenia, dotyczy lat 1918-1938. Są do nich przywiązane bardziej niż do jakiegokolwiek innego okresu swej historii /dowódz tego nieoficjalne sondaże/. Zachowały więc obraz Zachodu wczorajszego, w którym kultura jeszcze nie ustąpiła całkowicie miejsca.

Tu chciałbym podkreślić pewną istotną okoliczność: buntów środkowoeuropejskich nie popierały gazety, radio czy telewizja, tzn. środki masowego przekazu. Przygotowały je, wypracowały i zrealizowały powieści, poezja, teatr, kino, historiografia, pisma literackie, masowe widowiska komiczne, dyskusje filozoficzne, czyli kultura. Środki masowego przekazu, dla Francuza czy Amerykanina niemal tożsame z obrazem współczesnego Zachodu, nie odegrały żadnej roli w tych buntach /podporządkowane były całkowicie państwu/<sup>16</sup>. Toteż gdy Rosjanie zajęli Czechosłowację, pierwszym tego skutkiem było totalne zniszczenie kultury czeskiej jako takiej. Miało ono trojaki sens: po pierwsze, zlikwidowano ośrodek opozycji; po drugie, podminowano tożsamość narodu, by tym łatwiej strawiła go cywilizacja rosyjska; po trzecie wreszcie, brutalnie położono kres epoce nowożytnej, tj. tej w której kultura reprezentowała jeszcze realizację najwyższych wartości.

Ten trzeci skutek wydaje się najważniejszy. Cywilizacja rosyjskiego totalitaryzmu jest bowiem radykalnym zanikaniem Zachodu.

du takiego, jaki narodził się u świtu epoki nowożytnej, opartej na myślącym i wątplącym ego, charakteryzującego się twórczością kulturalną pojmowaną jako ekspresja jedynego i niepowtarzalnego Ja. Inwazja rosyjska rzuciła Czechosłowację w epokę "postkulturalną", rozbrajając ją i ogołacając w obliczu rosyjskiej armii i wszechobecnej państwowej telewizji.

Wstrząśnięty tym potrójnym tragicznym wydarzeniem, jakim była inwazja na Pragę, przybyłem do Francji i próbowałem wytrzymać moim francuskim przyjaciółom reż kultury, jaka po tym nastąpiła: "Wyobraźcie sobie tylko! Zlikwidowano wszystkie pisma literackie i kulturalne! Wszystkie bez wyjątku! Czegoś takiego nie było jeszcze w historii, nawet za okupacji hitlerowskiej".

Moi przyjaciele patrzyli na mnie z pełnym zakłopotaniem pobłażaniem, którego sens zrozumiałem dopiero później. Gdy w Czechosłowacji zlikwidowano wszystkie pisma, wiedział o tym cały naród i wszyscy boleśnie odczuli ogromną wagę tego wydarzenia<sup>17</sup>. Gdyby we Francji lub w Anglii znikły wszystkie pisma, nikt by się nie spostregł, nawet ich wydawca. W Paryżu, nawet w bardzo kulturalnym środowisku, dyskutuje się przy kolacji o programach telewizyjnych, a nie o pismach. Bo kultura ustąpiła już miejsca. W Pradze przeżywalismy jej zniknięcie jak katastrofę, szok, tragedię, zaś w Paryżu przeżywa się je jak coś banalnego i nieważnego, jak nie-wydarzenie.

12.

Po rozbięciu Austro-Węgier Europa Środkowa straciła szańce. A czy nie straciła duszy po Oświęcimiu, który zmiotł naród żydowski z jej powierzchni? Czy istnieje jeszcze po oderwaniu od Europy w 1945 roku?

Jej twórczość i bunt wskazują, że "jeszcze nie zginęła". Lecz jeśli żyć, to istnieć w oczach tych, których kochamy - Europa Środkowa już nie istnieje. A ściślej, w oczach swej ukochanej Europy jest jedynie częścią imperium radzieckiego i niczym więcej.

I cóż dziwnego? Pod względem panującego systemu politycznego Europa Środkowa jest Wschodem; pod względem przeszłości kulturalnej - Zachodem. A ponieważ Europa traci poczucie własnej tożsamości kulturalnej, to w Europie Środkowej widzi jedynie jej ustrój polityczny. Innymi słowy, widzi w Europie Środkowej jedynie Europę Wschodnią.

Europa Środkowa musi więc opierać się nie tylko miążdżącej sile wielkiego sąsiada, lecz i niematerialnej sile czasu, który nieodwracalnie zostawia za sobą epokę kultury. I dlatego bunt środkowoeuropejskie mają w sobie coś konserwatywnego, powiedzielibym prawie anachronicznego: usiłują rozpaczliwie wskresić przeszłość kultury i epoki nowożytnej, gdyż tylko w takiej epoce, tylko w świecie, który zachowuje wymiar kulturalny, Europa Środkowa może jeszcze bronić swej tożsamości i być postrzegana taką, jaką jest.

Jej prawdziwą tragedią nie jest zatem Rosja, lecz Europa. Ta Europa, która dla szefa węgierskiej agencji prasowej reprezentowała wartość, dla której gotów był zginąć i zginął. Oddzielony żelazną kurtyną nie podejrzewał, że czasy się zmieniły i że w Europie Europa przestała być odczuwana jako wartość. Nie podejrzewał, że zdanie które wysłał teleksem poza granice swego nizinnego kraju, brzmiało przestarzałe i nie zostało zrozumiane.

Tłum. z oryginału francuskiego M.L.



## Przypisy

<sup>1</sup> Czy do tych buntów można zaliczyć rebelię robotników berlińskich w 1953 roku? Tak, ale los Niemiec wschodnich jest jednak odrębny. Nie istnieją dwie Polski, a Niemcy wschodnie są kawałkiem Niemiec, których egzystencja narodowa nie jest bynajmniej zagrożona. W ręku Rosjan ten kawałek gra rolę zakładnika, wobec którego Niemcy zachodnie i ZSRR prowadzą specjalną politykę, nie stosowaną wobec innych państw śródkowoeuropejskich, a której koszt, moim zdaniem, one kiedyś poniosą. Pyć może dlatego nie ma spontanicznej sympatii między Niemcami wschodnimi a sąsiadami. Dobrze to być o widać, gdy pięć armii Paktu Warszawskiego okupowało Czechosłowację. Rosjanie, Bułgarzy i Niemcy byli groźni i budzili lęk. Za to mógłbym opowiedzieć dziesiątki historii o Polakach i Węgrach, którzy robili co się da, by okazać niezgodę na okupację i otwarcie ją sabotować. Jeśli do tego polsko-węgierską czeskiego współzycia dodać prawdziwie entuzjastyczną pomoc Austrii dla Czechów oraz antyradziecką wściekłość jaka opanowała Jugosłowian, to okaże się, że okupacja Czechosłowacji z uderzającą jasnością ukazała tradycyjny obszar Europy Środkowej.

<sup>2</sup> Zewnętrzny obserwatorowi trudno zrozumieć ten paradoks: okres po roku 1945 jest dla Europy Środkowej najbardziej tragiczny, a zarazem najpłodniejszy w historii kultury. Dzieła powstałe czy to na emigracji /Gombrowicz, Miłosz/, czy w podziemiu /Czechosłowacja po roku 1968/, czy wreszcie oficjalnie, tolerowane przez władze zmuszone ustąpić pod naciskiem opinii publicznej, stanowią szczyty twórczości europejskiej.

<sup>3</sup> Leszek Kołakowski mówi: "Chociaż zgadzam się z Sołżenicynem co do tego, że w opresywności swojej system sowiecki prześcignął carat... to jednak nie prowadzi mnie to do idealizacji systemu, przeciwko któremu nasi przodkowie walczyli w warunkach strasznych, cierpieli śmierć, tortury i nicozności... Myślę, że Sołżenicyn ma skłonność do nie dającej się ani przeze mnie, ani pewnie przez żadnego Polaka strawić idealizacji caratu" /Zeszyty Literackie, Paryż 1983, Nr 2/.

<sup>4</sup> Najpiękniejszym związkiem rosyjsko-zachodnim jest dzieło Strawińskiego, które streszcza w sobie całą tysiącletnią historię muzyki zachodniej, a jednocześnie, przez swą muzyczną wyobraźnię, pozostaje głęboko rosyjskie. Innym udanym płodem związku Rosji z Europą Środkową są dwie wspaniałe opery wielkiego rusofila Leoša Janačka: "Katia Kabanowa" wg Ostrowskiego /1924/ oraz uwielbiana przeze mnie "Z domu umarłych" wg Dostojewskiego /1928/. Jest bardzo symptomatyczne, że te opery nigdy nie były wystawiane w Rosji, a nawet nie wie się tam o ich istnieniu. Komunistyczna Rosja odrzuca mezalianse z Zachodem.

<sup>5</sup> Nawet nagroda Nobla nie wzruszyła wydawców europejskich nadal obojętnych wobec dzieła Czesława Miłosza. Jest on chyba zbyt wielkim i subtelnym poetą, by stać się postacią naszej epoki. Jego eseistyczne książki "Zniewolony umysł" /1953/ i "Rodzina Europa" /1959/ to pierwsze wkliwie i nie manichejskie analizy rosyjskiego komunizmu i jego Drang nach Westen.

6 Jednym tchem przeczytałem rękopis amerykańskiego przekładu książki Brandysa, której polski tytuł brzmi: "Miesiące", zaś angielski - "Warsaw Diary". Jeśli nie chcecie poprzestać na komentarzach politycznych, lecz zgłębić istotę polskiego dramatu, koniecznie przeczytajcie tę wielką książkę! /Wkrótce ukaże się po francusku/.

7 Najpiękniejszy i najprzenikliwszy tekst, jaki kiedykolwiek czytałem o Rosji jako cywilizacji osobnej to "Rosja i wirus wolności" Ciorana wydany w zbiorze "Historia i utopia" /1960/. W "Fokusie istnienia" /1956/ również zawarte są celne myśli o Rosji i Europie. Wydaje mi się, że Cioran jest ostatnim myślicielem, który stawia jeszcze niemożliwą kwestię Europy. Robi to, ponieważ jest Rumunem, a jego kraj "wyposażony we wszystkie cechy idealnej i anonimowej ofiary istnieje, by zniknąć i jest cudownie zorganizowany, by dać się poznać". Europa zajmuje się już tylko Europa poarta.

8 Karel Havlíček Borovský miał 22 lata, kiedy w 1843 roku wyjechał do Rosji, gdzie spędził rok. Przybył tam jako entuzjastyczny słowianofil, by wkrótce stać się jednym z najsurowszych krytyków Rosji. Swe opinie wyraził w listach i w artykułach wydanych później w zbiorze. Są to inne "Listy z Rosji" pisane niemal w tym samym roku co listy de Custine'a i zgodne z sądami francuskiego podróżnika. /Podobienstwa są często zabawne. Custine: "Jeśli wasz syn jest niezadowolony z Francji, idźcie za moją radą: powiedzcie mu, żeby pojechał do Rosji. Kto poznał ten kraj dogłębnie, ten zawsze już będzie kontent, że mieszka gdzie indziej". Havlíček: "Jeśli chcecie Czechom wyświadczyć prawdziwą przysługę, opłaćcie im podróz do Moskwy!"/. Podobienstwo jest tym ważniejsze, że Havlíček, plebejusza i patriotę czeskiego, nie można podejrzewać o antyrosyjskie uprzedzenia. Jest on postacią nader reprezentatywną dla polityki czeskiej XIX wieku, zważywszy jego wpływ na Palacký'ego, a zwłaszcza na Masaryka.

9 Jest taka zabawna książeczka pt. "How to be an Alien", gdzie w rozdziale zatytułowanym "Soul and Understatement" autor mówi o duszy słowiańskiej: "Najgorszego rodzaju duszą jest dusza słowiańska. Ci, co ją posiadają, są na ogół nader głębokimi myślicielami. Np. chętnie mawiają: "Sa chwile, kiedy jestem wesoły oraz takie, kiedy jestem smutny. Jak to wytłumaczyć?" Albo: "Jestem tak zagadkowy. Bywa, że chciałbym być kimś innym, nie tym, kim jestem". Albo: "Gdy jestem sam w lesie o północy i przeskakuję z drzewa na drzewo, to myślę sobie często, że życie jest dziwne". Kto śmie kpić z szerokiej słowiańskiej duszy? Autor, George Mikes, jest oczywiście Węgrem z pochodzenia. Tylko w Europie Środkowej dusza słowiańska wydaje się komiczna.

10 Otwórzcie "Historię powszechną" wydaną w Encyklopedii Pledjady. Reformatora Kościoła katolickiego, Jana Husa, nie znajdziecie w towarzystwie Lutra, lecz Iwana Groźnego! I na próżno szukalibyście jakiegos treściwego tekstu o Węgrzech. Ponieważ nie da się zaliczyć Węgrów do "słowiańskiego świata", nie ma dla nich miejsca na mapie Europy.

<sup>11</sup> Myśl strukturalistyczna zrodziła się pod koniec lat dwudziestych w praktyce lingwistycznej. Byli w nim uczeni czescy, rosyjscy, niemieccy i polscy. W tym kosmopolitycznym środowisku Mukałowscy opracowali w latach trzydziestych swą estetykę strukturalną. Strukturalizm praski był organicznie zakorzeniony w XIX-wiecznym czeskim formalizmie. Tendencje formalistyczne były w Europie Środkowej silniejsze niż gdzie indziej, a to - jak sądzę - ze względu na dominujące miejsce muzyki w kulturze, a zatem i muzykologii, z istoty swej "formalistycznej".

Inspirując się formalizmem rosyjskim Mukałowscy radykalnie przewyższyli jego jednostronność. Strukturaliści byli sprzymierzeńcami poetów i malarzy praskiej awangardy: /antycypując sojusz, jaki we Francji zawiązał się 30 lat później/. Swym wpływem chronili sztukę awangardową przed wąską, ideologiczną interpretacją, jaka towarzyszyła wszędzie sztuce nowoczesnej. Dzieło Mukałowscy'ego, znane w całym świecie, nigdy nie było publikowane we Francji.

<sup>12</sup> Na temat "środkowoeuropejskiej wizji świata" czytałem dwie książki, które wysoko cenię. Jedna, bardziej literacka, nosi tytuł "Europa Środkowa: anegdota i historia", jest anonimowa /sygnowana - Józef K. i krąży w maszynopisie po Pradze/; druga, bardziej filozoficzna, to "Il mondo della vita: un problema politico", jej autorem jest genueński filozof Vaclav Belohradsky. Książka ta ukazuje się wkrótce we Francji /u Verdiera/ i zasługuje na najwyższą uwagę. Problematykę środkowoeuropejską zajmuje się od roku ważny periodyk wydawany przez Uniwersytet w Michigan: Cross Currents, a Yearbook of Central European Culture.

<sup>13</sup> Pisarzem francuskim, który stale powołuje się na powieść środkowoeuropejską, nie ograniczając się do pisarzy wiedeńskich, lecz wspominając również Polaków i Czechów, jest Pascal Lainé. Mówi o tym bardzo interesująco w książce wywiadów "Si j'ose dire" /Mercre de France/.

Czterech wymienionych tu pisarzy, do których mógłbym jeszcze dorzucić Witolda Gombrowicza, to dla mnie p l e j a d a, która stworzyła nową estetykę powieści okresu postproustowskiego. Jestem do nich przywiązany, gdyż naprawdę przejmuję mnie sztuka powieści /zrehabilitowali ją w czasach, gdy nikt już w nią nie wierzył/. Wszystkie inne tematy nie są moje. Dlaczego zatem rozprawiam o Rosji, buntach środkowoeuropejskich, historii? Dlatego, że zastępuję kogoś, kto powinien o tym mówić, ale się nie zjawia. Wypchnięto mnie zamiast niego, bym zabrał głos i nie umiem odmówić. Zawsze mam to wrażenie, kiedy poruszam te tematy, ale przysięgam sobie teraz, że to po raz ostatni.

<sup>14</sup> Wystąpienie Werfla wcale nie było naiwne i nie zestarzało się. Przypomina mi wykład Roberta Musila wygłoszony w 1935 roku na Kongresie Obrony Kultury w Paryżu. Tak jak Werfel, Musil widzi niebezpieczeństwo nie tylko w faszyzmie, ale i w komunizmie. Obrona kultury nie oznacza dla niego zaangażowania jej w walkę polityczną /jak to wszyscy wówczas rozumieli/; przeciwnie, trzeba chronić kulturę przed ogłupiającym upolitycznieniem. Obydwa zdawali sobie sprawę, że we współczesnym świecie techniki i masowego przekazu kultura ma niewielkie szanse. Wystąpienia Musila i Werf-

la zostały bardzo źle przyjęte w Paryżu. A przecież gdybym miał dziś zabrać głos w dyskusjach polityczno-kulturalnych, jakie wokół siebie słyszę, to nie miałbym prawie nic do dodania do tego, co już powiedzieli. W takich chwilach czuję się do nich niezmiernie przywiązany i nieuleczalnie środkowoeuropejski.

<sup>15</sup> Wreszcie, po długich wahaniach, wysłał jednak ten list do Jean Paul Sartre'a. Tak, to była ostatnia wielka postać świata kultury, choć właśnie on ze swą koncepcją "zaangażowania" teoretycznie przygotował grunt do abdykacji kultury jako autonomicznej, odrębnej i nieredukowalnej siły. Wydaje mi się zresztą, że właśnie dzięki tej kapitulacji przed polityką /a także dzięki swej fizycznej obecności na scenie polityki/ zdołał zachować tak wpływową pozycję, o jakiej Rene Char, Bergman, Beckett czy Alain Resnais nie mogli nawet marzyć. W dzień jego pogrzebu pomyslałem z melancholią o moim praskim przyjacielu: teraz jego list nie znalazłby już żadnego adresata.

<sup>16</sup> Trzeba jednak wspomnieć o słynnym wyjątku: w pierwszych dniach okupacji rosyjskiej nielegalne programy radia i telewizji odegrały ogromną rolę. Ale nawet wtedy dominował w nich głos k u l t u r y czeskiej w najszerszym znaczeniu tego słowa.

<sup>17</sup> Tygodnik Literární noviny w nakładzie 300 000 egzemplarzy /w kraju liczącym dziesięć milionów mieszkańców/ był wydawany przez Związek Pisarzy Czeskich. Przez całe lata przygotowywał praską wiosnę, a następnie był jej trybuną. Strukturą swą nie przypominał tak popularnych w Ameryce i Europie i wszędzie jednakich tygodników typu Time. Był naprawdę literacki: można w nim było znaleźć kroniki poświęcone sztuce i analizy książek. O historii, socjologii i polityce wypowiadali się nie dziennikarze, lecz pisarze, historycy i filozofowie. Nie znam żadnego europejskiego tygodnika, który by w naszym stuleciu odegrał równie ważną rolę historyczną i odegrał ją równie dobrze. Czeskie miesięczniki literackie wychodziły w nakładzie od 10 000 do 40 000 egzemplarzy, a ich poziom był - mimo cenzury - znakomity. Podobne znaczenie mają czasopisma w Polsce: ukazują się tam dziś setki /!/ pism w podziemiu.



# Timothy Garton Ash

## Czy istnieje Europa Środkowa?

Europa Środkowa powróciła. Przez trzy dekady po 1945 roku nikt o niej nie mówił w czasie teraźniejszym; była tak odległa jak starożytna Niniwa i Tyr. W krajach niemieckojęzycznych słowo Mitteleuropa wydawało się umrzeć wraz z Adolfem Hitlerem, przetrwawszy jedynie jako słowo - widmo "Mitropa" w niemieckich wagonach restauracyjnych. W Austrii, jak zauważył były kanclerz Fred Sinowatz, "jeszcze dziesięć lat temu nikomu nie wolno było nawet wymienić słowa Mitteleuropa". W Pradze i Budapeszcie idee Europy Środkowej pielęgnowano w czasie prywatnych spotkań ludzi o zbliżonych poglądach, ze sfery publicznej zniknęła jednak całkowicie, tak jak na Zachodzie. Porządek postjałtański podyktował ścisłą i jedyną dyktometrię. Europa Zachodnia zaakceptowała ją bez zastrzeżeń, podciągając pod nazwę Europy Wschodniej wszystkie te części historycznej Europy Środkowej, Środkowo-wschodniej i Południowo-wschodniej, które po 1945 roku dostały się pod radziecką dominację. Europejska Wspólnota Gospodarcza dopełniła semantycznego triku, przywłaszczając sobie ten bliżej nie sprecyzowany przymiotnik w nazwie.

W ciągu ostatnich kilku lat zaczęliśmy znów mówić o Europie Środkowej i to w czasie teraźniejszym. Nowa dyskusja zapoczątkowana została nie w Berlinie czy Wiedniu, ale w Pradze i Budapeszcie. Człowiekiem, który zdecydowanie przyczynił się do jej rozpowszechnienia na Zachodzie był Czech Milan Kundera /patrz jego esej "Tragedia Europy Środkowej". Następnie Austriacy Niemcy zaczęli ostrożnie, na swój sposób, rehabilitować pojęcie, niegdys tak bardzo ich własne. Przywódca Niemiec Wschodnich, Erich Honecker mówił o niebezpieczeństwie wojny nuklearnej w Mitteleuropie. Zachodniemiecki socjaldemokrata Peter Glotz stwierdził, cokolwiek by to znaczyło, że Republika Federalna "jest gwarantem kultury Mitteleuropy". Wiedeń Kurta Waldheima natomiast był ostatnio gospodarzem sympozjum o elektryzującym tytule "Heimat" /Ojczyzna/Mitteleuropa". Dwuznaczne uznanie dla nowej aktualności idei Europy Środkowej przyszło nawet z centralnego organu PZPR Trybuna Ludu, która opublikowała w tym roku pełen żółci atak na to, co nazywano "Mitem Europy Środkowej".

W podstawowym swym znaczeniu termin Europa Środkowa /lub Środkowo-wschodnia/ jest w oczywisty sposób użyteczny. Nawet jeżeli tylko przypomina on czytelnikowi amerykańskich i brytyjskich gazet, że Berlin Wschodni, Praga i Budapeszt są niezupełnie w tym samym

Artykuł ten, którego tytuł oryginalny brzmi: "Does Central Europe exist?", ukazał się w The New York Review of Books, 9.X.1986.

miejscu co Kijów i Władywostok, że Syberia nie zaczyna się na Checkpoint Charlie<sup>2</sup> - służy to dobremu celowi. Również wtedy, gdy sugeruje to amerykańskim lub brytyjskim studentom, że stłia naukowe nad tym regionem mogłyby być czymś więcej niż jedynie przypisami do sowietologii. Oczywiście głosy z Pragi i Budapesztu, które zainicjowały tę dyskusję, oznaczają coś znacznie szerszego i głębszego.

Opublikowanie po angielsku najważniejszych esejów politycznych trzech wybitnych pisarzy - Vaclava Havla, György Konrada i Adama Michnika, Czecha, Węgry i Polaka, daje nam szansę zbadania mitu i rzeczywistości. Absurdem byłoby utrzymywanie, że jakkolwiek pisarz jest "reprezentatywny" dla swego narodu, zresztą Havel, Michnik i Konrad są różnymi pisarzami, tworzącymi w całkowicie odmiennych warunkach.

Havla można najogólniej określić jako rzecznika niezależnych czeskich intelektualistów, mimo że istnieje ogromna różnorodność poglądów nawet w ramach Karty 77 /co możemy obserwować na przykładzie esejów jej sygnatariuszy, zebranych przez Havla pod wspólnym tytułem "Siła bezsilnych"/. Jego eseje polityczne to wspaniałe poetyckie, filozoficzne medytacje, poszukujące głębszego znaczenia przeżyć, "wykopujące słowa razem z korzeniami" - jak to kiedyś określił Karl Kraus, ale z rzadka dotyczące politycznej powierzchni rzeczy. /Havel nie wymienia nawet nazwisk obecnych komunistycznych przywódców Czechosłowacji. Wspaniała wzgarda! Wykazuje on ogromną konsekwencję w sposobie myślenia, poczynając od brzemiennej w treści esaju "Siła bezsilnych" napisanego na jesieni 1978 roku, poprzez wystąpienie na Uniwersytecie w Tuluzie w 1984 roku z okazji otrzymania doktoratu honoris causa, aż do listu otwartego skierowanego do zachodnich ugrupowań pacyfistycznych, opublikowanego w 1985 roku jako "Anatomy of Reticence". W jego pisarstwie słychać ciszę wiejskiego domku albo celi więziennej - za udział w Komitecie Obrony Nieskusznie Prześladowanych - sam był nieskusznie represjonowany i więziony od 1979 do 1983, słychać cichy głos człowieka, który miał dużo czasu na samotne rozmyślenia, dramaturga, przez okoliczności i dyktat sumienia zmuszonego do odgrywania roli dysydenta mimo braku temperamentu działacza politycznego. Jego pogarda dla polityki jest charakterystyczna dla Czechosłowacji gdzie ludziom trudno jest uwierzyć, by cokolwiek ważnego mogło się zmienić w zastygłej "znormalizowanej" rzeczywistości starczego reżimu Husaka.

Michnik natomiast widział, jak zatrzęsa się ziemia w Polsce. Chociaż jest historykiem z zawodu, większą część swego dorosłego życia spędził aktywnie zaangażowany w działania politycznej opozycji. Centralna postać w KSS KOR, potem doradca Solidarności, odwrotnie niż Havel czy Konrad pisze wskazując, że będzie czytany przez poszukujących natychmiastowej wskazówki politycznej. Działacz podziemnej Solidarności, studenci zaangażowani przy wydawaniu samizdatów liczą, że da praktyczną odpowiedź na pytanie "Co robić?" Nadaje to ostrości jego pracy politycznej, ale również czyni ją bardziej kontrowersyjną.

Podobnie jak Havel, Michnik jest bohaterem dla wielu swoich rodaków. W przeciwieństwie do Havla jego poglądy są zawzięcie dyskutowane. Tradycja KOR-u, którego jest być może najwyraźniejszym

rzecznikiem /a z pewnością najbardziej błyskotliwym eseistą/, rywalizuje - jeśli chodzi o popularność - z poglądami, które mogą być określone z różnym stopniem dokładności jako katelicko-pozytywistyczne /w specyficznym, polskim rozumieniu tego terminu/, katolicko-nacjonalistyczne, liberalne, albo nawet neokonserwatywne. Zdziwiająco, że większość prac Michnika została napisana w więzieniu i przeszmuglowana na zewnątrz pod nosem więziennych dozorców generała Jaruzelskiego /oprócz prawie 300 stron esejów politycznych, zawierających "Rzecz o kompromisie", Michnik napisał również 285-stronicową książkę, złożoną z esejów literackich/. Jego styl jest często polemiczny, pełen ironii zgrzytliwej niczym żelazny pilnik przecinający pręty krat, ironii, która jest jednak modulowana poczuciem moralnej odpowiedzialności i przenikliwą inteligencją polityczną. Podobnie jak Havel wykazuje on ogromną konsekwencję w sposobie politycznego rozumowania, poczynając od eseju z 1976 roku pod tytułem "Nowy ewolucjonizm", poprzez "Listy z więzienia w Gdańsku" z 1985 roku /opublikowane po raz pierwszy po angielsku w The New York Review<sup>3</sup>/, aż po ostatni obszerny esej "Rzecz o kompromisie", który do tej pory pojawił się jedynie w języku polskim.

Konrad jest inny. Nie tworzy w więzieniu, czy w cieniu jego murów, lecz w Wiedniu i Berlinie Zachodnim lub ich sąsiedztwie. W tle jego długich, dygresyjnych rozpraw nie słyszymy trzaskania więziennych drzwi, ale brzęk filiżanek do kawy w Cafe Landtmann lub swojski zgiełk seminariów pacyfistycznych ugrupowań. W swojej książce "Antypolityka" /niemiecki podtytuł "Mitteleuropäische Meditationen"/ i kolejnych artykułach Konrad, wyróżniający się pisarz i socjolog, rozwijał styl literacki, który można by nazwać secesją - barwny, bogaty, ekspansywny i ozdobny. "Antypolityka" to "Sammelsurium", suma idei, wyławianych przezeń jedna po drugiej, po krótkiej zabawie przekształcanych i porzucanych na rzecz innych idei, ładniejszych, młodszych /choć niestety sprzecznych/, tylko po to, by znów je pieścić i przedstawiać inaczej kilka stron dalej. Dzięki temu eseistyka Konrada zarówno stymuluje jak i drażni. Wbrew utartemu wrażeniu, panującemu na Zachodzie, niewiele jest osób w Budapeszcie, które by uważały Konrada za osobę "representatywną" nawet w sposób tak ograniczony, jak w przypadku Michnika czy Havla. Z drugiej strony tym samym ludziom trudno byłoby wskazać kogoś innego, kto obejmowałby w połowie tak duży obszar intelektualny w bardziej "representatywny" sposób.

Tak więc Havel, Michnik i Konrad, pisarze barzo różni, nie są swymi odpowiednikami. Odmienne uplasowani we własnych krajach nie są też dla nich w pełni "representatywni". Wszyscy trzej są jednak szczególnie wyczuleni na pytania, które zachodni czytelnik chciałby im postawić i zainteresowani w udzieleniu na nie odpowiedzi. Havel, Michnik i Konrad są w równym stopniu zaangażowani w dialog między swymi krajami. "Siła bezsilnych" Havla została specjalnie napisana jako początek projektowanego dialogu między Kartą 77 a KOR-em. Omawiając bogactwo polskiego samizdatu Michnik podkreśla prace "szczególnie popularnego Vaclava Havla", zarówno Havel jak i Węgier Miklos Haraszi pojawili się obok Michnika w Komitecie redakcyjnym polskiego niezależnego kwartalnika Krytyka. Konrad nieustannie nawiązuje do polskich i czeskich doświadczeń zaś w pewnym frapującym fragmencie odwołuje się do Polaka określo-

lonego jedynie jako Adam - wiadomo, że chodzi o Michnika. Jeżeli więc istnieje jakaś wspólna "środkowoeuropejska" płaszczyzna, możemy w sposób uzasadniony oczekiwać, że odkryjemy ją w politycznych esejach owych trzech autorów. Jeżeli nie znajdziemy jej tutaj, to najprawdopodobniej nie istnieje ona wcale.

W tekstach Havla i Konrada występuje interesujący semantyczny podział. Obaj autorzy używają terminów "Europa wschodnia" lub "wschodnioeuropejski", wtedy gdy kontekst jest obojętny lub negatywny. Kiedy zaś piszą Europa Środkowa lub Środkowo-wschodnia, wypowiedź jest nieodmiennie zabarwiona pozytywnie, afirmująca lub wręcz całkowicie emocjonalna. W "Antypolityce" Konrad pisze o "nowej środkowo-europejskiej tożsamości", o "świadomości Europy Środkowej", o "strategii środkowo-europejskiej". "Żądanie samorządu" - sugeruje on - "skupia wokół siebie ideologię nowej Europy Środkowej". "Fewien charakterystyczny środkowo-europejski sceptycyzm - kontynuuje Havel w "Anatomy of Reticence" - jest nieuchronnie częścią duchowego, kulturowego i intelektualnego zjawiska, jakim jest Europa Środkowa... Sceptycyzm ten mało ma wspólnego z powiedzmy sceptycyzmem angielskim. W ogóle jest on raczej dziwny, trochę tajemniczy, często tragiczny, często wręcz heroiczny". Dalej w tym samym esejku Havel mówi o środkowo-europejskiej umysłowości, "sceptycznej, trzeźwej, antyutopijnej, krytycznej", jednym słowem takiej, jaką uważamy za kwintesencję umysłowości angielskiej. Z kolei Konrad twierdzi: "Było historycznym nieszczęściem Europy Środkowo-wschodniej, iż nie mogła stać się niepodległą po upadku wschodniej, tatarsko-tureckiej i później austro-węgierskiej hegemonii Zachodu, i że znowu dostała się pod hegemonię wschodnią, tym razem typu świecko-rosyjskiego. To właśnie uniemożliwia naszymu obszarowi skorzystanie z opcji zachodniej, przy tej tysiąc lat temu, śmiało reprezentuje ona nasze najgłębsze historyczne inklinacje" /podkreślenia T.G.A./.

W tym fragmencie historia została rzeczywiście przetworzona w mit. Tendencja mityczno-poetycka - skłonność przypisywania przeszłości Europy Środkowej tego, co ma charakteryzować jej przyszłość, przemieszczenie tego, co być powinno z tym, co było - jest typowe dla nowej środkowo-europejskości. Mamy rozumieć że to co było naprawdę środkowo-europejskie, było zawsze zachodnie, racjonalne, humanistyczne, demokratyczne, sceptyczne i tolerancyjne. Reszta była "wschodnio-europejska", rosyjska, być może niemiecka. Europa Środkowa to "Dichter und Denker", Europie wschodniej zaś pozostaje rola "Richter und Henker".

Najwyraźniejsze i najbardziej ekstremalne oddanie tej tendencji pochodzi od Milana Kundery. Jego Europa Środkowa jest lustrzanym odbiciem Rosji Sołżenicyna, który twierdzi, że komunizm jest dla Rosji tym, czym choroba dla człowieka nią dotkniętego. Kundera zaś mówi, że komunizm jest dla Europy Środkowej jak choroba i ta chorobą jest Rosja. Środkowo-europejski mit Kundery jest więc w frontalnej kolizji z rosyjskim mitem Sołżenicyna. Absurdalne wykluczenie przez Kunderę Rosji z Europy /nie aprobowane przez Havla i Konrada/ zostało najwymowniej skrytykowane przez Josipa Brodskiego. Jak zauważa on "system polityczny, który zawiódł pana Kunderę, jest w równym stopniu produktem zachodniego racjonalizmu jak i wschodniego radykalizmu emocjonalnego". Czy nie moglibyśmy się posunąć o

krok dalej? Czyż nie istnieją specyficzne, środkowo-europejskie tradycje, które co najmniej ułatwiły wprowadzenie reżimów komunistycznych na Węgrzech i w Czechosłowacji, tradycje, które reżimy te znakomicie przekazują dalej aż po dziś dzień?

Superbiurokratyczna statyczność i formalistyczny legalizm sprowadzone do absurdalnych /czasem wręcz nieludzkich/ ekstremów były szczególnie charakterystyczne dla Europy Środkowej przed 1914 rokiem. I dlatego najdokładniejszą, najgłębszą, najbardziej przerażającą zapowiedź totalitarnych koszmarów znajdziemy w pracach najbardziej charakterystycznych środkowo-europejskich autorów XX wieku - Kafki, Musila, Brocha i Rotha. Cóż bowiem było bardziej charakterystyczne dla historycznej Europy Środkowej - kosmopolityczna tolerancja czy nacjonalizm i rasizm. Jak wymownie zauważył Francois Bondy /odpowiadając Kunderze/, jeżeli Kafka był dzieckiem Europy Środkowej, to był nim również Adolf Hitler. I znowu zadaje sobie pytanie: "Kiedy to "umysłowość środkowo-europejska" jest "sceptyczna, trzeźwa, antyutopijna, krytyczna"? Od tysiąca lat, jak to wydaje się sugerować Konrad? Od 1948 roku, kiedy, jak to jaszkrawo przypomina Kundera w "Księdze śmiechu i zapomnienia", najbardziej środkowo-europejscy intelektualści połączyli dłonie we wspólnym tańcu na ulicach miast, by powitać zejście nieba na ziemię? A może jest tak tylko od roku 1968?

Mit odrębnej przeszłości środkowo-europejskiej jest być może dobrym mitem. Tak jak rosyjski mit Sołżenicyna jest celowo wyolbrzymiony, by rzucić wyzwanie aktualnie panującym przekonaniom. Podobnie jak to się stało ze współczesnym zachodnioeuropejskim mitem zamachu na Hitlera 20 czerwca 1944 roku /zgodnie z którym konspiratorzy mieli być prawdziwymi liberalnymi demokratami, wzorem dla przyszłych obywateli Republiki Federalnej/ jego wpływ na młodsze pokolenie może być inspirujący. Czyż więc nie powinniśmy pozwolić dobrym mitom kłamać? Sądzę, że nie. Podobnie uważają Havel i Konrad, czy to bezpośrednio sprowokowani, czy też na kartach swoich książek.

Pod koniec lat siedemdziesiątych czechosłowacki historyk J. Mlynář /piszący pod pseudonimem Danubius/ rozpoczął w Pradze fascynującą i wielce owocną dyskusję, podczas której dowodził, że wysiedlenie Niemców sudeckich bezpośrednio po II wojnie światowej przez niekomunistyczny rząd czechosłowacki było aktem niehumanitarnym i "totalitarnym", który poprzedził i torował drogę nadchodzącemu totalitaryzmowi komunistycznemu. "Nie zapominajmy" - w poruszający sposób przypominał czeski pisarz Jiří Gruša podczas nieoficjalnego sympozjum na temat kultury, które odbyło się w zeszłym roku w Budapeszcie - "że to my /pisarze/ gloryfikowaliśmy współczesne państwo", i że "nasze nacjonalistyczne ody można znaleźć we wszystkich podręcznikach Europy". Havel podejmując te tezę podkreślał, iż wielu jego kolegów intelektualistów także "popadło w powojenną utopię". Konrad zaś deklaruje bez ogródek: "W końcu to my, środkowi Europejczycy, rozpoczęliśmy dwie wojny światowe". Jest więc w tej nowej dyskusji o Europie Środkowej, toczącej się w Pradze i Budapeszcie, mimo że jej uczestnicy pobieżają czasami tendencjom mityczno-poetyckim, rozwinięte poczucie historycznej odpowiedzialności, świadomość głębokiego braku jednoznaczności historii, mówiąc krótko - zrozumienie, że Europa Środkowa nie jest by-

najmniej "częścią Zachodu znajdującą się obecnie na Wschodzie".

Oprócz niejednoznaczności historycznych mamy do czynienia z geograficznymi. Podobnie jak w przypadku całej Europy, trudno być zupełnie zgodnym co do granic Europy Środkowej. Niemcy umieszczają jej centrum w Berlinie, Austriacy w Wiedniu. Tomasz Masaryk określił ją jako "szczególną strefę małych narodów rozciągającą się od przyłądka Północnego do przyłądka Matapan i zamieszkającą przez Lapończyków, Szwedów, Norwegów, Duńczyków, Finów, Estończyków, Łoży-szy, Litwinów, Polaków, Łużyczan, Czechów, Słowaków, Węgrów, Serbo-Chorwatów, Słoweńców, Rumunów, Bułgarów, Albańczyków, Turków i Greków" - ale nie przez Niemców i Austriaków. Tak jak w przypadku Europy jako całości, najtrudniej jest określić granicę wschodnią. Czytelnik może się zastanawiać, dlaczego piszę tyle o Pradze i Budapeszcie, a nie o Warszawie, o Havlu i Konradzie, a nie o Michniku. Przyczyna jest prosta. Sam Michnik nigdy nie mówi o Europie Środkowej. W swych esejach często nawiązuje do europejskiej historii i bieżących problemów krajów "wschodnioeuropejskich", ale nigdzie nie znalazłem ani jednego odwołania się do Europy Środkowej. Nie jest to bynajmniej dziwne: tematyka ta rzadko pojawiała się w ciągu ostatnich lat w samizdatach publikowanych w Polsce.

W południowej Polsce - dawnej Galicji - do tej pory od czasu do czasu powraca uczucie nostalgii za wytwornym chaosem rządów Habsburgów, za tym, co Musil nazywa "kakanische Zustände". /W redakcji krakowskiego pisma Tygodnik Powszechny portret cesarza Franciszka Józefa wisł obok licznych portretów papieży/. Michnik, jak większość przedstawicieli demokratycznej opozycji, doskonale rozumie, że małe państwa położone między Rosją a Niemcami przyczyniły się do własnej destrukcji narodowymi rywalizacjami okresu międzywojennego i dlatego, jeżeli kiedykolwiek miałyby stać się niepodległe, powinny współpracować tak blisko jak to możliwe - do konfederacji włącznie. /Polski rząd emigracyjny w Londynie i Rada Wyzwolenia Czechosłowacji w Nowym Jorku potwierdziły ostatnio deklarację Sikorski-Benesz z 1942 roku, zawierającą projekt utworzenia konfederacji państwa polskiego i czechosłowackiego/. Nadal jednak dla większości Polaków spojrzenie na Wschód, na rozległe terytoria, które przez wieki były częścią historycznej Polski, jest co najmniej równie ważne, biorąc pod uwagę względy emocjonalne, kulturowe i geopolityczne. Tam właśnie leży półmityczna Litwa, która w swej poezji i prozie sławił Czesław Miłosz, a gdy papież Jan Paweł II mówi o Europie, jego oczy wizjonera i wygnańca patrzy nie tylko poza sztuczną, syntetyczną, okrojoną Europę Wspólnoty Gospodarczej w kierunku Pragi, Budapesztu i ukochanego Krakowa, ale dalej niż Europa Środkowa, hen poprzec bagna Prypeci aż do serca historycznej Europy Wschodniej, sięgają Ukrainy, Białorusi, a nawet kopuł Zagorska i wtedy w papieskim kazaniu głoszonym po polsku nieomal dziewięć litewskie "Z".

Stwierdzenie, że Polska ma się do Europy Środkowej tak jak Rosja do Europy, byłoby bez wątpienia pewnym uproszczeniem. Być może doszedłem już do miejsca, z którego bardzo ogólnie można by wskazać owe prerażające zawiłości historyczne, geograficzne i kulturowe, rywalizujące wspomnienia i urazy, które otaczają cię niczym tłum krótkolichw duchów w chwili, gdy wskrzeszasz pojęcie Europa Środkowa lub tylko Mitteleuropa. Jeżeli potraktujemy nowo-środkowo-



europejską ideę jako twierdzenie o wspólnej przeszłości aż do 1945 roku, do czego sąłaniają Konrad i Kundera, od razu zagłębmy się w gąszcz historycznych zawiłości - gąszcz to bez wątpienia intrygujący, obszar, którego ludzie, kultury i języki są ze sobą mocno splecione, gdzie jedno miejsce ma wiele nazw, a ludzie zmieniają obywatelstwo tak często jak buty, gąszcz pełen wrótek i czarownic, a u wejścia do niego widnieją słowa: "Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodziście...". Każda próba wydestylowania środkowo-europejskiej esencji historycznej problem spłyca lub zaciemnia. W tym gąszczu dochodzimy do wniosku razem ze Stendhalem, że "cała prawda i cała przyjemność leży w szczegółach".

Na szczęście nowa idea środkowo-europejska jest nie tylko twierdzeniem o przeszłości. Jest również, a może głównie, twierdzeniem o teraźniejszości. Istnieje sugestia, że niezależni intelektualności pochodzący z tej części świata dzielą wyodróżniający ich zespół postaw, idei i wartości, który nie tylko jest im wspólny, ale w dużym stopniu stanowi ich specyfikę, co stwierdzają spotykając intelektualistów w Paryżu, Nowym Jorku czy Kalifornii. Ten wyodróżniający zespół postaw ma, jak to sugerują, wiele wspólnego ze specyficzną, środkowo-europejską historią - między innymi z doświadczeniem małych narodów ujarzmiionych przez wielkie imperia, z tradycją obywatelskiego zaangażowania inteligencji, zwyczajem ironizowania, tak charakterystycznym dla pokonanych. Jednak przede wszystkim i unikalnym doświadczeniem funkcjonowania w krajach komunistycznych systemu radzieckiego od czasów Jałty. Oto Europejczycy, którzy - o ile tak można powiedzieć - wiedzą, o co tu naprawdę chodzi. Możemy się od nich wiele nauczyć, jeżeli tylko będziemy gotowi ich posłuchać. Europa Środkowa to obszar, którego granic nie można śledzić na mapie, jak na przykład Ameryki Środkowej. Jest to bowiem królestwo ducha.

"W porównaniu z geopolityczną rzeczywistością Europy Wschodniej i Zachodniej" - pisze Konrad - "Europa Środkowa istnieje dzisiaj jedynie jako kulturowo-polityczna antyhipoteza /eine kulturpolitische Antihypothese/... Być Europejczykiem z Europy Środkowej oznacza "Weltanschauung" a nie "Staatsgehörigkeit". Oznacza wyzwanie rzucane panującym sloganom<sup>4</sup>. W ten sam sposób Czesław Miłosz określa siebie jako Środkowo-europejczyka/. Idea Europy Środkowej stawia nas nie tylko poza naszym post-jałtańskim sposobem rozumowania, wysadzając w powietrze to, co Niemcy nazywają Mauer im Kopf - mur berliński w naszych głowach. Podważa ona również inne pojęcia, priorytety i wartości szeroko akceptowane na Zachodzie. Co więcej ofiarowuje coś w zamian.

Takie są aspiracje Europy Środkowej. W jakim stopniu potwierdzają je eseje Havla, Michnika i Konrada? Co mają wspólnego głosy niezależnych pisarzy z Pragi, Budapesztu i Warszawy? Jaka jest najważniejsza różnica między nimi? W jaki sposób mogliby oni zmienić nasz sposób patrzenia na Europę Wschodnią i na nas samych?

Po wnikliwej lekturze porównawczej wierzę, że możemy znaleźć, choć nie będzie to łatwe, istotną wspólną płaszczyznę. Główne elementy wspólnego intelektualnego podglebia są następujące. Po pierwsze "antypolityka" w tytule Konrada. Również Havel stwierdza: "Wgłę polityka antypolityczna" /w wykładzie w Tuluzie w 1984 roku<sup>5</sup>/. W przypadku Michnika idea widoczna jest w jego wykładach, choć samo określenie pojawia się rzadko.

Antypolityk odrzuca to, co Konrad nazywa tradycją jakobińsko-leninowską, a co Havel nazywa /idąc za czeskim filozofem Vaclavem Belohradským/ "polityką jako racjonalną technologią władzy". W "Siłach bezsilnych" Havel delikatnie krytykuje tych z Karty 77, którzy przeceniają wartość bezpośredniej roboty politycznej w tradycyjnym sensie. Szczególnie odnosi się to do byłych komunistów, sygnatariuszy Karty 77, którzy nadal pojmują swą działalność przede wszystkim jako dążenie do władzy w państwie, a jeżeli nie, to przynajmniej do osiągnięcia pewnego wpływu na nią. Konrad wyniośle stwierdza: "Nikt myślący nie powinien pozbawiać innych miejsca we władzy po to, by zająć je samemu. Nie chciałbym być ministrem w rządzie, jakkolwiek by on był". Jest mało prawdopodobne, by Konrad został poproszony na to stanowisko w Budapeszcie, jego hipotetyczne poświęcenie nie wydaje się więc zbyt wielkie.

W przypadku Polski jednak stwierdzenie "nie dążymy do władzy w państwie" miało ostatnio realne i bezpośrednie znaczenie. Byli w Polsce w 1981 roku ludzie, którzy uważali, że Solidarność powinna sięgnąć po władzę w państwie. Jednak jej przywódcy odrzucali tę koncepcję. Ich głównym argumentem była pragmatyczna kalkulacja dotycząca granic tolerancji Moskwy. Istniało również teoretyczne i etyczne podbudowanie pochodzące ze słownika "antypolityki". "Naučení przez historię" - pisze Michnik w "Listach z więzienia" - "podejrzewamy, że używając siły do zdobycia istniejących Bastylii, mimo woli zbudujemy nowe". W swym ostatnim eseju powtarza zaś: "Solidarność nie dąży do przejęcia władzy w państwie". W Polsce Anno Domini 1986 jest to czysto hipotetyczne stwierdzenie. Koncepcja antypolityczna, charakterystyczna dla KOR-u, nadal musi konkurować z szeroko artykułowanymi poglądami, które rozbudzają głód polityki /aczkolwiek jedynie na papierze/ pojmowanej w tradycyjnych kategoriach prawicy i lewicy.

Michnik i Havel uważają kategorie lewicy i prawicy za niestosowne w najwyższym stopniu. Mówiąc podczas wykładu w Tuluzie o niezrozumiałych, aczkolwiek zawierających dobre intencje, pytaniach zachodnich intelektualistów, Havel woła: "Albo kwestia socjalizmu i kapitalizmu! Przyznaję, że dała mi ona poczucie wykańczania się z głębin zeszłego stulecia. Wydaje mi się, że te całkowicie ideologiczne i wiele razy mistyfikowane kategorie od tego czasu dawno są poza dyskusją". "Sam podział prawica-lewica wyrósł w innej epoce" - wtóruje Havelowi Michnik w swoim ostatnim eseju - "i wydaje mi się dziś w Polsce /i chyba również w innych krajach rządzonych przez komunistów/ niemożliwy do sensownej rekonstrukcji". Czy reżim Jaruzelskiego jest lewicowy czy prawicowy? "Dla przeważającej większości Polaków i lewica i prawica jest abstrakcyjnym podziałem z innej epoki".

W miejsce starego podziału na lewicę i prawicę ofiarują nam oni jeszcze starszy podział na dobro i zło. Jest on, jak utrzymują, rozróżnieniem realnie obowiązującym ludzi żyjących w reżimach komunistycznych. Kategorie moralne odgrywają dużą rolę w pracach wymienionych trzech autorów /choć mniejszą u Konrada niż u Michnika i Havla/. Wszyscy trzej powtarzają fundamentalne przesłanki judeo-chrześcijańskiego indywidualizmu. Odwracając tradycyjne priorytety socjalizmu, zaczynają nie od państwa czy społeczeństwa, ale od istoty ludzkiej: jej świadomości, jej "subiektywności", jej obowiąz-

ku życia w prawdzie i prawa do życia z godnością. "Wpierw odmień siebie" mogłoby pełnić rolę typowego motto w ich pracach. Próba życia w prawdzie i godności, jak zgodnie utrzymują, ma nie tylko głębokie znaczenie dla jednostek, może również wywierać zasadniczy wpływ na komunistyczne państwo, gdyż, jak określa to Havel, "głównym filarem systemu jest życie w kłamstwie".

Havel ilustruje to znanym przykładem kierownika sklepu warzywnego, który umieścił na wystawie między cebulą i marchwią hasło: "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się". Czemu to zrobił? - pyta Havel. "Co chciał przez to oznajmić światu? Czy naprawdę jest osobiście entuzjastą idei połączenia się proletariuszy ze wszystkich krajów? Czy jego zapal osiągnie takie rozmiary, że czuje nieprzepartą potrzebę zaznajomienia ze swymi ideałami szerokich rzesz narodu?" Oczywiście nie. Sygnalizuje on władzom swą chęć przystosowania się i posłuszeństwa. Takie jest znaczenie jego kroku. Jest on obojętny wobec semantycznej treści hasła. Ale "gdyby kierownikowi polecono umieścić na wystawie napis "Boję się i dlatego jestem bezgranicznie posłuszny" - nie odniósłby się do jego semantycznej treści tak obojętnie, mimo że tym razem pokrywałaby się całkowicie z wewnętrznym znaczeniem hasła".

Pałszywa tkanka ideologii częściowo ukrywa prawdziwą naturę władzy komunistycznej, co ważniejsze, pozwala obywatelowi ukryć przed samym sobą istotę podporządkowania się tej władzy. Ideologicznie zdeterminowane kłamstwa, twierdzi Havel, są ramami, dzięki którym system się nie rozpada i utrzymuje społeczeństwo w jarzmie państwa. Każdy z tych drobnych aktów zewnętrznego, semantycznego przystosowania się - sam w sobie tak trywialny, że aż wydaje się błażny - jest niczym cieniutkie nici, którymi Guliwier został związany przez Liliputów, tylko że tutaj ludzie wiążą sami siebie. Składając tę, wydawałoby się nic nie znaczącą, daninę lub tylko nie protestując przeciwko niej, człowiek "musi żyć w kłamstwie. Nie musi apróbować kłamstwa. Wystarczy, by zaaprobował życie z nim i nim. Już przez to samo bowiem zatwierdza system, realizuje go, robi, jest nim". "Linia konfliktu" nie przebiega prosto między narodem-ofiarą i państwem-ciemiejącą jak w konwencjonalnym obrazie, ani nie między różnymi grupami społecznymi, jak w bardziej tradycyjnych dyktaturach. W systemie post-totalitarnym linia ta przebiega de facto poprzez każdego człowieka, gdyż każdy na swój sposób jest zarówno ofiarą jak i podporą systemu". Z wyjątkiem tych kilku, którzy zdecydowali się "żyć w prawdzie" i którzy na Zachodzie są w mylący sposób określani jako dysydenci.

Nawet tych kilka głosów ma znaczenie. A gdyby więcej ludzi spróbowało żyć w prawdzie i z godnością?... Spójrzmy na Polskę w 1980 roku, na to, co Konrad omawiając Solidarność nazywa "pokojową siłą zwyczajnie wypowiedzanych prawd". "Polityka prawdy" - pisze Michnik - "była jedną z dwóch zasadniczych cech demokratycznej opozycji, które zostały przejęte przez Solidarność". /Drugą była zasada niestosowania przemocy/. Trzej autorzy wyrażają przekonanie, że przemiany moralne mogą mieć nieproporcjonalny efekt polityczny, że świadomość ostatecznie determinuje byt i że kluczem do przyszłości jest nie zewnętrzne, obiektywne położenie państw - polityczne, militarne, ekonomiczne, technologiczne, ale wewnętrzne, subiektywne położenie jednostek. Właśnie ta Europa Środkowa staje na-

przeciwko Europie Wschodniej - w autonomicznej sferze kultury, w królestwie ducha.

Jeżeli nie w państwie i nie w strukturach partyjnych, to gdzie owi ludzie "żyjący w prawdzie" mają złożyć swe działania? W "społeczeństwie obywatelskim". Zarówno Michnik jak i Konrad używają tego terminu, a Havel z pewnością jest go świadom. "W Polsce" - pisze Michnik w "Listach z więzienia" - "struktury niezależnego społeczeństwa obywatelskiego funkcjonowały przez wiele lat - prawdziwy cud nad Wisłą. Swą ocenę pierwszego roku Solidarności tytułuje zaś "obietnica społeczeństwa obywatelskiego". "Antypolityk" - mówi Konrad - "pragnie utrzymać politykę rządu /szczególnie jego aparatu militarnego/ pod kontrolą społeczeństwa obywatelskiego". Dla historyka idei powyższe stosowanie terminu, który ma tak długą i burzliwą historię, może się wydawać dość niejasne. Jednak czytelnik w Pradze, Budapeszcie lub Warszawie doskonale zrozumie o co chodzi. "Widzisz, dla nas walka o społeczeństwo obywatelskie jest wielkim codziennym dramatem" - zauważył ostatnio w rozmowie ze mną węgierski socjolog. Zdanie to równie dobrze mogłoby być wypowiedziane w Pradze lub Warszawie, ale z trudem w Paryżu lub Moskwie. Rzeczywiście, historię Europy Środkowo-wschodniej ostatnich dziesięciu lat można by opisać jako dzieje walk o społeczeństwo obywatelskie.

Jak zauważył węgierski filozof i krytyk społeczeństwa, Janos Kis "ogólna idea ewolucji w Europie Wschodniej" od połowy lat pięćdziesiątych do późnych lat sześćdziesiątych /kluczowe daty to oczywiście rok 1956 i 1968/ miała przejawiać się w "reformach narzucanych odgórnie i podtrzymywanych oddolnie" przez społeczeństwo. Znaczące przemiany miały być inicjowane w ramach rządzącej partii komunistycznej, oświeconej przez własnych tak zwanych rewizjonistów. Socjalizm miał przybrać ludzką twarz. Idea ta została zniszczona w 1968 roku przez radzieckie czołgi w Pradze i pałki policyjne w Warszawie. Zaraz jednak pojawiła się inna idea, która wyszła do obiegu w późnych latach siedemdziesiątych. Polega ona, mówiąc ogólnie, na twierdzeniu, iż ważne przemiany przyjdą jedynie dzięki ludziom samoorganizującym się poza strukturami państwowo-partyjnymi w rozmaite niezależne ugrupowania. Ich celem jest rekonstrukcja obywatelskiego społeczeństwa a nie reforma partii-państwa, lecz jeśli powyższa strategia przyniosłaby sukces, partia-państwo będzie zmuszona przystosować się do nowych warunków /choćby tylko niechętnie akceptując zmniejszone de facto zyski w obszarach pod jej całkowitą kontrolą/.

Strategia "społecznej samoorganizacji" lub "społecznej samoobrony" była wydobyta też przez Michnika w jego eseju "Nowy Ewolucjonizm" oraz szeroko stosowana w Polsce. W rok po swoim założeniu, w 1977 roku, Komitet Obrony Robotników zmienił nazwę na Komitet Samoobrony Społecznej KOR - co wskazywało na jego szerszy cel. W swojej historii KOR-u Jan Józef Lipski daje wyczerpujący i skrupulatny opis różnorodnych "działań społecznych", w które angażowali się członkowie KOR-u: od drukowania samizdatów i pracy dziennikarskiej, po wspieranie prywatnych rolników i pierwszych komitetów Wolnych Związków Zawodowych. Jest kwestia dyskusji historycznej, jak wiele Solidarności zawdzięcza KOR-owi, a ile innym czynnikom, lecz nie ma żadnej wątpliwości, że była ona dzieckiem owej "ogólnej idei ewolucji".

Dziekiem największym ale nie jedynym. Uderzająco podobne idee rozwijane były w Pradze, na przykład przez Vaclava Bendę w jego eseju z 1978 roku zatytułowanym "The Parallel Polis", a podobieństwo rocznic między Kartą 77 a KOR-em jest niewątpliwe. "Ogólne idea" jest ta sama. Na Węgrzech rozróżnienie między reformami inicjowanymi "od góry" przez partię-panstwo i zmianami wprowadzonymi oddolnie przez społeczeństwo, które dąży do bycia "obywatelskim", jest dużo mniej jasne. Idea "walki o społeczeństwo obywatelskie" jest tutaj również szeroko aprobowana przez niezależnych intelektualistów. Nie jest więc dziełem przypadku /jak to mówią komentatorzy radziecki/, że motywy przewodni "społeczeństwa obywatelskiego" znajdujemy zarówno w esejach Konrada i Havla jak i Michnika.

Innym wspólnym motywem przewodnim jest zasada niestosowania przemocy. Powody wyrzeczenia się jej są zarówno pragmatyczne jak i etyczne. Pragmatyczne, ponieważ stało się jasne od 1956 roku, że rewolta przy użyciu siły nie ma szans na powodzenie w obecnym układzie geopolitycznym. Etyczne, ponieważ przemoc, szczególnie w wydaniu rewolucyjnym, korumpuje tych, którzy ją stosują, podobnie jak czyni to gwałt zadany umysłowi przez nienawiść. Przemoc i nienawiść, kłamstwa, oszczerstwa i morderstwa - są to metody jakobińsko-leninowskich posiadaczy władzy. "Pozwólmy, by te metody pozostały wyłącznie ich metodami" - powiedział mi Michnik, gdy rozmawialiśmy w jego warszawskim mieszkaniu na jesieni 1984 roku, w kilka dni po zamordowaniu Jerzego Popiełuszki przez terrorystów ze Służby Bezpieczeństwa, sponsorowanych przez państwo. "Nie walczymy o władzę" - kontynuował Michnik - "ale o demokratyczną formę naszego kraju, a każdy rodzaj terroryzmu musi prowadzić do moralnego upadlenia, do deformacji osobowości". W swym ostatnim eseju powtarza on formułę tak często używaną przez Popiełuszkę i papieża: "zło dobrem zwyciężaj".

Nie są to jedynie słowa kazania. Jak notuje Lipski, Michnik osobiście uratował kilku policjantów od zlinczowania przez wściekły tłum w Otwocku w maju 1981 roku /zdobył zaufanie tłumowi przedstawiając się: "Nazywam się Adam Michnik i jestem elementem antysocjalistycznym"/. Świadczenia solidarnościowej zasady niestosowania przemocy całkowicie wytrzymują porównanie z działaniami ruchów pacyfistycznych w Europie Zachodniej - mimo nieporównanie większej siły wyzwania. Ani Cześć, ani Węgrzy nie mieli ostatnio możliwości /ani konieczności/ zamieniania teorii w praktykę w podobnej skali. Fryncypia są jednak równie wyraźne u Havla i Konrada jak i u Michnika.

W praktyce niestosowania przemocy - jak wskazuje Lipski - najbardziej widoczny jest "wpływ etyki chrześcijańskiej". Przyglądając się zachodnim ruchom na rzecz pokoju Havel i Michnik jednocześnie przywołują inną funkcjonalną zasadę etyki chrześcijańskiej - przeświadczenie o wartości poświęcenia /"Większej miłości nad tę żaden nie ma"/. Nawiązując do ruchów pacyfistycznych Michnik stwierdza: "Etyka Solidarności oparta jest na przesłance: są sprawy, za które warto cierpieć i umierać". Havel powtarza zaś prawie identyczną formułę Jana Patočki: "Są rzeczy warte cierpienia!"

W reakcji na działalność zachodnich ruchów pacyfistycznych znajdujemy najbardziej rozwinięte wspólne stanowisko trzech autorów. W "Anatomy of Reticence" Havel określa je jako "wspólne minimum niezależnego środkowo-europejskiego sposobu *„lenie o pokoju”*".

Zaczyna się ono od wyrażenia instynktownego "preracjonalnego" /Havel/ zrozumienia dla ludzi, którzy przekładają wspólne dobro ponad swoje egoistyczne interesy. Zaczyna się jednak również d uzasadnionego podejrzenia - wyrosłego ze środkowo-europejskiego doświadczenia - oskarżającego przedstawicieli ruchów pacyfistycznych o tendencję do utopii i "zbyt żarliwą przesadę /która nieprzypadkowo nie jest okupiona wysoką ceną/, z jaką niektórzy zachodni pacyfisci przychodzą do nas". /To nieco zaciemnione zdanie Havla rozjaśnia się przy powtórnym, uważnym czytaniu/. Trzej autorzy twierdzą wbrew większości zachodnich pacyfistów, że niebezpieczeństwo wojny wzrasta nie z powodu istnienia broni, ale z powodu politycznej rzeczywistości ukrytej za nią. "Przyczyną niebezpieczeństwa wojny jest nie broń jako taka, ale rzeczywistość polityczna... Trwały, prawdziwy pokój nie może być osiągnięty jedynie przez protestowanie przeciwko takiemu lub innemu systemowi broni, ponieważ sprzeciw ten dotyczy jedynie konsekwencji a nie przyczyn". Tyle Havel. Michnik z celi więziennej przesłał prawie identyczną myśl: "Zachodnia opinia publiczna pozwoliła narzucić sobie radziecki sposób myślenia, że broń jest ważniejsza niż ludzie. Ale to nieprawda. Żadna broń nie zabija sama z siebie".

"Rzeczywistość polityczna", o którą tu chodzi, to podział Europy i trwająca nadal radziecka dominacja nad ponad połową krajów europejskich. "Niespostrzegawczy Europejczyk" - stwierdza Konrad - "nie potrafi zauważyć, że żelazna kurtyna zrobiona jest z materiałów wybuchowych. Europa Zachodnia opiera się o ścianę dynamitu i niefrasobliwie spogląda poprzez Atlantyk. To co zagraża pokojowi w Europie" - zgadza się Havel - "to nie perspektywa zmiany, ale obecna sytuacja". Kluczem do trwałego pokoju nie jest rozbrojenie czy kontrola zbrojeń jako taka, ale zmiana owej rzeczywistości politycznej. W dłuższej perspektywie musi to oznaczać przewyższenie podziału Europy /tej, którą w skrócie określiliśmy jako jałtańska/ i dążenie w kierunku tego, co Havel nazywa "ideałem demokratycznej Europy jako przyjacielskiej wspólnoty wolnych i niepodległych narodów". Trudno się z tym nie zgodzić, ale jeszcze trudniej wyobrazić sobie osiągnięcie celu. W rozumowaniu na dziś oznacza to przede wszystkim zrozumienie symbiotycznego związku między "pokojem zewnętrznym" /między państwami/ i "pokojem wewnętrznym" /wewnątrz państw/, ponieważ "państwo, które ignoruje wolę i prawa swoich obywateli nie może udzielić gwarancji respektowania woli i praw innych ludów, narodów i państw. Państwo, które odmawia swoim obywatelom prawa do publicznego nadzoru nad sprawowaniem władzy, nie może dopuszczać możliwości międzynarodowego nadzoru. Państwo, które odmawia własnym obywatelom ich podstawowych praw, staje się niebezpieczne również dla swoich sąsiadów; arbitralne sprawowanie władzy znajdzie odbicie w arbitralnie wykładanych stosunkach zewnętrznych". Właśnie takie są państwa Europy Wschodniej, których obywatele, inaczej niż obywatele państw Europy Zachodniej, nie cieszą się "pokojem wewnętrznym". I dlatego - jest to informacja skierowana do przedstawicieli ruchów na rzecz pokoju jak i do rządów zachodnich - klucz do prawdziwego, trwałego pokoju w Europie między Wschodem i Zachodem /w przeciwieństwie do obecnego stanu "braku wojny"/ musi leżeć w wypracowaniu większego szacunku dla praw człowieka i wolności obywatelskich w Europie Wschodniej. Wal-



ka o nspabro jeste kate Wisle na ogólnol parze z walka to sprawa oso- ciowt  
 wieka /wielkoscyw zachodnich pacyfistów traktuje sja jako kwestie 0391  
 marginalna/ Wskazanie prawa człowieka ma absolutne logiczne pierw- 2299  
 szensstwo. Michnik: "Warunkiem zmniejszenia niebezpieczeństwa wojny 2726  
 jest pełne respektowanie praw człowieka". Havel: "Poznanowanie  
 praw człowieka jest podstawowym warunkiem i jedyną autentyczną 2822  
 gwarancją prawdziwego pokoju". 2821

Tak więc z jednej strony "uniwersalność środkowo-europejska" 2822  
 /sceptyczna, trzeźwa, antyutopijska, krytyczna/ formuluje ostrzeże- 2823  
 nie dotyczące prawdziwej natury państw bloku radzieckiego, ostrzeże- 2824  
 nie, które mogłoby być balsamem dla serca prezydenta Reagana. W 2825  
 swoim ostatnim eseju Michnik z aprobatą cytuje niektóre uwagi Rea- 2826  
 gana dotyczące trudności w osiągnięciu porozumienia o kontroli 2827  
 zbrojeń ze Związkiem Radzieckim. Z drugiej strony jednak trzej au- 2828  
 torzy mówią o poszanowaniu praw człowieka jako podstawowym warunku 2829  
 i jedyną autentyczną gwarancją prawdziwego pokoju - na co zało- 2830  
 dni działające pacyfistyczne mogłyby odpowiedzieć: i kto jest teraz 2831  
 utopista? Posłanie, które zawiera oba te aspekty, można by w spos- 2832  
 ób trwałym podsumować następująco: "najlepszą rzeczą, która mo- 2833  
 gliby zrobić dla pokoju zachodni pacyfistow jest wspieranie demo- 2834  
 kratycznej opozycji w Europie Wschodniej". 2835

Ta konkluzja, która jest moją podstawową listą wspólnych motywów i 2836  
 koncepcji. Moją spekulacją krytycznych Konrada, Havela i Michnika. Pozostawia 2837  
 nią jednakże w miarę pochodzenia od wspólnego, środkowo-europejs- 2838  
 kiego podłoża, wznajdujemy różnice i niekonsekwencje, które są 2839  
 równie, uderzające jak wymienione podobieństwa i zgodności. Trzej 2840  
 autorzy różnią się znacznie w ocenie perspektyw zmian w własnych 2841  
 krajach, w wnioskach, jakie wyciągają z historii Solidarności i w 2842  
 receptach na bezpośrednią polityczną /lub antypolityczną/ działal- 2843  
 nia w Europie Środkowo-wschodniej. 2844

W jaki sposób mogłoby dojść do zmian w Czechosłowacji? W swo- 2845  
 ich pracach Havel nie daje jasnej odpowiedzi. Sugeruje natomiast, 2846  
 że stopniowo, pospólnie w sposób zwalzy i w zasadzie nie do prze- 2847  
 widzenia, przeje jednostek wyjących w prawdzie i godności, po- 2848  
 czonych w luźne struktury "społecznej samoorganizacji", "piata kol- 2849  
 onna świadomości społecznej" zmiany w końcu sposób, w jaki kraj 2850  
 jest rządzony. Jak i kiedy to nastąpi Havel nie potrafi przewidzieć. 2851  
 Gdy rozmawiałem wczoraj w jego wiejskim domu w północnych Cze- 2852  
 chach, dał mi nieco bardziej konkretną ilustrację swoich przemyśle- 2853  
 ń. Siwierzdz, że po katastrofie w Czernobylu ludzie w Czechos- 2854  
 łowacji narzekali głównie i otwarcie, to prawda, że nie organizowa- 2855  
 li demonstracji ani nie podpisywali petycji /pozostawiono to pew- 2856  
 nym austriackim studentom, którzy przyjechali do Pragi specjalnie 2857  
 w tym celu/. Jednak jeszcze dziesięć lat temu większość ludzi nie 2858  
 odważyłaby się publicznie wyrażać swego niezadowolenia, chociaż 2859  
 oczywiście robili to prywatnie. Być może więc za następnych dzie- 2860  
 sięć lat będzie podpisywać petycje. Ewolucja jest tak stopniowa, 2861  
 że aż niewidoczna dla przypadkowego gościa lub zapalonego, młodego 2862  
 działacza opozycji. Wracając do społeczeństwa po czterech latach 2863  
 jak między dwiema fotografiami - i być może zaskoczony 2864

Nie ulega wątpliwości, że nikt nie może przewidzieć, w jaki 2865  
 sposób reżim odpowie na te oddolna presje. W swej książce, która 2866  
 zawiera intelektualne wspomnienia obejmujące 2867

życia, Havel /jesienią tego roku kończy on 50 lat/ opisuje, jak w jego przekonaniu presja oddolna była rozstrzygająca w wydarzeniach poprzedzających Praską Wiosnę. Czy obecnie jednak ktokolwiek wewnątrz partii odpowie na tę presję tak, jak partyjni intelektualisci i reformatorzy zrobili to wtedy? Byli jeszcze wówczas w partii prawdziwi, wierzacy komuniści i socjaliści. Obecnie wydaje się, że zostali jedynie cynicy oraz karierowicze - i to im młodszy tym gorzej. "Piąta kolumna świadomości społecznej" pracuje powoli, bardzo powoli, jak korzenie drzewa podchodzące stopniowo pod dom /metafora moja, a nie Havla/. Nikt nie może przewidzieć rezultatów ich działania, korzenie mogą być odcięte. Dom może zostać podparty palami. Na szczęście główne zadanie korzeni nie polega na podkopaniu się pod dom. Dysydem jest, o ile tak można powiedzieć, wysłanym korzeniem. Podjęta przez niego próba życia w prawdzie i godności ma swą wartość bez względu na długotrwałe efekty społeczne i polityczne, które może, choć nie musi, mieć. Analizy polityczne i recepty na przyszłość są rzeczywiście "sceptyczne, trzeźwe, antyutopijne i krytyczne" - obecna sytuacja w Czechosłowacji nie pozwoliłaby nam zaufać jakiegokolwiek analizie, która by tych cech nie przejawiała. Bywają jednak momenty, kiedy wypowiedzi Havla sięgają tonacji wizjonerskiej, niemalże apokaliptycznej. "Staje się ewidentne" - stwierdził on w Tuluzie - "że jednostka, wydawałoby się pozabawiona władzy, gdy odważy się wymówić słowo prawdy i bronić go całą swą osobą i życiem, to, choć formalnie pozabawiona praw obywatelskich, ma o dziwo większą władzę niż tysiące anonimowych wyborców". Havel jest tu bliski Sołżenicynowi, którego zresztą cytuje w następnym zdaniu. "Między kłamstwem a przemocą" - powiedział Sołżenicyn w przemówieniu z okazji otrzymania nagrody Nobla w 1970 roku /"Słowo prawdy..." / - "istnieje niezwykle bliski, naturalny, fundamentalny związek: przemoc może być ukryta jedynie dzięki kłamstwu, kłamstwo może się utrzymać jedynie dzięki przemocy". Dalej prorokuje on: "Kiedy zniknie kłamstwo, obnażony zostanie cały odprychający charakter przemocy i wtedy ulegnie ona zniszczeniu, rozpadnie się w gruzy". Pierwsza część tego proroctwa spełniła się w 1981 roku w Polsce. Niestety nawet tam nie ziściła się jego część druga.

W "Antypolityce" Konrad wysnuwa proste wnioski z pozornego pokonania Solidarności przez przemoc odzianą w kłamstwo. Węgry próbowali tego w 1956 roku, Czesi i Słowacy w 1968, Polacy w latach 1980-1981 - "Trzy próby, trzy błędy" - mówi Konrad. Płynie stąd nauka: narodowa droga do środkowo-europejskiego wyzwolenia nie zaprowadziła nas zbyt daleko.

"Uważaj" - mówiłem do Adama /Michnika/ - "po raz trzeci to musi zadziałać". Nie zadziałało. Adam oczekuje na rozprawę. "To niemożliwe" - mówił - "niemożliwe, żeby mógł mieć wykład na Politechnice Warszawskiej o 1956 roku w Polsce i na Węgrzech. Wykład był pierwszorzędnym, Michnik wcale się nie jękał, był bystry, dialektyczny, trafił w sedno sprawy. Potem mówili, że śmiertelnie zakochał się w wielkiej aktorce. Potem jeszcze powiedzieli, że został aresztowany i ciężko pobity, potem, że już jest z nim dobrze. O czym to wszystko świadczy, Adamie? Jest was 35 milionów i ciągle nie możecie sobie z tym dać rady. Co teraz?"

A co byś powiedział, gdybym Ci zaproponował: "Pozwólcie teraz zrobić to Rosjanom"?

No cóż, sądzą, że łatwo jest zgadnąć, co Michnik by na to odrzekł. Być może sam nam teraz odpowie, jako że został niespodziewanie w sierpniu zwolniony z więzienia. Nawiasem mówiąc, to co Rosjarie powinni zrobić - to pójść do domu. To chyba naprawdę dobry pomysł, choć niezwykle oryginalny.

Zredukowanie "Antypolityki" Konrada do jednej, konsekwentnej tezy byłoby zadaniem gwałtu tekstowemu. Szczególną wartość tej książki /również spacyficznie środkoweuropejską/ stanowi, jak już sugerowałem, współistnienie na niewielkiej przestrzeni ogromnej różnorodności argumentów i form, tak bogatej, urozmaiconej i trudnej do pogodzenia jak narody Austro-Węgier. Na przykład: "Rosjan musi być stać na spokoj, by mogli zreformować swoją ekonomikę i system administracyjny". Z drugiej strony jednak Konrad pisze: "Byłoby dobrze, gdyby wiarygodność kredytowa ZSRR wobec Zachodu była redukowana proporcjonalnie do liczby aresztowań politycznych". Mimo tych przeciwieństw za ową secesyjną fasadą można zauważyć trzy główne rodzaje argumentacji.

Po pierwsze - wspomniana już propozycja: skoro narodowe ścieżki do wyzwolenia nie powiodły się, spróbujmy więc międzynarodowej drogi ogólnoeuropejskiej. Zaproponujemy, by wojska amerykańskie wycofały się z Europy Zachodniej a oddziały radzieckie ze Wschodniej - zlikwidujemy oba bloki! "Mnie osobiście wydaje się to całkiem dobre" - tak przychylnie skomentował tę nową propozycję Vaclav Havel - "choć nie jest dla mnie całkiem jasne, kto lub co mogłoby skłonić Związek Radziecki do opuszczenia swych europejskich satelitów - szczególnie, iż jasnym jest, że w momencie, gdy Armia Radziecka opuści te terytoria, ZSRR wcześniej czy później będzie musiał zrezygnować ze swojej politycznej dominacji nad nimi". Basta!

Owym "kimś lub czymś", mogącym przekonać ZSRR, jest "międzynarodowa arystokracja intelektualna" - twierdzi Konrad. Jest to jego drugi motyw przewodni. "Okazuje się" - pisze on - "że to inteligencja a nie klasa robotnicza jest szczególnym nośnikiem internacjonalizmu". Dysydenci - niezależni intelektualści - są tacy sami na całym świecie, bez względu na ich polityczne filozofie". Dlatego powinniśmy się zebrać razem i stworzyć konstrukcję intelektualną, która pozwoliłaby wyjść poza "nie skażone intelektem" działania wojny ideologicznej". Zresztą "ktoś, kto wierzy, że obecnie oba systemy i ideologie zmagają się ze sobą, ten stał się ofiarą świeckiej metafizyki naszych czasów, która szuka pojedynku między Bogiem a Szatanem w czymś, co kończy się jedynie grą". /Co by Adam na to powiedział?/. Stąd jego własny "plan zdemontowania Żelaznej Karty", które to zadanie Międzynarodówka Intelektualistów powinna umieścić na arenie polityki międzynarodowej. Albowiem to "nasze intelektualne zaniedbanie" w końcu "przyniosło złą sytuację, w której nasz kontynent podzielony jest na dwie części". Trzeba dobrze myśleć, a będziemy zawsze żyć szczęśliwie.

Na wypadek, gdyby twardogłowi na Kremlu i w Pentagonie nie mogli zauważyć światła, które "międzynarodowa arystokracja intelektualna" trzyma przed ich oczami, Konrad chwilowo wycofuje się na inną pozycję. Jest to w węgierskim stylu. Choć ma momenty srogiego fundamentalizmu /"naród węgierski... nie spocznie póki nie zdobędzie samookreślenia tu, w rejonie Karpat"/, to w większej części swej książki pisze prawie promiennie o obecnej sytuacji na Węg-

rzech, a szczególnie o Jánosu Kadarze, którego porównuje do cesarza Franciszka Józefa. "Najlepsze, co możemy osiągnąć" - pisze - "to oświecony, paternalistyczny autorytaryzm, któremu towarzyszy przemysłana chęć podjęcia stopniowych, liberalnych reform. Najmniejszym złem dla nas jest liberalno-konserwatywna wersja komunizmu, taka, jaką widzimy dookoła nas na Węgrzech". W tych okolicznościach zadaniem "twórczej" lub "uczzonej" inteligencji jest wejście w dialog z inteligencją zatrudnioną na kierowniczych stanowiskach w celu uczynienia dyktatury oświeconej jeszcze bardziej oświeconą. "Intelektualnej arystokracji starczy popychać administrację państwa w kierunku bardziej inteligentnej, bardziej odpowiedzialnej strategii" - pisze Konrad. Dalej zastanawia się jednak: "Czy możliwa jest umiarkowana reforma autorytaryzmu w skali całego imperium - monarchii partii oświeconej, czy możliwy jest "węgierski styl władzy"?

To rzeczywiście mogą być realistyczne propozycje dla niezależnego intelektualisty pragnącego działać efektywnie w szczególnych warunkach współczesnych Węgier. Nie znajdziemy jednak ich echa w pracach Havla i Michnika. Według Havla powierzenie takiej roli niezależnym intelektualistom w Czechosłowacji jest nieprawdopodobieństwem. W tym kraju przedstawiciele intelektualnej arystokracji pracują jako palacze lokomotyw, przy myciu okien, jako robotnicy. Nawet gdyby to było możliwe, koncepcja antypolityki Havla nie uważa tego za stan pożądany. Dla Michnika taka rola dla intelektualistów w Polsce jest całkowicie niewyobrażalna i zupełnie niemożliwa do zaakceptowania. Polski kadaryz to marzenie, nie Michnika lecz jego wziętego stróża. Generał Jaruzelski śpiewałby Alleluja Czarnej Madonnie, gdyby inteligencja twórcza w Polsce miała zaakceptować rolę nakreśloną przez Konrada. Ona jednak tego nie zrobi.

Dla Michnika fakt, że Polska nie korzysta z doświadczeń kadaryzmu jest miarą sukcesu - nie porażki. On na pewno nie podpisałby się pod stwierdzeniem Konrada o "trzech próbach i trzech błędach". Dla Michnika Solidarność nie była błędem. Fakt, że została pokonana siła, nie oznacza, że jej podstawowa strategia była zła, oznacza, że ludzie bez broni /świadomie związani z koncepcją niestosowania przemocy/ mogą być skłonieni do wyjścia na ulicę przez ludzi, którzy posiadają broń /oraz chęć jej użycia/.

Zresztą nie była to po prostu klęska. Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku przyniosło "niepowodzenie niezależnemu społeczeństwu" ale i "katastrofę totalitarnego państwa".

Obecnie chodzi o to, by utrzymać prawdziwie autonomiczne, silne, dobrze zorganizowane "społeczeństwo obywatelskie". Dla Michnika i Havla kluczowym składnikiem, zasadniczą częścią tego "społeczeństwa obywatelskiego" jest jednostka żyjąca w prawdzie. Moralny absolutyzm jest jedynym pewnym przewodnikiem - taki wniosek przedstawia w swych esejach Michnik, biorąc za przykład Zbigniewa Herberta, który nigdy nie poszedł na moralne kompromisy, nawet w najcięższych czasach. Właśnie dlatego, że indywidualne jednostki, a szczególnie intelektualści, nie akceptują ról przypisanych im w systemie Kadara, istnieje silne i niezależne "społeczeństwo obywatelskie" i szansa na pozytywny, polityczny kompromis z władzami.

Większa część ostatniego eseju Michnika jest tedy poświęcona badaniu prawdopodobnej natury owego kompromisu, badaniu opartemu na analizie historii KOR-u i Solidarności. Konkluzje Michnika nie

zawsze są przekonywujące. "Nikt spośród działaczy Solidarności nie wierzy obecnie w dialog i kompromis z autorami grudniowego zamachu. Ja również nie". Jeśli nie z nimi jednak - to z kim? Micanik ostatecznie, że "Solidarność powinna odrzucić filozofię "wszystko albo nic", ale parę stron dalej sugeruje, że warunkiem wstępnym do jakiegokolwiek porozumienia z władzami musi być uznanie istnienia "niezależnej, samorządnej Solidarności" i że porozumienie takie musi unikać pozostałości nowomowy, które były obecne /i budziły kontrowersje/ w porozumieniach wynegocjowanych przez przywódców Solidarności w 1980 i 1981 roku.

Jeżeli nie jest to "wszystko", to jest to "prawie wszystko". W całej książce Michnika wyczuwa się napięcie między kwestią moralną a polityczną. Trzeba by osobnego eseju, by przedyskutować te problemy. Chciałbym jedynie podkreślić, że Michnik zma się z pytaniami, których nie stawiają nawet Havel i Konrad. Odpowiedzi Michnika nie są więc skierowane do nich. O ile jednak Konrad jest skłonny od czasu do czasu sugerować, jako prawdziwy internacjonalista, że przyjęcie węgierskiej drogi byłoby najlepszym wyjściem dla sąsiednich krajów, to Michnik wyraźnie stwierdza, że Polacy powinni odczuwać narodową dumę, gdyż to oni "pokazali światu, że coś podobnego jest możliwe. Prędzej czy później te czyny okażą się wzorotwórcze. Kiedy inne narody zaczną naśladować ten przykład, radziecki ład stanie w obliczu najpoważniejszego zagrożenia".

Krótko mówiąc: gdy odrywamy się od wspólnego podglebia po to, by zadać polityczne pytanie "Co robić?", odkrywamy, iż nawet owi trzej autorzy rzeczywiście zainteresowani w środkowo-europejskim trójstronnym dialogu, otwarci na różne tradycje i idee, oferują odpowiedzi, które są zasadniczo odmienne i częściowo sprzeczne, co zresztą odzwierciedla różnorodne uwarunkowanie narodowe ich autorów. Mówienie jednak, do czego skłonny jest Konrad, że są to po prostu różne narodowe "strategie" lub drogi wiodące do tego samego celu, przypominałoby zalewanie głębokich pęknięć różowym lakierem, który ich naprawdę nie sklei.

Poza tymi poważnymi różnicami istnieją inne zastrzeżenia wobec wszystkich trzech autorów. W ich analizach dotyczących własnych krajów najbardziej uderzającą luką jest lekceważenie materialnej strony życia - pogarda dla ekonomii. Można twierdzić, wbrew Markowski, że to świadomość ostatecznie określa byt, że idee są ważniejsze niż dorobek materialny, lecz to nie usprawiedliwia kompletnego ignorowania tego ostatniego. Bez deskonalenia idei KOR-u nie byłoby Solidarności /lub byłaby zupełnie inna/, lecz połączną przy narodzinach Solidarności była trywialna podwyżka cen mięsa. Najbardziej rozpowszechnioną, rzeczywistie prawie uniwersalną formą niezależnej aktywności społecznej w dzisiejszej Europie Wschodniej jest funkcjonowanie "drugiego obiegu gospodarczego". Czarny rynek jest antypolityką szarego człowieka.

Konrad skłania się w tym kierunku, gdy zaleca "amalgamat drugiego obiegu gospodarki i drugiego obiegu kultury". W jaki sposób? Tomasz Masaryk wskazywał drogę ku niezależności Czech /od habsburskiej Europy Środkowej/ przy pomocy podwójnego przykazania: "Nie kłam i nie kradnij". Sukces w drugim obiegu gospodarczym w państwie socjalistycznym mogą przynieść jednak tylko cechy dokładnie odwrotne wobec tych, zalecanych intelektualnym antypolitykom. Nie

kłam, nie kradnij? Każdy, kto angażuje się w jakikolwiek rodzaj niezależnej działalności ekonomicznej w Europie Wschodniej nie przetrwa 5 minut, jeśli nie będzie - mówiąc delikatnie - tolerował swoistej, terminologicznej nieścisłości i nie będzie próbował nieortodoksyjnych metod zdobywania towarów<sup>6</sup>. /Pewien ksiądz w Polsce powiedział mi kiedyś, że kiedy ludzie w trakcie spowiedzi wyznają mu, że... hm, stosowali nieortodoksyjne metody zaopatrywania się, poučia ich, że nie powinni tego uważać za grzech. W tym pozabawionym Boga systemie jest to konieczność. Jakże inaczej mogłyby być budowane ku większej chwale Boga nowe kościoły?/.

Ani Konrad ani Havel nie poświęcają w ogóle miejsca temu zagadnieniu. Ich program jest programem dla intelektualistów. Michnik wydaje się zakładać, że ekonomiczne żądania Solidarności jako związku zawodowego będą w sposób naturalny szły ręką w rękę z moralnymi i politycznymi postulatami, które stanowią jego główną troskę. To założenie wymaga bliższego rozpatrzenia.

W analizach międzynarodowych trzech autorów największą być może słabością jest stosunek do czynnika, który nadal pozostaje najważniejszą siłą w Europie Środkowej - do Niemiec. Co prawda wszyscy oni w sposób barzo ogólny przyznają, że przewyżczenie /lub zredukowanie/ podziału Europy wymaga przewyżczenia /lub zredukowania/ podziału Niemiec. Wszyscy trzej są za tym. Prawda jest też, że Konrad pozostaje przeciwny, by arystokracja intelektualna koncentrowała swoje działania wokół kwestii traktatu pokojowego z Niemcami. Obecnie nie jest to jednak naprawdę istotne w koncepcjach i działaniach dotyczących Niemiec. Żaden z trzech autorów nie zajmuje się poważnie prawdziwą współczesną polityką Niemiec Zachodnich - Deutschlandpolitik i Ostpolitik - która ma tak wielkie znaczenie w obecnej polityce europejskiej. Twórcy i realizatorzy zachodnioniemieckiej polityki ignorują więc w dużym stopniu te oddolne głosy z Europy Wschodniej i dostrzegają swych partnerów w najwyraźniej wszechmocnych, rządzących partiach komunistycznych i w Moskwie, a nie wśród najwyraźniej bezsilnych, w opozycji i w wężeniu.

Warto może przypomnieć, że po raz pierwszy termin Europa Środkowa został wprowadzony w obieg przez Tomasza Masaryka w czasie I wojny światowej jako programowe przeciwstawienie niemieckiemu, wprowadzonemu przez Fryderyka Naumanna, stosowaniu terminu Mitteleuropa, który miał być usprawiedliwieniem ekspansjonistycznych planów imperialnych Niemiec. Porównywanie obecnych niemieckich dążeń i wizji z tymi z 1915 roku byłoby całkiem chybnym, wręcz rażącym. Nie byłoby jednak ani rażące ani trudne przesłedzenie różnic między pojęciem Mitteleuropa używanym przez zachodnioniemieckich socjaldemokratów, takich jak Peter Glotz /szczególnie w kontekście ich "drugiej Ostpolitik"/ i pojęciem Europy Środkowej, które wyłania się z dzieł niezależnych intelektualistów środkowo-europejskich.

Inna linia krytyki mogłaby być następująca /tu świadomie przesadzona/: Konrad, Havel i Michnik są po prostu ostatnimi potomkami tradycji obecnej w Europie Środkowej i Wschodniej od czasów Oświecenia; są zorientowaną na Zachód, kosmopolityczną, świecką i racjonalistyczną grupą ludzi, pogardliwie zwanych przez Tomasza Manna Zivilisationsliteraten /zanim sam nie stał się jednym z nich/. Obe-



nie Zivilisationsliteraten mówią rzeczy różne od tych, które mówili pół wieku temu - w zasadniczych kwestiach przemawiają dokładnie odwrotnie. Jedna rzecz jednak się nie zmieniła: zawsze byli niewielką mniejszością. Byli nią przed I wojną światową, bezsilni wobec nacjonalizmów, które rozrywały Europę Środkową na strzępy. Byli niewielką mniejszością również przed II wojną światową, bezsilni wobec imperializmów, które rozszarpały na strzępy ówczesną Europę Środkową.

A dzisiaj? No cóż, nawet dzisiaj na obszarze, który został w tak ogromnym stopniu i tak straszliwie oczyszczony ze swoich dwóch największych mniejszości - z Żydów i - owszem - z Niemców - nacjonalizm nadal przyciąga silniej niż internacjonalizm Konrada, nawet wielu niezależnych intelektualistów, nie mówiąc już o szerokiej opinii publicznej. Co jest dziś najważniejszą sprawą /poza pogarszającym się standardem życia i narastającymi nierównościami społecznymi/ dla opinii publicznej i intelektualnej na Węgrzech? Czy są nią prawa człowieka i obywatela? Czy też demokracja lub "walka o społeczeństwo obywatelskie"? Nie. Jest nią położenie węgierskiej mniejszości w Transylwanii i na Słowacji. Wspominałem o Europie Środkowej rozmawiając z moim niezwykle inteligentnym i wykształconym przyjacielem Węgrem. "O tak - westchnął - być może kiedyś będzie coś takiego jak Europa Środkowa. A wiesz, to was winny za to, że jej nie ma". Miał na myśli traktat w Trianon!

A teraz jedna z najgłębszych wątpliwości. Czy wspólna płaszczyna, którą próbowałem powyżej opisać, nie jest po prostu produktem ubocznym wspólnej bezsilności? Czyż istnienie wymaginowanej Europy Środkowej nie zależy w końcu od istnienia "prawdziwej Europy Wschodniej"? Czy "antypolityka" nie jest tylko wynikiem niemożliwości prowadzenia polityki; jeśli nie możesz ćwiczyć się w sztuce wykorzystywania możliwości, wymyślasz sztukę operowania niemożnością. Zachodnioeuropejska moralizująca krytyka amerykańskiej polityki zagranicznej była określana jako "arogancja bezsilności": czyż tego określenia nie można było stosować a fortiori do moralizmu antypolityki. Antypolityka jest produktem życia w klęsce. Jak wiele z niej przetrwałoby zwycięsko?

Jeżeli poruszam wszystkie te wątpliwości, zastanawiam się nad różnicami między trzema autorami, nad ich niezgodnościami i wspólnymi ograniczeniami, to nie dlatego, bym uważał to, co mają do powiedzenia za sięganie po gwiazdkę z nieba - pogląd szeroko podtrzymywany wśród tych, którzy kształtują zachodni kurs wobec Europy Wschodniej - ale wręcz przeciwnie, ponieważ uważam to za ważne i trafne. Pojęcia "antypolityka" i "Europa Środkowa", chociaż nadal niejasne i połowicznie sprecyzowane, są jak mi się wydaje, niezwykle istotne zarówno dla zrozumienia tego, co mogłoby się zdarzyć w Europie Wschodniej w ciągu najbliższej dekady, jak i potencjalnie dla nadania kształtu tym wydarzeniom.

Oczywiście nie możemy całkowicie ignorować możliwości geopolitycznych przemieszczeń na dużą skalę za zgodą Moskwy: "nowej Jaksy", powiedzmy wynegocjowanej finlandyzacji Europy Wschodniej. Jest to jednak mimo wszystko mało prawdopodobne. Nie możemy również całkowicie odrzucić możliwości daleko idących reform popieranych przez Gorbaczowa i wprowadzanych przez nową generację przywódców komunistycznych w Europie Wschodniej... reform ekonomicznych ale o

politycznych następstwach, świadomie akceptowanych przez tych przywódców, co jednak wydaje się coraz mniej prawdopodobne. /Obecnie jest tylko jeden znaczący przykład - Węgry - ale nawet on jest drobny, kruchy i niejednoznaczny/.

Zdecydowanie możliwa i prawdopodobna jest natomiast kontynuacja powolnego, bezładnego, rozbitego na części procesu różnicowania, w którym narody Europy Wschodniej będą stopniowo w różny, zawiśnięty sposób osiągać w praktyce coraz większe obszary de facto pluralizmu i niezależności - kulturalnej, społecznej, ekonomicznej - obszary częściowo przyznane im świadomie przez ich władców, ale przede wszystkim wyrwane tym władcom dzięki "presji oddolnej". Nie będzie to postęp "zreformowanego" i przez to ponownie powołanego do życia komunizmu, ale regres upadającego niedosłownie totalitaryzmu. Raczej ottomanizacja niż finlandyzacja radzieckiego imperium.

Jeżeli jest choć trochę prawdy w tej prognozie, ważne będzie określenie kształtu, jaki przyjmie owa presja oddolna. Czy będzie gwałtowna, czy nie, jednostkowa czy zbiorowa, zorganizowana czy bezładna? W obecnej praktyce istnieje oczywiście różnorodna i ciągle zmieniająca się mieszanka tych składników w każdym z krajów: w jednym jest to przede wszystkim presja indywidualnych oczekiwań, w innym ujawnia się ona poprzez Kościół, w jeszcze innym jest to prymitywna groźba gwałtownej rewolty. Sformułowanie "antypolityki" w najeźerszym znaczeniu jest próbą zarówno scharakteryzowania jak i nadania kształtu owej presji oddolnej. Jest to pół-opis, pół-zalecenia. Obejmuje on przestrzeń istniejącą pomiędzy państwem i jednostką, władzą a tymi, którzy są jej pozbawieni. Skupia się na problemach średniej wielkości - wybiega poza egoistyczne zainteresowanie ojców rodzin, ale nie sięga horyzontu pełnej, narodowej niepodległości. W systemie imperialnym, którego głównymi instrumentami dominacji są kłamstwo, przemoc, atomizowanie społeczeństwa oraz zasada "dziel i rządź", antypolityk odpowiada nakazami życia w prawdzie, niestosowania przemocy, walki o społeczeństwo obywatelskie oraz ideą Europy Środkowej.

Nowa Europa Środkowa jest właśnie ideą. Na razie nie istnieje. Istnieje natomiast Europa Wschodnia - jest nią część Europy militarnie kontrolowana przez ZSRR. Nowa Europa Środkowa musi być dopiero stworzona. Nie będzie jednak stworzona przez proste powtarzanie tego terminu jako sloganu modnego od Kalifornii po Budapeszt ani przez kulturowanie nowego mitu. Jeżeli termin "Europa Środkowa" ma zyskać jakiś określony sens, to dyskusja nad nim musi przenieść swój punkt ciężkości z akcentów deklamatorskich, emocjonalnych i magicznych na trzeźwe i rygorystyczne badania zarówno prawdziwego dziedzictwa historycznego Europy Środkowej /które w równym stopniu dotyczy podziałów jak i kwestii wspólnych/ - jak i prawdziwej sytuacji o obecnej Europie Środkowo-wschodniej, podkreślając tak różnice jak i podobieństwa. Szczęśliwie proces ten już się rozpoczął. W Pradze założenie niezależnego pisma "Střední Evropa" /"Europa Środkowa"/ stało się katalizatorem ostrej debaty między katolickimi i protestanckimi intelektualistami na temat dziedzictwa cesarstwa Habsburgów i Pierwszej Republiki. To jednak dopiero początki.

Jeżeli spojrzymy w przyszłość, widzimy, że kwestią zasadniczą w Europie Środkowej, poza sprawami artykulacji i wzbogacenia krajowych strategii "antypolityki", są z pewnością prawa mniejszości.

Czy Europa Środkowa może znowu zaistnieć, choćby tylko na papierze, w sytuacji, gdy była tak często, tak okrutnie i /z punktu widzenia sąsiednich mocarstw/ tak skutecznie dzielona - w sytuacji gdy różne narody, rasy, kultury, religie próbują /o ile to im się udaje/ współistnieć? Nawet dzisiaj najbardziej otwarci, tolerancyjni, i demokratyczni intelektualisci w Czechosłowacji i na Węgrzech nie są w stanie określić wspólnego stanowiska w kwestii położenia i traktowania węgierskiej mniejszości na Słowacji. Interesująca dyskusja rozpoczęła się w polskiej prasie podziemnej na temat stosunku do Niemiec i niemieckiej mniejszości w Polsce. Aktualnie dyskusja koncentruje się wokół pytania: Czy mniejszość niemiecka istnieje? /Kardynał Glemp zgadza się z generałem Jaruzelskim, że nie istnieje/. Ważniejsze być może pytanie brzmi: Czy dobrą rzeczą byłoby istnienie niemieckiej mniejszości? A co z mniejszością żydowską? A co z ukraińską? Dlaczego więc nie może być węgierskiej mniejszości na Słowacji? Zekładając za każdym razem, że każda z owych mniejszości cieszyłaby się tymi prawami, których określenie jest naszym środkowoeuropejskim zadaniem.

Przeszkody w prowadzeniu środkowoeuropejskiego dialogu są natury historycznej, emocjonalnej i intelektualnej. Są również natury praktycznej. Jest to bowiem debata, w kwestii której władze komunistyczne uczyniły wszystko, co było w ich mocy, by do niej zniechęcić lub by nadać jej szowinistyczny kierunek. A wiele jest w ich mocy. Kiedy mówimy o "podziale Europy" albo o Żelaznej Kurtynie automatycznie myślimy o podziale na Zachód i Wschód i zazwyczaj mamy przed oczami mur berliński. Być może najbardziej nieprzenikliwymi granicami w Europie nie są wcale te między Zachodem i Wschodem, ani nawet /dzięki piętnastoletniej Deutschlandpolitik/ granica niemiecko-niemiecka. Ze względu na swobodę poruszania się i prawdziwą wymianę kulturalną być może najtrudniejszą do przeniknięcia w dzisiejszej Europie jest granica między Polską a Czechosłowacją. To jest prawdziwa Żelazna Kurtyna. Intelektualiści polscy, węgierscy i czescy spotykają się częściej w Paryżu lub Nowym Jorku niż w Warszawie czy Pradze. Jeżeli czytają nawzajem swoje prace, to raczej po angielsku, francusku lub niemiecku; z kilkoma wyjątkami ich teksty nie są tłumaczone na język sąsiadów. Łatwiej jest spotkać się z nimi autorowi tego eseju, trudniej dochodzi do ich wzajemnych spotkań. Jeżeli mają jakąś wspólną płaszczyznę - osiąągają ją niezależnie. W tej sytuacji możemy być mile zdziwieni, że jest ona tak rozległa.

Ta wspólna płaszczyzna jest potencjalnie ogromnie ważna w tej części Europy, w której żyją: w Europie Wschodniej in acta, w Europie Środkowej in potentia. Czy ma to jednak jakiś związek z zachodnimi intelektualistami? To również jest część środkowoeuropejskich roszczeń. W sensie negatywnym niewątpliwie ma jako swoisty poradnik dotyczący natury totalitaryzmu i metod wszczepiania ideologii. Na przykład: nikt, kto uczciwie przeczytał i przetrwał to, co Michnik i Havel mają do powiedzenia, nie może nadal wierzyć, że istnieje w rzeczywistości jakakolwiek strukturalna symetria albo moralna ekwiwalencja między dominacją amerykańską nad Zachodnią Europą, a dominacją radziecką nad Europą Wschodnią. /Obawiam się, że to niebezpieczeństwo istnieje dla przypadkowego czytelnika Konrada/. Niewątpliwie trzej autorzy mieli dobroczynny wpływ na część

zachodnioeuropejskiego ruchu pokojowego. Większość pozytywnych i dei przez nich popieranych nie jest uderzająco nowa /choć w niczym przez to nie gorsza/, a te które są nowe, w sposób bynajmniej nie oczywisty związane są z naszym zachodnim położeniem. Tak jest na przykład z próbami interpretowania działalności zachodnich ruchów na rzecz pokoju, jako fragmentu walki o społeczeństwo obywatelskie - próbami, które nie bardzo są przekonujące. Większość z nas nadal sądzi, że wie co rozumiemy - w Wielkiej Brytanii lub Stanach Zjednoczonych - pod kategoriami prawicy i lewicy.

Nadal wierzę jednak, że mają oni do zaoferowania nam skarb. Tak jak umieją najlepiej, dają swoją osobą przykład, jakiego nie znajdujemy w Waszyngtonie, Londynie czy Paryżu, przykład nie tylko błyskotliwości, rozumu i oryginalności, ale intelektualnej odpowiedzialności, prawości i odwagi. Wiedzą oni - o czym przypominają nam żywo i usilnie, że idea i słowa mają znaczenie oraz swoje konsekwencje i nie wolno ich używać lekko - Michnik cytuje Lampedusę: "Najważniejszych słów nie wolno wykrzykiwać". W ciemnościach totalitarnej władzy większość idei i słów zostaje zdeformowana, wydaje się groteskowa lub po prostu krucha. Bardzo niewiele słów wytrzymuje egzamin pozostając jak kamień w obliczu presji; większość z nich nie jest nowa. Są to rzeczy, za które warto cierpieć. Są to moralne absoluty. Nie o wszystkim bowiem można dyskutować.

"Życie w poczuciu klęski jest destruktywne" - pisze Michnik - "ale tworzy ono również wielkie wartości kulturowe", które leczą. Wiedzieć jak żyć z klęską, oznacza wiedzieć jak znieść los, jak wyrazić brak zaufania do sił, które pretendują do roli losu". Te cechy i wartości wyłoniły się z ich specyficznego środowiska europejskiego doświadczenia, które jest głównym europejskim doświadczeniem naszych czasów. Skoro możemy więc czytać to, co napisali, być może będzie można nauczyć się trochę z ich doświadczenia, bez konieczności zaznania go.

Rosyjska poetka Natalia Gorbaniewska powiedziała mi kiedyś: "Wiesz, George Orwell był wschodnim Europejczykiem". Być może powinniśmy teraz powiedzieć, że Orwell był środkowym Europejczykiem. Jeżeli to właśnie rozumiemy pod pojęciem Europy Środkowej, sam wystąpiłbym o obywatelstwo.

## Przypisy:

<sup>1</sup> Prezentowany tekst jest rozszerzoną recenzją następujących książek:

- Vaclav Havel, The Power of Powerless: Citizens Against the State in Central-Eastern Europe, Wyd. Hutchinson, Londyn 1986, s. 228.
- Vaclav Havel, The Anatomy of Reticence, Charta 77 Foundation, Voices from Czechoslovakia, No. 1, Stockholm 1986, s. 34.
- George Konrad, Antipolitics: An Essay, Harcourt Brace Jovanovich, bmidw, s. 243.
- Adam Michnik, Letters from Prison and Other Essays, University of California Press, 1986, s. 354.
- Adam Michnik, Takie czasy... Rzecz o kompromisie, Aneks, Londyn 1986, s. 140.
- Jan Józef Lipski, KOR: A History of the Worker's Defense Committee in Poland, 1976-1981, University of California Press, 1986, s. 561.

<sup>2</sup> Przejście graniczne między Berlinem Wschodnim a Zachodnim.

<sup>3</sup> 18 lipca 1985, s. 42-48.

<sup>4</sup> Cytaty w tym ustępie pochodzą z jego eseju "Mein Traum von Europa" /w:/ Kursbuch 81 /wrzesień 1985/.

<sup>5</sup> Cytaty z tego wykładu pochodzą z Salisbury Review /styczeń 1985/.

<sup>6</sup> Pokazuje to również Andre Aslund w swej bezcennej książce Private Enterprise in Eastern Europa, Macmillan /St. Antony s, Londyn 1985.

<sup>7</sup> W 1920 roku pokój w Trianon, część porządku stworzonego w Europie po I wojnie światowej z dużym udziałem Woodrow Wilsona, Clemenceau i Lloyd George, pozbawiający Węgry przeszło dwóch trzecich przedwojennych terenów.

<sup>8</sup> Cytat ten pochodzi ze wstępu do niemieckiego wydania esejów Michnika, przedrukowanego w East European Review, Winter 1986.

# Andrzej Drawicz

## Małe, piękne i niejasne

Na początku powiem, żeby sprawa była jasna: idea Europy Środkowej dociera do mnie tylko w bardzo ograniczonym stopniu. Ograniczonym, mianowicie, do programu na przeszłość. Te dwa słowa rezonują mi uczuciowo /a nie intelektualnie/, wywołując miły ciąg skojarzeń. Jest w nich coś z atmosfery dzieciennego pokju lub z choinki ubieranej wspólnie z rodzicami: ciepło, życzliwość, bezpieczeństwo. Słowem: to dobry mit, ze wszystkimi swoimi zaletami. Małe i urozmaicone jest piękne, upływający czas upiększa je dodatkowo; w szczególności lepiej nie wnikajmy, nostalgia uświetni ex post także to, co było w rzeczywistości mizérią lub ciągiem waśni.

Czy zatem, idąc dalej, mniemam, że mit EŚ jest bezużyteczny dla teraźniejszości? Nie, skądże. Timothy Garton Ash w swoim świetnym szkicu /który jest tak samo dobry, jak żyć - bo płaski, nonszalancki i mylący - jest znany tekst Kundery; z kolei jednak bezsporną zasługą tego ostatniego jest przypomnienie pojęcia/ dowodzi, że z wartości osnuwających się wokół pojęcia EŚ można ulepić bardzo prymitywny program na dziś, i że trójka intelektualistów, Czech, Węgier i Polak już to uczyniła, proponując nam antypolitykę, życie w prawdzie i godności, sceptycyzm, trzeźwość, budowanie społeczeństwa obywatelskiego i szanowanie praw człowieka. Wszystko to prawda. Ten błyskotliwy przewód myślowy ma jednak słabe miejsce, o którym Ash wie i sam na nie wskazuje /dlatego wszelka polemika z tym piekielnie inteligentnym Anglikiem jest bardzo trudna, jeśli w ogóle możliwa; Ash jest własnym advocatus diaboli, cgarnia całość uprzedzając możliwe zarzuty/. Otóż w tak zakreślonym obszarze EŚ mogą z powodzeniem zamieszkać na przykład Orwell /i Ash go w EŚ zameldowuje/ i Simone Weil i, powiedzmy Böhneffer, a z drugiej strony Mandelsztam, Bukowski i Sacharow. A skoro tak, to granice geograficzne, co do których i tak wszyscy piszący zgadzają się, że trudne do wytyczenia, rozmywają się zupełnie - i zamiast ducha EŚ wywołujemy raczej mit Europy w ogóle. A skoro w następnej kolejności swój akces /połączony z protestem przeciwko zawężaniu pojęcia/ zgłoszą z pewnością jacyś Kankei, Latynosi i Afrykańczycy - stanie się jasne to, o czym Ash od początku wie, że dwusłowie EŚ odrywa się zupełnie od desygnatu, oznaczając po prostu quantum satis dzisiejszej postawy człowieka próbującego żyć i myśleć uczciwie.

Nasze "małe piękne" jest więc w równym stopniu niejasne i wszelkie pożytki, moim zdaniem, kończą się w momencie, gdy zaczynamy sens EŚ wyjaśniać i uściślać. Niech pozostanie tą inspirują-



ca niejasnością, tj. dobrym mitem; a kiedy tak je dla siebie określiam przestaję mnie, szczerze mówiąc, obchodzić, ponieważ mam poważniejsze zmartwienia. Powiem o nich w skrócie. Trapi mnie pytanie, czy uda się wreszcie przyłączyć /nie - włączyć! może jeszcze ściślej: przycumować/ do Europy Środkowej czy Wschodniej, byle do Europy w ogóle - Rosję. Odbieramy stamtąd - najostrożniej szacując - sygnały takich tęsknot, chęci, a nawet zamiarów. Docho- dzą one jednocześnie z różnych, górnych, środkowych i dolnych warstw społecznych. Asumpt dały tu z pewnością reformy gorbaczow- skie, ale chodzi tu nie o nie, lecz o inny wymiar, szerszy i głębszy. Nazwę go tęsknotą za normalnością. A normalność ta oka- zuje się z grubsza mieścić w pobliżu średnich, europejskich stan- dardów. Oczywiście wszystko tu bardzo upraszczam. Jednak jest faktem, a ściślej: zespołem faktów, że w nowym ujęciu odżywa te- raz resztkowicie, rosyjski problem wyboru orientacji okcydenta- listycznej, zachodniej. Homo russicus nie okazał się tak dosz- czętnie i nieodwracalnie sovieticus, jak wieszczyli kasandryczka- nie czarnowidze typu Michała Hellera czy Aleksandra Zinowiewa.

A co będzie dalej; jak się to nowe pogodzi z aspiracjami in- nych, sowieckich obszarów cywilizacyjnych, już zupełnie nieeuro- pejskich? I czy przetrwa? Tego nie wiem. Nie wiem też, czy rosyj- ski niedźwiedź nie narobi w europejskich salonach sporego zamie- szania. Pewnie tak właśnie będzie. Wszystko trzeba będzie grodzić, wytyczać i ustalać od nowa. Pojęcia "środką", "wschodu" i "zacho- du", i tak ruchome, zawierają jeszcze bardziej. Na wschód od nas - od nas, bo my przecież jesteśmy środkowymi Europejczykami; bonny soit qui mal y pense! - wytworzy się sfera podciśnienia, która może wessać niejedno. Słowem: od przybytku zabolą głowy!

Zapewne będą to głowy nie nasze; tylko naszych potomków. W każdym razie życząc im, żeby takie kłopoty mieli, bo w razie prze- ciwnym pielęgnowanie nostalgicznego mitu EŚ będzie dla nich jedy- ną deską indywidualnego i społecznego ratunku. A tego, przy całej dla owego mitu sympatii, nie życząc nikomu.

Andrzej Drawicz

# Jacek Baluch

## Idea „środka”, a tożsamość czeskiej kultury

W roku 1983 we francuskim *Debat*, a w roku 1984 w amerykańskim *The New York Review of Books* opublikował Milan Kundera esej, którego polski tytuł brzmi: "Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej". Tekstem tym Kundera po raz kolejny zwrócił na siebie uwagę zachodniej krytyki. Według opinii Ivana Svitáka, czeskiego filozofa wykładającego aktualnie w *Chico State College* w Kalifornii, "Szkic Milana Kundery o tragedii Europy Środkowej /.../ wzbudził więcej zainteresowania czeską problematyką niż wszystkie towarzystwa emigracyjne razem wzięte". Również w Polsce twórczość Milana Kundery znajduje się od pewnego czasu w centrum uwagi - w ostatnich latach Kundera jest u nas najczęściej tłumaczonym czeskim autorem. Tłumaczy się jego powieści i eseje, przedrukowuje wywiady, których udziela.

Warto więc zwrócić uwagę, że motyw "Europy środka", stanowiący jedną z dominant esejistyki Kundery, nie jest u niego absolutnym *novum*, że w podejmowaniu tej problematyki przez Czechoów nie jest on aktualnie kimś jedynym i że sama ta problematyka - w konsekwencji położenia Czech w centrum Europy - jest jednym z kapitalnych problemów tożsamości czeskiej kultury, głęboko zakorzenionym w jej historii i zbiorowej podświadomości narodu.

Tej właśnie problematyce poświęcony jest mój szkic.

1. W potocznej wyobraźni Czechoów bardzo mocno zakorzeniło się przeświadczenie o Czechach jako o centrum Europy. Chcąc podkreślić wagę tego położenia, cytują Czesi zdanie Bismarcka, że "kto ma Czechy, trzyma w szachu Europę"<sup>2</sup>. A w turystycznych folderach dla cudzoziemców nazywają Pragę - sercem Europy.

W opowiadaniu "Erzeg snów", które napisał urodzony w roku 1899 Karel Konrád, jego bohater, c.k. jeometra, opowiada, jak to w roku 1889 w Czechach południowych, niedaleko Lišova, wiedeński urząd kartograficzny postanowił wyznaczyć punkt, w stosunku do którego miano odtąd oznaczać wysokość geograficzną w całej monarchii austro-węgierskiej:

"Od takiego miejsca, mocnego jak opoka, na której Piotr zbudował Kościół Boży, łatwo jest wyprowadzić miarę wszystkich okolicznych wzniesień /.../

Poczynania geometrów w lasach liszowskich /gdzie horyzont drga miękkim błękitem/ były tak niezwykłe i zagadkowe, że łatwo stały się przyczyną wieści szerszącej się między ludem, wybuchającej tak nagle, jak cud kulisty błyskawicy.

- Znaleźli u nas środek Europy!

- Centrum Europy!

Ciekawscy zjeżdżali tłumnie, aby na własne oczy zobaczyć, jak to w ich rodzinnym powiecie odkrywają ci panowie z Wiednia samo ognisko jednej z części świata, o wiele, wiele starszej niż Dziesięcioro Przykazań<sup>3</sup>.

Historia, która stała się motywem opowiadania Konrada, jest prawdziwa i niewątpliwie przyczyniła się do wyobrażenia, że "środek Europy" znajduje się w Czechach. W roku 1961 miałem okazję osobście usłyszeć w Pradze od Helenki, dziewczyny mieszkającej w pobliżu największego w tej części Europy pomnika: "Wiś, Jacku, że u nas je stród Evropy?" W powieści Josefa Škvoreckiego "Tchórze" /Zbabełci/, którą mi wówczas poleciła jako zakazaną lekturę, także można znaleźć zdanie: "Kostelec leżał w samym środku Europy"<sup>4</sup>.

Wyobrażenie to przenika bardzo głęboko czeską świadomość kulturalną. Określenie Czech jako "środku" Europy, a Pragi jako jej "serca" zawiera przy tym mocny akcent wartościujący. Metafora serca oznacza bowiem nie tylko życiowe "centrum" w sensie biologicznym; w sercu - dobrym, szlachetnym, prawym etc. - lokujemy wszak tradycyjnie to, co w człowieku najlepsze, najwartościowsze. W ten sposób pojęcie "środku" uzyskuje swój kolejny wymiar - etyczny. A przy tym istnienie takiego "środku" jest jedną z najgłębszych potrzeb egzystencjalnych człowieka. Mówi o tym także bohater Konrada, wspominając swą miłość i ukochaną pracę:

"I ja, szalony, wierzyłem, że odkryłem stały punkt dla swojego serca, a nie tylko dla badań naukowych.

Stały, niezmienny punkt, o którym, zda się, marzył Archimedes, locus p e r e n n i s; wysokość ponad poziom morza 565,158 m - jak wyryto na granitowym cokole owego obelisku"<sup>5</sup>.

2. Symbolika "środku" - jak pokazuje Eliade - należy do najbardziej archaicznej warstwy symboli kultury i posiada głęboki sens sakralny i egzystencjalny<sup>6</sup>. Przed historykiem kultury czeskiej wyłania się w tym kontekście z naturczywą koniecznością wizja Jana Amosa Komenskigo, który "labiryntowi świata" przeciwstawił "lusthaus srdce" /"raj serca" - jak mówią dziś Czesi/. Z tego to "domu" wyrusza pielgrzym Komenskigo w wędrówkę po świecie i do powrotu w progi tego "domu" wzywa go Bóg obiecując, że tu odnajdzie wreszcie "w sobie - siebie":

"Gdzieżeś to bywał, synu mój? Gdzie przebywałeś tak długo? Kędyś chodził? Czegóś to w świecie szukał? Paciechy? A gdzie jej szukać, jeśli nie w Bogu? A gdzie Boga, jeśli nie w jego świątyni? A jakaż to świątynia Boga żywego, jeśli nie świątynia żywa, którą on sam sobie przygotował, serce twe własne? Oto patrzałem, synu mój, jak błądzisz, ale już dłużej patrzeć nie chciałem, przyprowadziłem cię ku sobie, ciebie do ciebie wprowadzając"<sup>7</sup>.

Odnajdując się w swoim sercu, odnajduje pielgrzym Komenskigo Boga, odnajdując Boga - siebie odnajduje. W ten sposób człowiek - nauczca Komenski - potwierdza własną tożsamość: w sobie samym i w łączności z Bogiem, zamieszkującym jego serce.

Odległy w czasie refleks takiego rozumienia ludzkiego serca /"wnętrza" człowieka/, serca pojmowanego jako centrum

s e c u r i t a t i s, odnajdujemy u F.K. Šaldy, kreślącego postać Pascala kuszzonego w godzinę śmierci. Pascal skarży się, że Kusiciel przedstawiając mu obraz świata pragnie, by wyobraźnia "zmaciała wody jego wnętrza", "zatarła mi mnie samego". Kusiciel zaś ironizuje, że Pascal ukrył się w "komórcie serca", poza którą boi się wychylić. W walce z szatanem Pascal, bohater opowiadania Šaldy, broni przed zmacaniem spokoju serca, czy też ładu serca, ponieważ sercem - jak mówi - Boga poznał i w sercu się z nim połączył<sup>8</sup>.

Gdyby pokusić się o rekonstrukcję pojmowania "środka" przez Šaldę, okazałoby się, że kategoria ta posiada u niego znaczenie pozytywne w sensie etycznym - tam, gdzie mówi krytyk o ludzkim charakterze, o potrzebie wierności sobie samemu.

Jifi Orten w swoim dzienniku poetyckim notuje pod datą 5 lutego 1938:

"Stań tam, gdzie znajduje się środek świata; i stań w tym punkcie z poczuciem takiej wagi i ważności swojej osoby, że się tam rzeczywiście przeniesie punkt ciężkości świata. A więc, jedynie wierność sobie, swojemu najlepszemu ja, niczego więcej nie trzeba. Stać się tym, kim jesteś"<sup>9</sup>.

Cytat ten podpisuje Orten nazwiskiem Šaldy. I rzeczywiście znajduje się on na kartach miesięcznika "Šaldův zapisnik"<sup>10</sup>. Ale posiada on źródło głębsze, prowadzi do - Herdera.

3. Na trop ten naprowadza Vladimír Macura, który w arcyciekawej książce "Znamení zrodu"/Znaki narodzin/, próbie semiologicznej analizy czeskiego odrodzenia narodowego, poświęca oddzielny rozdział oddziaływaniu Herderowskiej koncepcji "środka" na czeską kulturę tej epoki<sup>11</sup>.

Macura pokazuje, jak w kulturze czeskiego odrodzenia narodowego - w poezji, publicystyce i historiografii - rodzi się owo czeskie pojmowanie "środka", przy czym nie chodzi tylko o konwencjonalne metafory i poetyckie clichés /Czechy jako "delikatna róża spoczywająca na sercu Europy", jako "w sercu Europy tkwiący pak" itp./.. Pojęcie "środka", będące ważnym elementem filozofii Herdera, zostaje przyjęte przez wybitnych przedstawicieli czeskiego odrodzenia /Jungmanna, Kollára, Palackiego/ w sposób programowy, ponieważ odpowiada ideologii narodowej epoki. Z koncepcji "środka" jako "skoncentrowania najlepszych wartości" wyprowadził Jungmann program budowania czeskiej kultury, a Palacký wyciągał wnioski historiozoficzne i polityczne.

Szczególnie ważny jest Palacký, którego pomnikowa historia "Dějiny národa českého v Čechách, a na Moravě" zdominowała wyobraźnię kilku pokoleń - Palacký nazywany "ojcem ojczyzny".

Palacký lokuje Czechy w "środku i sercu Europy". Położenie to - według niego - zdeteterminowało bieg czeskiej historii: ścieranie się różnorodnych tendencji życia narodowego, państwowego i kościelnego, współzawodnictwo elementu rzymskiego, germańskiego i słowiańskiego. Położenie to określało również historyczną rolę narodu czeskiego, który winien "służyć jako most między Niemcami a Słowiańszczyzną, między Wschodem a Zachodem Europy w ogóle"<sup>12</sup>.

W tym kontekście zrodziła się też idea polityczna, która przeszła do historii pod nazwą austroslawizmu, a której twórcą i gorącym obrońcą był właśnie Palacký. Często cytuje się zdanie Pala-

ckiego, że gdyby nie było Austrii, należałoby ją wymyślić. Dla Palackiego bowiem monarchia Habsburgów była wypróbowanym elementem równowagi w Europie środkowej. Dlatego w swoim słynnym liście do parlamentu frankfurckiego z roku 1846 ostrzegał przed próbami osłabienia Austrii w związku państw niemieckich. Osłabienie takie byłoby bowiem zachętą dla rosyjskiej ekspansji, a wraz z nią jawił się groźba monarchii "uniwersalnej" - "jak ją nazywał /dziś przełożylibyśmy to zapewne na "totalitarną"/. Z tego samego powodu uważał, że rozbiście monarchii Habsburgów na szereg republik byłoby niebezpieczne - stworzyłoby to podstawy /według Palackiego/ do rosyjskiego panowania. "Idea państwa austriackiego" sznagała dla Palackiego federację małych narodów, zamieszkujących Europę środkową. Jeśli jednak ostatecznie Austria przeszła do historii jako "więzienie narodów", to stało się tak dlatego, że idea Palackiego nie została zrealizowana.

Krach aspiracji narodowych w roku Wiosny Ludów, epoka nazywana w Czechach "absolutyzmem Bacha", wreszcie dualizm austriacko-węgierski z roku 1867, który pomijał historyczne prawa królestwa czeskiego i narodowe aspiracje Czechów, spowodowały, że Czesi odwrócili się od Austrii, mieli walny udział w rozbiściu Austro-Węgrów, przy której to okazji wzięli "historyczny rewanż" na Węgrzech za rok 1867. /Sam Palacký, rozczarowany się do Austrii stał się pod koniec życia rusofilem, na przekór swoim poprzednim poglądom. Ten wariant historii powtórzył się notabene w wieku XX, kiedy rozczarowany do Zachodu Beneš dla odbudowania republiki szukał oparcia w Moskwie tak, jak pielgrzymujący tam w wieku XIX jego rodacy/.

4. Zrodzona w epoce odrodzenia narodowego problematyka "środkowa" powracała później w postaci sporów politycznych, bądź sporów o orientację kulturalną /na przykład w sporze między "kosmopolityczną" szkołą tzw. lumirówców z Vrchlickim i Zeyerem na czele a szkołą "narodową", co było zresztą pewną odmianą sporu orientacji na Zachód, traktowany jako obcy, i na "swojski", słowiański Wschód/. Ale nie był to "jedyne aspekty tej problematyki. Istotą dokonanego wówczas wyboru, decyzji stania się "samym sobą" /uznaniem siebie za "środek świata" według formuły Herdera/, stała się - w warunkach nieustannego zagrożenia bytu narodowego - konieczność nieustannego potwierdzenia tego wyboru.

To właśnie nazwał Milan Kundera w swoim znanym esej "czeskim zakładem"<sup>15</sup>. Zakład czeski napisał Kundera już na emigracji, ale bohemiści łatwo wskaże jego wcześniejsze źródła z lat sześćdziesiątych. Wówczas to bowiem, przypominając dramatyczne pytanie Schauera o sens egzystencji narodu, poruszył Kundera po raz pierwszy problem, dla którego później znalazł tak celną, Pascalowską formułę - "czeski zakład".

Hubert Gordon Schauer /1862-1892/, czołowy krytyk swoich czasów /a była to epoka, gdy rodziła się świadomość narodowa, z którą Czesi mieli wejść w wiek XX/, rzucił w roku 1887 pytanie, które miało wstrząsnąć czeskim sumieniem; czym Czesi jako naród usprawiedliwiają swoje istnienie wobec siebie samych i wobec świata. Ponieważ potwierdzenia tego szukali Czesi w kulturze, zwłaszcza w sztuce słowa, Schauer bardzo krytycznie ocenił pod tym względem czeską literaturę. I pytał, czy Czesi winni się poddać ostatecz-

nie germanizacji czy rusyfikacji, czy mają się zadowolić rolą pośrednika, czy też stać ich na stworzenie wartości własnych, będących potwierdzeniem ich narodowej tożsamości<sup>14</sup>.

W tym samym czasie Tomáš Masaryk, późniejszy twórca Czechosłowacji i jej pierwszy prezydent, toczył niemierną gwałtowną kampanię przeciw zmistyfikowanej świadomości narodowej, której symbolem były dla niego uznawane za staroczeski zabytek romantyczne falsyfikaty Václava Hanka - "Rękopis Królowodvorski" i "Zielonogórski". Schauer - użyjmy terminologii Kundery - pytał, czy "zakład czeski" można wygrać, Masaryk dążył do tego, żeby grać uczciwie, bez szwindłów.

5. W roku 1918 powstała Republika Czechosłowacka. W republice tej Czesi zrealizowali zasadę niepodległości swojego narodu w stopniu, dla którego w czeskich dziejach trudno znaleźć precedens. Ale upadek republiki w wyniku dyktatu monachijskiego /dla którego historycznych analogii nie brak/ sprawił, że sprawa czeska stała się na nowo otwartym "zakładem".

Przed Czechami znowu stanął problem politycznej, a w konsekwencji także kulturalnej, orientacji.

6. Po roku 1945 kwestia ta nabrała szczególnej ostrości. Orientacja polityczna - wschodnia - była przesądzona. Chodziło natomiast o to, w jakiej mierze uda się zachować ekonomiczne i kulturalne więzy z Zachodem. Václav Černý, po śmierci Šaldy najwybitniejszy czeski krytyk, tak o tym pisał: "Z Zachodem musimy za wszelką cenę utrzymać użyźniający kontakt duchowy, ponieważ z racji całej swojej prastarej kultury jesteśmy narodem zachodnim i przerwanie tej odwiecznej łączności oznaczałoby, że popadniemy w kryzys duchowej bezradności i bezkształtności, pozbawionej fundamentów"<sup>15</sup>.

Jednakże Černý, który - jak znaczna część ówczesnej czeskiej inteligencji - lewicował, w nowej sytuacji próbował dostrzec także jakąś szansę, rzecz można, historyczną, i to w duchu dziewiętnastowiecznej idei "środka". Kontynuując powyższą problematykę pisał po wizycie we Francji:

"/.../ Dopiero tam uświadomiłem sobie w pełni to, co u nas nie jest w żaden sposób jasne i oczywiste, dlaczego właśnie w nas zachodnioeuropejscy intelektualiści dosłownie pokładają nadzieję, co i na nas nakłada większe zobowiązania: jesteśmy w tym momencie w położeniu narodu uprzywilejowanego, będąc - obok straszliwie wyniszczonych Polaków - jedynym narodem o kulturze wybitnie zachodniej, wkraczającym w sferę decydującego polityczno-kulturalnego wpływu Rosji. Problem pożądanego syntezy jest nam dane - ba, zadane rozwiązywać jako pierwszym, a być może - jako pierwszym dla całej Europy"<sup>16</sup>.

Trudno dziś orzec, w jakiej mierze wypowiedzi te były szczerze, w jakim zaś stopniu wypływały z przyjętej taktyki. W ówczesnych kampaniach polemicznych "Kritický měsíčník" niewątpliwie często robił dobrą minę do złej gry. Z drugiej jednak strony Černý, kiedy po wielu latach wydawał swój esej "O powazie naší kultury" /O charakterze naszej kultury/, nie zaparł się w nim myśli o socjalizmie jako o jednej z wielkich idei kształtujących europejską



kulturę<sup>17</sup>. Co jednak charakterystyczne, w postawie Černego znowu pojawia się idea "środka" jako wartości, szansy.

7. Nic więc dziwnego, że powróciła ona w latach sześćdziesiątych, kiedy znowu ożyła myśl o Pradze jako o "moście między Wschodem a Zachodem". Szereg inicjatyw w ówczesnym życiu kulturalnym miało wskazywać, że Czesi do tej roli słusznie pretendują.

W tym nurcie odnajdujemy Milana Kunderę jako autora szkicu "O sporech dędických" /Spór o dziedzictwo/, w którym domagał się prawa do korzystania z nie okrojonej tradycji oraz eseju o powieściopisarstwie Vladislava Vančury, w którym odrzucając obowiązującą dotąd dychotomię realizmu i awangardyzmu walczył o nowe pojmowanie sztuki socjalistycznej. W tradycji własnej lewicy /Bedřich Václavek/ szukali wówczas Czesi inspiracji dla "syntezy" realizmu z awangardą, szukali wsparcia w ówczesnych koncepcjach Garaudy'ego /"realizm bez granic"/, odkrywali na nowo prażanina Kafkę<sup>18</sup>.

Ale najszlachetniejsza z owych inicjatyw, mających budować wspomniany "most", spotkanie z włoskimi komunistami w Liblicach, w roku 1964 pokazało, że Czesi nie byli w stanie pełnić tej roli nawet w kontakcie między Wschodem a zachodnimi komunistami, którzy spotkanie to odczytali jako chęć załatwienia partykularnych spraw czeskich i odmówili mu szerszego znaczenia<sup>19</sup>.

Dopiero rok 1968 wydaje się stwarzać taką perspektywę "syntezy", o jakiej myślano /być może/ w inteligentkich kręgach lewicy przed rokiem 1948. /Jeśli tak, można by Czechów uważać za "eurokomunistów" avant la lettre!/. Można bowiem uznać, że postulat "socjalizmu z ludzką twarzą" był próbą stworzenia wzorca socjalizmu możliwego do przyjęcia na Zachodzie<sup>20</sup>. Niezależnie od politycznej perspektywy, z jakiej przyszedłoby oceniać ten fakt, historycy kultury zauważą, że oto Czesi znowu pełnią tutaj rolę "środka", choć kierunek oddziaływania miał być zasadniczo inny niż w epoce odrodzenia narodowego.

8. Epoka powojenna, życie w "świecie podzielonym" /jak się to mówi w żargonie politycznym/, nie sprzyjały jednak postawom wypośredkowanym. Żądały ostrych wyborów. Uznawały istnienie dwóch tylko stron - jedynej barykady. Od kultury, w której tradycja europejska widziała instrument łagodzenia różnic politycznych, żądały politycznego "określenia się".

Jak w tej sytuacji bronić kultury, która jednym ze znaków swej tożsamości uczyniła "środek"? /W tym kontekście można też rozważać kwestię kultury politycznej: demokracja wszak jest szczególnym przypadkiem realizacji zasady "środka"/.

Diagnoza Kundery jest pesymistyczna - nie tylko nie ma już "środka", nie ma także kultury, która potwierdzałaby tożsamość człowieka, społeczeństwa czy narodu. Żyjemy w czasach "postkulturalnych", w czasach, w których nastąpiła "abdykacja kultury". Znakiem tego upadku jest zniknięcie kultury Europy środkowej. Godząc się na zanik swojego centrum, przybliżyła Europa zachodnia swój własny kres. "Zakład czeski" - apeluje Kundera do wyobraźni Zachodu - przestał być tylko sprawą czeską, jest także sprawą Europy. Ze sprawy czeskiej pragnie Kundera uczynić sprawą europejską. Nasuwa się natychmiast oczywista analogia z polityczną tezą Masary-

ka, że kwestia czeska albo się stanie kwestią światową, albo w ogóle nie będzie żadną kwestią.

W "Zakładzie czeskim", w eseju "Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej" /oba te dopełniające się eseje należy czytać łącznie/ oraz w towarzyszących im wywiadach, które do problemu tego nie wnoszą jednak elementów nowych, kreśli przede wszystkim Kundera własną wizję kultury Europy Środkowej.

Europa środkowa pod względem geograficznym, pod względem kulturalnym jest Zachodem, a politycznym /od roku 1945/ - Wschodem. I na tym - według Kundery - polega jej dramat znaczący datami 1948, 1953, 1956, 1968, 1970, 1976, 1980, 1981, przy czym w polskich, węgierskich i czeskich zrywach lat 1950, 1968, 1980 obok motywów społeczno-politycznych pojawia się zawsze moment kultury jako sprawa narodowej tożsamości.

Kiedy po raz pierwszy przebuja Kundera przybliżyć Francuzom dziedzictwo kultury Europy Środkowej wymienia obok Haška Kafkę, obok Bohuslava Martina Schönberga i Bartóka, Freuda, Brunona Schulza i Gombrowicza, Dery'ego i Miłosa Formana. W eseju "Zakład czeski" podkreśla wkład Praskiego Koła Lingwistycznego i kręgu praskich Żydów piszących po niemiecku, skupionych wokół Kafki i Broda. Geniusz żydowski stanie się w "Zachodzie porwanym..." najważniejszym według Kundery żywiołem dla kulturalnego fenomenu Europy Środkowej. W eseju tym bardzo ważne są też akcenty polskie: Kołakowski, Miłosz, Gombrowicz. Sam Kundera podkreśla, że od Polaków wiele się nauczył, jeśli chodzi o sprawę Rosji. Wywód na temat środkowoeuropejskiej nieufności wobec historii, na temat "mądrości niepowagi, która kpi sobie z wielkości i chwali" poin-tuje Kundera cytatem z Gombrowicza: "Nie zapominajmy, że tylko przeciwstawiając się historii jako takiej, możemy oprzeć się tej dzisiejszej". I zdanie to tak komentuje: "Chciałbym wyrzucić to zdanie Gombrowicza na wrotach do Europy Środkowej".

9. Ten motyw "niepowagi" znajdujemy w niezwykle interesującym artykule, podpisanym znaczącym pseudonimem Josef K. "Średni Europa - anekdota a historia" /Europa Środkowa - anegdota i historia/<sup>21</sup>. Sferą historii prawdziwej jest dla Josefa K. Zachód, sferą ahistoryczną /"bezdziejową"/ jest historia Rosji utożsamiana z historią państwa, beczasowa i zaczynająca się jakby od nowa z każdą zmianą władzy. Europa środkowa natomiast jest sferą, w której historia zamienia się w farsę. Taki jest też dla autora głębszy sens Haškowego "Szwejk'a".

Bardzo obszerny esej Josefa K. wchodzi jakby w środek cyklu rozważań Kundery o kulturze środkowoeuropejskiej. Josef K. przypomina wystąpienie Kundery na IV zjeździe pisarzy w czerwcu 1967 i jego pierwsze "francuskie eseje", z kolei Kundera z uznaniem odwołuje się do jego eseju i - jak widać - podejmuje niektóre jego wątki. W eseju Josefa K. znajdujemy liczne - czeskie - loci communes /kwestia "małego narodu", koncepcje polityczne Palackiego, sprawa czeska Schauera/. Mówiąc o niezrozumieniu przez Austrię jej historycznego pośmittania przywołuje autor na świadka Josepha Rotha. Defilują przed nami kolejni pisarze - Austriacy, Węgrzy, Czesi i Polacy /Musil, Horvath, Hrabal, Schulz/, w geograficznych granicach miast, które określają zasięg regionu /Mönachium, Drezno, Kraków, Lwów itd./. Praga znowu okazuje się cen-

trum. Koniec formacji oznacza i zagłada Żydów i przerodzenie się urzędnika w biurokratę - trudno streszczać ten niezwykle bogaty esej, zasługujący na pewno na przekład.

Pojawia się u Josefa K. problem, który zasługuje jednak na specjalne zasygnalizowanie: traktowanie ekspresjonizmu jako prądu środkowoeuropejskiego. Josef K. podejmuje tu problematykę, którą w Polsce - na materiale czeskim i środkowoeuropejskim - przedstawił już wcześniej Jindřich Chalupecký w eseju "Richard Weiner i ekspresjonizm czeski", drukowanym u nas w roku 1978<sup>22</sup>.

Przegląd ten - nie mający ambicji wyczerpania całości tematu /ze względu na zrozumiały/ - należałoby też uzupełnić o fakty świadczące o dużym zainteresowaniu kulturą środkowoeuropejską w Czechach na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych: o liczne wystawy poświęcone sztuce secesji /z wielką wystawą poświęconą twórczości Alfonsa Muchy, gdzie zwiedzający stali w długiej kolejce/, o wystawy sztuki ekspresjonistycznej. Mówię o faktach, które znam z autopsji.

Wszystkie te fakty, historyczne i współczesne, pokazują jedno, że eseistyka Kundery jest niezwykle mocno zakorzeniona w czeskiej tradycji kulturalnej i podejmuje problematykę, która także dla współczesnych stanowi istotny element czeskiej tożsamości narodowej<sup>23</sup>.

Czy eseistyka Kundery trafia w samo "jądro" kulturalnej problematyki czeskiej? Czy trafnie sytuuje środek kwestii czeskiej? Można o tym dyskutować. Natomiast z całą pewnością twórczość Kundery - choć pisana obecnie z dala od Pragi, "serca" Europy i Czech - znajduje się w centrum uwagi. Kundera jest dziś najbardziej znanym w świecie czeskim pisarzem i swoją twórczością kształtuje w świecie postać spraw czeskich.

## Przypisy

<sup>1</sup> Cyt. za Svědectví 1985, nr 74, s. 362.

<sup>2</sup> Por. Josef K., "Střední Evropa: torzo omilané historie", Svědectví 1981, nr 63, s. 444.

<sup>3</sup> K. Konrád "Erzeg snów". Przeł. E. Bryll, S. Grochowiak, W. Rutkiewicz, Warszawa 1964, s. 299-300.

<sup>4</sup> J. Škvorecký, "Tchórze". Przeł. E. Witwicka, Katowice 1964, s. 44.

<sup>5</sup> K. Konrád, op. cit., s. 301.

<sup>6</sup> Por. M. Eliade, "Sacrum, mit, historia", Warszawa 1974.

<sup>7</sup> J.A. Komenský, "Labyrint světa a ráj srdce", Praha 1984, s. 137; pierwodruk: Amsterdam 1623. W nowszych wydaniach Czesi usunęli "lusthaus", germanizm, który we współczesnym odbiorze byłby z pewnością zbyt rażąco, wprowadzając na jego miejsce "raj". W ten sposób jednak uległa zatarciu metafora "domu", z którego wyrusza i do którego powraca pielgrzym Komenskiego.

<sup>8</sup> F.X. Šalda, "Pokušení Pascalovo", "Šaldův zápisník" I, 1927/28, s. 283-289.

<sup>9</sup> J. Orten, "Deníky Jiřího Ortena. Poezie - myšlenky - zápisky", Praha 1958, s. 52.

<sup>10</sup> Šaldův zápisník VII, 1934/35, s. 152.

<sup>11</sup> V. Macura, "Znamení zrodu. České obrození jako kulturní typ" Praha 1983, s. 198-207. Lekturze Macury praca ta wiele zawdzięcza. Stała się ona dla mnie rozrusznikiem wyobraźni, pozwoliła połączyć w całość i zebrać rozproszone fakty i pomysły.

<sup>12</sup> Por. F. Palacký, "Dějiny národa českého v Čechách a na Moravě dle původních pramenů", Praha 1848, t. I, s. 9-13; por. też V. Macura, op. cit., s. 201.

<sup>13</sup> M. Kundera, "Zakład czeski". Tłum. A. Koźakowska, Zeszyty Literackie, 1983, nr 1, s. 26-31.

<sup>14</sup> Problematykę tę porusza Schauer w dwóch klasycznych artykułach: "O podmínkách i možnosti národní české literatury" /O warunkach i możliwości narodowej literatury czeskiej/ oraz "Naše dvě otázky" /Dwie nasze sprawy/.

<sup>15</sup> V. Černý, "Mezi Východem z Západem", Kritický měsíčník VI, 1945, s. 73.

<sup>16</sup> V. Černý, "Ještě jednou: mezi Východem a Západem" /K problematice socialistické kultury u nás/, 1/, tamże, s. 141.

<sup>17</sup> Por. V. Černý, "O povaze naší kultury", München 1981. Esej Černego, poświęcony głównym ideom kształtującym europejską kulturę od V wieku przed Chrystusem po nasze czasy, ma budowę wybitnie dramatyczną. Pokazuje socjalizm jako ideę, która miała być ukoronowaniem, najwyższym stopniem rozwoju europejskiej kultury w naszych czasach, a w efekcie zaprzeczyła wszystkim po kolei stopniom rozwojowym, które ku niej prowadziły.

<sup>18</sup> W akapicie tym mam na myśli wczesny esej Kundery "O sporech dědických" /Spór o dziedzictwo/, opublikowany w czasopiśmie Nový život w roku 1955, który w Czechach odegrał podobną rolę, jak pochodzący z tego samego czasu esej Flaszera o schematyzmie w Polsce oraz książkę Kundery "Umění románu. Cesta Vladislava Vančury za velkou epikou" /Sztuka powieści. Droga Vladislava Vančury do wielkiej epiki/, Praha 1961. Na temat Kafki zorganizowali Czesi w roku 1964 wielką międzynarodową konferencję w Liblicach.

<sup>19</sup> Niezależnie od niepowodzenia tej akcji w sensie kulturalnym można w niej widzieć początki orientacji eurokomunistycznej, która aktualnie ma swoją kontynuację zarówno w Czechach jak i na emigracji.

<sup>20</sup> Por. J. Hejl, "Kwestia czeska a polska alternatywa". Artykuł Hejla jest przykładem coraz bardziej krytycznej oceny lat sześćdziesiątych, którą spotykamy dziś nierzadko u czołowych twórców tych lat, np. Havla, Trefulki - wymieniam tych, u których ze zjawiskiem tym spotkałem się przypadkowo, nie podejmując specjalnie poszukiwań w tym kierunku.

<sup>21</sup> Esej Josefa K. miał taki właśnie tytuł. Publikując ten tekst w Śwědectwi redakcja skróciła go nieco i zmieniła tytuł, por. przypis 2. Korzystałem z wersji czasopiśmienniczej.

<sup>22</sup> J. Chalupceky, "Richard Weiner i ekspresjonizm czeski". Przeł. J. Waczków, Literatura na Świecie VIII, 1978, nr 12/92, s. 146-187. W tym kontekście - skoro wymieniony został esej Černego o ideach kształtujących europejską kulturę i ich refleksie w kulturze czeskiej - należałoby jeszcze wspomnieć o eseju J. Němeca i M. Hyblera "Porwanie Europy", który dotyczy problemów Europy jako pewnej całości kulturowej, nie jest więc "czeski" jak późniejszy szkic Kundery, zob. J. Němec, M. Hybler, "Únos Evropy", Paternos-ter 1983, nr 1, s. 70-89.

<sup>23</sup> Esej "Zachód porwany..." spowodował szeroką polemikę, w której obok Czechów wzięli udział Rosjanie i Węgrzy, Francuzi, Amerykanie. Streszczenie tej polemiki byłoby materiałem na kolejne wystąpienie. Najczęstszymi punktami sporu było "wykluczenie" przez Kunderę Rosji z Europy, spojrzenie na problematykę środkowoeuropejską z perspektywy francuskiej. Odrzucano także tezę o zniszczeniu przez "Rosję" kultury czeskiej, wskazując na rodzime źródła jej degradacji.

Twórczość Kundery budzi dziś wśród Czechów gwałtowne spory. Osobiście sam cenię dużo wyżej jego eseistykę niż powieściopisarstwo - w moim przekonaniu najlepszą powieścią Kundery pozostał nadal opublikowany w Czechosłowacji w roku 1967 "Žart" /Žert/; w późniejszych powieściach cenię najwyżej ich partie eseistyczne. Uwaga na marginesie: w szkicu tym pomijam całowicie problem, w jaki sposób idea "środką" oddziaływała negatywnie na czeskie koncepcje polityczne, na czeski lojalizm i inne fakty z dziedziny "mentalności narodowej", choć kwestię tę zauważa i cytowany przeze mnie Macura, i - piszący w duchu obrachunkowym - Josef K. Czynię tak, ponieważ punktem wyjścia jest esej Kundery, traktujący "środkowoeuropejskość" jako wartość właśnie w sensie pozytywnym, jaką czeskie odrodzenie narodowe przejęło z ideologii niemieckiego nacjonalizmu i filozofii Herdera.

---

Dr hab. Jacek Baluch jest docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie wykłada literaturę czeską. Artykuł publikujemy bez wiedzy i zgody autora.

# Nie mówcie: Europa

## Rozmowa z Leszkiem Szarugą

**EUROPA:** Ostatnio pojęcie Europy Środkowej staje się jakby coraz bardziej modne. O problematyce tej piszą m.in. Timothy Garton Ash, Milan Kundera, ale także i inni. Również w twoich wierszach z cyklu "Nie mówcie Europa" znalazło się dla niej miejsce. Czy można zatem sądzić, że masz do tego pojęcia, jako czegoś, co daje się zdefiniować - a może nie - swój własny stosunek?

**LESZEK SZARUGA:** Nie wiem, czy to pojęcie daje się zdefiniować. Mam natomiast wewnętrzne przeświadczenie, że taki obszar w kulturze istnieje i daje się jakoś historycznie i geograficznie wyodrębnić. Jego wyznacznikiem geograficznym jest dla mnie przestrzeń złożona z obszarów dawnej I Rzeczypospolitej i dawnej C.K. Austrii, dla której w kulturze powiedzmy sygnałem wywoławczym byłaby "Austria felix". Jest to w obydwu przypadkach przestrzeń współżycia wielu języków, wielu narodów. Jest to przestrzeń przecinania się wpływów Północy i Południa, Wschodu i Zachodu. Jeśli przyjąć np., że istnieje w kulturze europejskiej wyraźny podział na kulturę basenu Morza Śródziemnego, którego rzecznikiem był w polskiej eseistyce Ryszard Przybyłaki, z drugiej zaś strony obszar kulturowy wyznaczony przez północne średniowiecze, o którym bardzo interesująco pisze Maria Janion w książce "Czas formy otwartej" - olbrzymi esej ukazujący odmiennosc Północy - to myślę, że Polska jest dokładnie na przecięciu wpływów Północy i Południa, Wschodu i Zachodu. Nie można jej jednoznacznie przyporządkować nigdzie. Myślę, że Polska stanowi bardzo silnie oddziałujące centrum na zewnątrz. Nie w sensie politycznym, lecz kulturalnym, że jest jakąś "dziwnością" w kulturze europejskiej. Zresztą również politycznie. Mam tu na myśli specyficzną demokrację szlachecką.

**E.:** Czy nie jest jednak przypadkiem tak, że każdy z narodów zamieszkujących tereny Europy Środkowej mógłby o sobie powiedzieć dokładnie to samo, bo każdy z nich ma aspiracje, by być centrum i przedmurzem zarazem. To samo mogą powiedzieć o sobie Węgrzy, Estończycy, Litwini...

**L.SZ.:** Z tym ostatnim niezupełnie bym się zgodził. Na pewno Estonia i Łotwa to kraje peryferii Europy Centralnej. Kraje te - jeśli spojrzeć na ich dorobek kulturalny - mało ważyły w prowadzonych tu dyskusjach. Natomiast Litwa, Ukraina czy Białoruś należą w moim rozumieniu niewątpliwie do obszaru Europy Środkowej, obszaru, który Stępiński czy Vincenz nazywali obszarem Międzymorza. To bardzo ciekawa koncepcja eseistyczna. Otóż wydaje mi się, że te właśnie nacje zostały przez nas w jakiś sposób - może i



nieświadomie - kulturowo podbite. Powoduje to rozliczne problemy. Ta kolonizacja, to spolonizowanie np. Białorusi pojawia się także w sporach z Białorusinami na emigracji bardzo wyraźnie, chociażby w wydanej ostatnio bardzo ciekawej książce Sokrata Janowicza "Białoruś, Białoruś", gdzie autor zgłasza jakby wobec Polaków pretensje o niedocenywanie narodowych aspiracji Białorusinów. Podobnie dzieje się z Litwinami. Trzeba pamiętać o tym, że warstwy oświecane były mocno spolonizowane. Do dziś Litwini mają np. za złe Giedroyciowi, że robi polskie czasopismo i jest Polakiem. Tego typu pretensji było wiele. Złożyły się one na bardzo nieprzyjemny układ stosunków polsko-litewskich w okresie międzywojennym. Nie mówię tu tylko o pretensjach terytorialnych, które Litwa zgłaszała wobec obszarów zajętych przez Polskę, ale chodzi mi również...

E.: Mówisz o okresie 1939-40?

L.SZ.: Nie tylko o tym, choć wtedy właśnie kompleksy litewskie objawiły się bardzo silnie, szkodząc zarówno nam jak i im. Ale mam na myśli głównie okres międzywojenny i martwą granicę między Polską i Litwą. Pamiętamy tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego, włączonego do I Rzeczypospolitej, pamiętamy tradycje Rzeczypospolitej Obojga Narodów - właściwie należałoby mówić trojga narodów, bo nie należy zapominać o Rusinach, którzy mieli własną reprezentację w sejmie I Rzeczypospolitej - mamy w pamięci związek orła i pogoni, a zapominamy, bo nie chcemy pamiętać, że stosunki te były po 1919 roku bardzo napięte. Jest to jakby czarna dziura naszej kulturalnej i politycznej pamięci.

E.: Z tego wszystkiego, co powiedziałaś, można wywnioskować rzecz następującą - pozwolisz, iż wrócę do mojego pytania - że obraz Europy Środkowej nie jest jednak jednolity. Z jednej strony masz nację o silnej tradycji, długiej historii, np. Polska, która potrafi na przestrzeni dwustu lat od unii z Litwą spolonizować bojarów litewskich, czy Węgrzy, a z drugiej takie, jak Słowacy i Białorusini, których kultura i świadomość narodowa i historyczna zaczynają krystalizować się dopiero w XIX wieku. Podkreślam tu ciągle te elementy, które niejako przeczą istnieniu pojęcia Europy Środkowej.

L.SZ.: Nie jestem do końca pewien, czy taki obszar da się wyodrębnić kategorycznie, natomiast jestem przekonany, że odgrywa on pewną rolę w kulturze, powiedzmy także niemieckiej czy czeskiej.

E.: Właśnie. Może powiedzmy coś o tych wartościach duchowych bo do tej pory rozpatrujemy głównie aspekt geograficzny.

L.SZ.: Popatrzmy na przykład na sarmacki cykl wierszy Johanna Bobrowskiego. To szalenie ciekawe, że pisarz niemiecki sięga ku tradycji tego typu. Popatrzmy na Gdańsk Grassa, który jest miastem pogranicza, miastem wszystkich i niczym, bo na pewno nie niemieckim, na pewno nie polskim, na pewno nie żydowskim. Jest jedną z tych wysepek Europy Środkowej w XX wieku. Popatrzmy na eseistykę Vincenza czy Stępowskiego, gdzie bardzo wyraźnie istnieje obszar niejako wymieszania. Stępowski pisze, że na obszarze Międzymorza określenie własnej narodowości było często problematyczne. Syn Polki i Niemca mógł się zdefiniować jako Litwin. Tego typu problemów było wiele. Dzisiaj są one nie do pomyślenia. Z

drugiej strony także współcześnie istnieje ciąg ku pewnym centrom. Przeglądałem ostatnio współczesną antologię polskiej poezji Wileńszczyzny i stwierdziłem ze zdumieniem, że Wilno staje się centrum, do którego ściągają Polacy np. ze Lwowa czy innych miejsc w Sowietach. Staje się jakby ważnym centrum polskości. Nie mówię już o tym, że ukazuje się tam wysmiewany przez nas "Czerwony Sztandar", ale istnieje także polskojęzyczna rozgłośnia radiowa, funkcjonuje środowisko literackie. Jest kilku całkiem niezłych poetów, np. Mazur, poeta by tak powiedzieć "postbiałoszewski", zresztą bardzo interesujący i będący niewątpliwie twórczą indywidualnością. Mamy tu więc do czynienia z bardzo interesującą współczesną wysepką polskich Litwinów, czy też litewskich Polaków. Łodobnie można zauważyć, zwłaszcza po 1968 roku, ciąg Słowaków raczej ku Polsce niż ku Czechom. Ciągłe istnieją na tych obszarach bardzo trudne problemy. Z jednej strony pamięć czy raczej mit harmonijnego współżycia, bo czasami wyglądało to naprawdę bardzo dramatycznie, z drugiej zaś niebezpieczeństwo, że próba określenia własnej odrębności budził będzie bardzo silne nacjonalizmy i ksenofobie. Widoczne to jest także u Polaków, którzy pod dominacją sowiecką stali się bardziej nacjonalistyczni, niż byli kiedykolwiek dotąd.

E.: Trzeba jednak pamiętać, że wygrywanie przeciwko sobie swoich własnych kompleksów i antagonizmów pojawia się tak naprawdę dopiero w XIX wieku, w momencie rodzenia się poczucia narodowościowego i myślenia tymi kategoriami i to ono stało się powodem zburzenia owego harmonijnego współżycia.

L.SZ.: Wcale nie jestem o tym przekonany, że to współżycie było harmonijne. Wiek XIX rzeczywiście był okresem powstawania nowoczesnych państw i narodów. Obszar, o którym mówimy jest jednak o tyle dziwny, że właśnie w XIX wieku narody go zamieszkujące nie posiadały bytu politycznego. Tęsknota do takiego bytu zrealizowana została jedynie przez krótki okres dwudziestolecia międzywojennego, a i to nie wszędzie, bo na przykład nie na Ukrainie czy Białorusi. Istnieje na ten temat piękny esej Mariana Brandysa "Królestwo Białorusi". O Ukrainie w ogóle nie ma co mówić. Jej aspiracje państwowe pozostają nie zrealizowane praktycznie od czterystu lat...

E.: Praktycznie nie były nigdy...

L.SZ.: Istniały jednak zawsze próby stworzenia państwa ukraińskiego, mam tu na myśli chociażby obietnice Hitlera składane Ukrainie podczas ostatniej wojny.

E.: Ale to tylko w momentach przełomowych...

L.SZ.: Twory powstające w wyniku tych prób nigdy nie były w stanie utrzymać swojej państwowości, nie były w stanie okrzepnąć. Poza tym na terenach pogranicza istnieją zawsze tereny sporne. Jeśli Ukraina czy Białoruś nigdy nie posiadały własnej państwowości, to problem oznaczenia granic między nimi a Rosją czy Polską czy między nimi wzajemnie, staje się sprawą niezmiernie delikatną, niewymierną i trudną zważywszy, że cały czas na tych ziemiach trwało przemieszczanie się i wzajemne przenikanie tych narodów.

E.: Czy nie uważasz, że jest to także polski problem, że jest to również syndrom polskiej choroby?

L.SZ.: Jest to również syndrom polskiej choroby, choć w mniejszym stopniu...

E.: ... i dopiero teraz usiłujemy znaleźć się jakoś w tym wszystkim, choćby na łamach naszych czasopism.

L.SZ.: Myślę, że w ten sposób wychodzi polski kompleks winy wobec tych narodów, o którym bardzo rzadko się mówi. Kompleks, który uświadomiliśmy sobie m.in. dzięki wspaniałej publicystyce Mieroszewskiego, ale nie tylko dzięki niemu. Duże zasługi ma także "Kultura" paryska, jeśli idzie o budzenie naszego poczucia winy wobec sąsiadów, zwłaszcza wschodnich, czy państw bałtyckich, będących dziś republikami Sowiećów. Jest to jedna z najważniejszych rzeczy, jakie dokonują się po wojnie, przeorywuje bowiem świadomość Polaków. Z drugiej strony jednak, gdy popatrzyć na literaturę piękną, to znów budzą się dziwne sny i mity, czy to w "Rozmowach polskich" Rymkiewicza, czy w "krótkich dniach" Paźniewskiego, mity sielankowo wspólnego ze sobą Międzyomorza. Paźniewski pisze w pewnym momencie niemal wprost, że współżyły ze sobą na tym terenie trzy języki, splatały się ze sobą dymy trzech świątyń. Ma tu oczywiście na myśli prawosławie, judaizm i katolicyzm. Mamy więc z jednej strony ów mit i jakby tęsknotę za ową sielanką nie istniejącą zresztą faktycznie nigdy, z drugiej zaś rosnące poczucie winy i odpowiedzialności za los słabszych. Słabszych może nie tylko w sensie czysto fizycznym, ale również położenia geograficznego. Mówimy ciągle "geopolityka" wskazując na polskie niemożności. A cóż ma powiedzieć na litość boską Ukraina, cóż ma powiedzieć Białoruś, o których niebycie politycznym decyduje właśnie geopolityka. Tyle co sobie wywalczyli jakby siłą rozpędu, chytrychsi polityki stalinowskiej to to, że mają odrębne reprezentacje w ONZ. O realnych aspiracjach politycznych tych narodów nie należy jednak zapominać, choć nie są one być może lubiane przez Sowiety czy także przez Polaków.

E.: Czy nie uważasz, że nagłe zainteresowanie się Polaków tematyką środkowoeuropejską jest również w jakimś stopniu próbą znalezienia jakiegoś wyjścia przewyciężenia konfliktów i antagonizmów narodowościowych i wynikającego z nich poczucia winy wobec tych nacji?

L.SZ.: Słuchaj, strasznie nie lubię tego całego gadania, że to się teraz nagle zaczęło. To wcale nie zaczęło się nagle. Jeśli sobie przypomnieć "Europę w rodzinie" Czapskiej, eseistykę Vincenza i Stępowskiego, "Rodzinną Europę" Miłozsa, to problem Europy Środkowej i Międzyomorza zawsze w polskiej literaturze istniał. Po artykułach Kundery, Kisa i innych Węgrów, po włączeniu się do dyskusji Zagajewskiego, wygląda na to, jakby problem Europy Środkowej i Międzyomorza na nowo powstał. Problem ten nie powstał na nowo. Istnieje on w kulturze polskiej przynajmniej od początku stulecia, jeśli nie wcześniej.

E.: Ale u Vincenza dominował raczej idylliczny obraz Kresów, obraz harmonijnego współżycia narodów...

L.SZ.: To nieprawda. Vincenz opisywał pewne realia, opisywał swoje życie i życie swoich rodziców, pewien realny pejzaż społeczno-polityczny, który istniał, w którym on żył i w którym czuł się zakorzeniony. Problem Europy Środkowej nie jest, jak już powiedziałem, w polskiej kulturze nowy. Został on niejako na nowo

postawiony. Postawiono wobec niego nowe pytanie. To niewątpliwie. Jeśli jednak popatrzeć na linię "Kultury" paryskiej od samego początku jej istnienia, to zakładała ona istnienie Europy Środkowej jako pewnego realnego bytu politycznego. Nie tylko społecznego, nie tylko kulturowego. Spójrzmy na przykład na pewne tendencje polityczne istniejące w Europie międzywojennej, np. na Małą Ententę. Dzisiaj problem Europy Środkowej został jedynie zmitologizowany, zresztą głównie przez Kunderę. Ja mam Kunderę czy Węgrom do zarzucenia jedno, zresztą Polakom uczestniczącym w tej dyskusji również, a mianowicie to, że zapominają o całym pasmie narodów położonych na wschód od Polski.

E.: Czy jednak fakt dostrzegania tych nacji na początku naszego wieku, np. plany federacyjne, nie miał czysto instrumentalnego, tzn. czysto politycznego charakteru, podczas gdy teraz mamy również do czynienia z próbą moralnego przezwyciężenia problemu?

L.SZ.: Oczywiście, że tak. W dwudziestoleciu międzywojennym, a także i wcześniej, tzn. w XIX wieku, koncepcja jagiellońska, koncepcja federacyjna była niesłychanie żywa i jednocześnie ściśle polityczna, choć nie sądzę, by nie miała jednocześnie pewnego wydziwisku kulturowego. Obejmowała jednak tylko sprawę Kresów wschodnich i dojścia ku Morzu Czarnemu. W tej chwili dyskusja postawiona została inaczej. Obejmuje również pytanie, co z Czechami, co z Węgrami, co z Rumunami, a także co z Niemcami. Przecież Niemcy klasycznie i geograficznie rzecz biorąc, do Europy Środkowej należą. Powiem więcej. Istnieje pewna koncepcja polityczna, powstała po 1956 roku, ogarniająca planami jakby "federacyjnymi" pewien obszar, tzn. Czechosłowację, Niemcy, Polskę i Austrię. Mam tu na myśli koncepcję nazywaną planem Szpackiego, która wyodrębniła pewien obszar Europy Środkowej, próbując go niejako scalić w inny niż kulturowy sposób, tzn. czysto politycznie. Oparta jest ona również na centralnym położeniu tych państw.

E.: Chciałbym poruszyć kwestię, od której być może powinniśmy zacząć rozmowę. Mówimy bowiem cały czas, czym jest Europa Środkowa, o tym, jak dalece termin ten istnieje, tzn. jak dalece na pokrycie w wartościach kulturowych czy innych...

L.SZ.: ... oh przepraszam, że ci przerywam. Istnieje o tyle, o ile się o nim mówi.

E.: Może trzeba było zacząć od tego, czym jest dla nas Europa w ogóle?

L.SZ.: Ten problem został postawiony w artykule wstępnym do pierwszego, jeszcze podziemnego wydania "Res publiki". Wyróżniono tam jakby kilka planów pojęcia Europy: plan czysto kulturowy, polityczny i oczywiście plan geograficzny. W każdym z tych planów pojęcie to wygląda zupełnie inaczej, np. Europa jako tradycja, Europa jako współczesność. Zastanawiałbym się, czy istnieje dzisiaj Europa w klasycznym rozumieniu tego terminu. Czy możemy się odwoływać do jakiejś istniejącej wspólnoty, bo do wspólnoty tradycji na pewno. Ale czy my Polacy nie jesteśmy przypadkiem oglądani przez ludzi Zachodu jako jakieś przedpotopowe zwierzęta. Trochę tak jest. Zarówno w planie naszych doświadczeń cywilizacyjnych, mam tu na myśli cywilizację czysto techniczną, jak i w planie naszych ambicji kulturowych.

E.: W twoim wierszu "Nie mówcie Europa" znajdują się takie słowa:

"Nie ma nadziei - mówię  
 Ni: ma ocalenia.  
 Tonie Wenecja, kruszeje Notre Dame.  
 Konstandinos Kawafis nie przyjdzie.  
 Jacys obcy nadchodzą.  
 Mówią dziwnym narzeczem.  
 Śpiewają tęskne pieśni..."

To tak, jak gdyby Europa się kończyła...?

L.SZ.: Oh, ona kończyła się wiele razy, np. po wędrowce ludów, które szalały Rzym, czy podczas naporu Turcji. Europa kończyła się wielokrotnie, ale również w momentach mniej widowiskowych, np. w Jałcie, na Kongresie Wiedeńskim, w Wersalu czy Monachium. Ciągłe nadchodzili "jacys obcy". Czy oni nadchodzili z zewnątrz, czy wychodzili spośród nas, to wszystko jedno. Barbarzyńcy bowiem przychodzą nie tylko z zewnątrz, ale rodzą się także pośród nas. Jednak siłą Europy, i to jest niesłychanie ważne, jest jej zdolność odradzania się, co więcej jej zdolność kwestionowania samej siebie. Bardzo pięknie pisał na ten temat w jednym ze szkiców Leszek Kożakowski. Jednak tak sformułowany problem dotyczy także Ameryki.

E.: Dlatego też m.in. postawiłem pytanie o to, czym jest dla nas Europa?

L.SZ.: Polska poezja się tym zajmuje. Na przykład w którymś z wierszy Ważyka, czy Mieczysława Jastruna, nie pamiętam w tej chwili, pojawia się określenie Suroameryka.

E.: Niemal obiegowym już stwierdzeniem stało się, że Europa, to przede wszystkim dziedzictwo antyku, zachodniego chrześcijaństwa i doświadczenia francuskiego oświecenia, a więc moment, w którym, znów nawiązując do Kożakowskiego, pojawia się Rozum wątpliwy.

L.SZ.: Tak, jednak zauważ, że współczesna Europa kwestionuje wszystko poza antykiem, tzn. racjonalizm oświeceniowy i zdobycze - zdobywcze ze znakiem zapytania - rewolucji francuskiej, a także chrześcijaństwo. To z czym stykasz się na Zachodzie, jest nieustannym dystansowaniem się, zwłaszcza wśród młodzieży, wobec kościoła i wobec chrześcijaństwa jako dziedzictwa europejskiego.

E.: A neokonserwatywizm?

L.SZ.: To bardzo ciekawy ruch, ale on przychodzi do nas z Ameryki.

E.: Swoje korzenie ma jednak w Europie, przecież, głównie w Anglii.

L.SZ.: Tak, korzenie ma w Europie, ale nie tylko w Anglii. Również we Francji. Przeciwnicy rewolucji francuskiej byli przecież konserwatystami, a idea konserwatyizmu dotarła do Ameryki za pośrednictwem Tocqueville'a.

E.: Należy jednak rozgraniczyć doświadczenia rewolucji francuskiej od doświadczeń rewolucji cromwellońskiej i amerykańskiej, jako tych, które nie musiały sięgać po przemoc, po terror, które nie musiały w pewnym momencie pożerać własnych dzieci.

L.SZ.: To może zaczęlibyśmy szukać analogii z Solidarnością?

Tekst powyższej rozmowy nie jest autoryzowany.

# Richard Wagner

## Miedzy braćmi.

### Rejestr wschodnioeuropejskich nienawiści

---

1.

Gdy byłem dzieckiem moja rodzina mieszkała na wsi w rumuńskim Banacie w rogu trzech państw: RUMUNII, JUGOSZAWII i WĘGIER. Należeliśmy do niemieckiej mniejszości - banackich Szwabów. Pilność, czystość, porządek, przyzwoitość - oto samookreślenie tych ludzi. Wszystko inne było nieszczęściem albo zrządzeniem losu. Przegraliśmy wojnę, przyszli ROSJANIE i wszystko nam zabrali. Naszymi sąsiadami byli RUMUNI. Wołosi - powiadali krzywiąc się Szwabi. Zagnieździł się tu po wojnie w opuszczonych domach. Sąsiedzi mieli dużo dzieci - siedmioro, a co roku przybywało im kolejne. Są brudne - mówiła matka - nie myją się. Bawiłem się z nimi na ulicy. Do ich domu nie wchodziłem nigdy. U nich śmierdzi - mówiła matka. Nie brałem też od nich jedzenia. Nauczyłem się ich języka - one mojego nie. Nie wiedzą co to ciasto - mawiała matka - podając co niedzielę kawałek tortu dziewczynce sąsiadów, lnianowłosej blondyneczce w grubych szklach, która przynosiła nam pod okno mleko.

2.

Babka opowiadała, że pierwszy RUMUN przybył do wsi przed tamtą wojną. Szedł boso, a ponieważ zawsze prowadził ze sobą osła, nazywano go Gyuri Osioł. Zwierzęta trzymał też w domu. Mieszkał w jednej izbie, a w drugiej były owce i osioł. W 1918 roku przyszli RUMUNSCY żołnierze. Niedaleko od naszego domu postawili szlaban. Mieli przewieszane przez ramię stare strzelby, a na nogach sandały. Spali w stodole na słomie. Kiedyś także RUMUNI mówili po szwabsku. Najmowali się jako parobcy u chłopów. Było ich pięć rodzin. Teraz na ulicy słyszy się tylko RUMUŃSKI - mówiła moja babka, która już nie żyje. W szkole uczyła się WĘGIERSKIEGO. Wtedy był to język urzędowy.

3.

Szwagier mojego dziadka był w Temesvarze szewcem. W latach dwudziestych został komunistą. Walczyli wtedy o lepszy świat, np. o osmiogodzinny dzień pracy. Jego koledzy z pracy byli w Budapeszcie w czasach Węgierskiej Republiki Rad. Mówili po NIEMIECKU, ale

---

Mniejszą tekst pochodzi z tomu "Die andere Hälfte Europas", Kursbuch 81, Berlin 1985.



o robotniczej sprawie rozmawiali po WĘGIERSKU. "Bela Kun" - mówił i - "szlachetna sprawa". Tak mówili. Zaraz po utworzeniu Wielkiej RUMUNII szwagier dziadka musiał pójść do wojska, do RUMUNSKIEGO wojska. Jeszcze w sześćdziesiątych latach, gdy już od dawna był w cywilu opowiadał pewien epizod z tamtych czasów. Jego kolumna marszerowała zakurzoną wiejską drogą. Było lato. Chłopi poruszali się leniwie po rozgrzanych polu. Nagle dał się słyszeć zgiełk i nawoływania. Chłopi pobiegli na skraj drogi i ukłękli pochylając głowy. Drogą, przy akompaniamencie trzasków z bicia przemiałał powóz wiozący bojara. Szwagier dziadka był zarejestrowanym członkiem RUMUNSKIEJ Partii Komunistycznej. Czytał Nepszadsag, organ WĘGIERSKIEJ Socjalistycznej Partii Robotniczej, który prętemował - jeszcze wtedy było to w RUMUNII możliwe - i co wieczór oglądał program telewizyjny z Budapesztu. W sierpniu 68 roku, gdy szef naszej partii wygłosił przemówienie przeciwko wkroczeniu państw Układu Warszawskiego do CZECHOSŁOWACJI, powiedział: On to jeszcze odeszczeka. Według szwagra mego dziadka socjalizm był w 68 roku w CZECHOSŁOWACJI w niebezpieczeństwie, tak jak w 56 roku na WĘGRZECH, jak w 1919 w niebezpieczeństwie była Republika Rad, zdławiona potem przez RUMUNSKIE oddziały.

4.

Gdy miałem dwanaście lat panowała u nas na wsi taka moda, by uczyć się gry na akordeonie. W posiadaniu rodziny znajdował się stary dwunastobasowy Honner, na którym wujek, mieszkający teraz w Brazylii, zanim w wieku siedemnastu lat nawiał w mglistą noc do SS, zagrał mojej babce po raz ostatni La Palomę, tak że aż chwyciła za serce, jak się o tym wyrażała. Miałem mały ręczny wózek, na którym ciągnąłem akordeon przez Heidegasse do owej kobiety, którą tuż przed końcem wojny, gdy także u nas była wojna, odzamek granatu zranił w stopę i która zostawiła starą panną zarabiając na życie lekcjami muzyki. Pewnego razu z wysokiej bramy na Heidegasse wyszedł barchasty mężczyzna i krzyknął po RUMUNSKU: Ty faszystowski bękarciu! Żebyś cię więcej nie widział przed moim domem! Uciekaj na drugą stronę tam, gdzie mieszkają ci twoi hitlerowcy.

5.

Oni - zmieniał właśnie oponę i mówił ciężko dysząc - zachapali dzięki swoim machlojkom cały Siedmiogród. Zawsze w odpowiednim momencie po stronie zwycięzców. W obie wojny wojowali na giełdzie dyplomatów i przy konferencyjnym stole. Teraz mają nasz Siedmiogród. I co z niego zrobili? Nie mają nawet Coli. Gdy jedziesz do RUMUNII, od razu widzisz: zaraz za Gyula ciemno jak w dupie. Nie ma światła, nie ma ogrzewania. Kible zasrane, że w ogóle wejść nie można. Mówię ci, Europa kończy się w Budapeszcie. Popatrz na te stoły. To ma być restauracja! A to wszystko kosztuje pieniądze! To CYGANIE, którzy jeśli się czegoś nauczyli, to najwyżej od Turków. Nie wiedzą nawet skąd pochodzą. Rzymianie! Ani śladu jakiejś architektury, a jeśli już od dawna nic nie mają. Przechodzą do nas w ramach przygranicznego ruchu turystycznego kupować czekoladę dla dzieci. Nasi celnicy mówią im: bierzcie, u was przecież niczego nie ma. Gadanie! A kto nas uszczęśliwił tym małym faszystą Horthy' m? Przyjechał w 1919 na białym koniu w ślad za ich inwazy-

nią armią. Teraz krzyczą, że zabrał im północny Siedmiogród i że my też tego chcemy, bo od pewnego czasu nie uważamy go już za skonczonego łotra. A oni? Ze swoim Antonescu? Z obrzyźnieniem odsunął na bok butelkę z sokiem, w którym pływało kilka kłaków. Gówno! Ale tak tu już jest. Wszyscy milczą i klaszczą. Ta bęja<sup>3</sup> przecież nie wybuchnie. Płacić - zawołał na kelnerkę po WĘGIERSKU.

6.

Europa wschodnia jest mała. Jej granice wyglądają jakby nakreślone niepewną ręką. Europa wschodnia nie jest wygodna. Życie we wschodniej Europie jest jak jazda drugą klasą. Europa wschodnia jest młoda. Nie przeżyła przeciętnego ludzkiego życia. Po upadku Monarchii przejęła fragmenty jej infrastruktury. Europa wschodnia nie wyszła nawet poza początki kapitalistycznego rozwoju, zahamowanego przez wybuch wojny światowej i przerwanego przez stalinizm. Ignoranka interwencja stalinizmu w umacniająca się dopiero tożsamość Europy wschodniej wywołała trwającą do dziś i przybierającą na sile tęsknotę za status quo ante. Dlatego to, co w 1918 roku wyłoniło się z łona monarchii, jawi się jako urzeczywistnienie odwiecznych marzeń, Jałta natomiast jako unieważnienie roku 1918.

7.

W "Neues Deutschland", które coraz rzadziej jest w kioskach, można było niedawno przeczytać nagłówek: "Z precyzją Zeissą". Obok przechodzi dwóch młodych ludzi. Jeden z nich mówi po RUMUNSKU mocno poirytowany: Ty, ona miała na sobie tylko jedną parę gaci, Zeiss! A te nogi, Zeiss! Popatrz na nich, tych jak mówił jeden, Niemców drugiej kategorii. Wiesz już kto. Popatrz tylko na te ich samochody. Trabant - mówił z naciskiem. Pudła z dyktu. Atrapa samochodu. Załadowują je swoimi śmieciami i na Bałkany. Albo po prostu z plecakiem. Sport to u nich ideologia państwowa. Gimnastykowanie gnatów, by zagrano hymn narodowy. To wszystko, co im jeszcze pozostało po Hitlerze. Mogą podróżyć - do nas. Przyjeżdżają, zajmują nam plażę, niszczą je, a potem jadą dalej - do BUŁGARÓW i tam okupują plażę. Z BUŁGARAMI mogą mówić po ROSTYJSKU. Łałatwiają ich i jadą do nas. Wyciągają z kieszeni tak zwane pieniądze - marki! Idź, kup za to coś w shop'ie!

8.

Pamiętam starych, chudych mężczyzn, jak siedzą w wozowni dziadka. Dziadek hebluje i nabija felgę na koło. Pachnący tytoniem starcy o wodnistych, błyszczących oczach mówią załamującym się głosem: Będzie wojna. NIEMCY znowu podnoszą głowę. Ten Adenauer. Na dworzec czasami zaszczeeka pies. Brama jest zaryglowana. Dziadek pracuje na lewo. W warsztacie jest ciemno. Ściszone głosy, jakby w drugim planie. RUMUNI są jak chorągiewki na wietrze - powiada ktoś, jakaś rozpiływająca się w głębi twarz. Przecież tak samo postępowali w czasie drugiej wojny. Dziadek nabija felgę na koło.

9.

Nad rzeką, w której kapaliśmy się jako dzieci stoi lokal z ogródkiem. Taki podupadły z powiewającymi, brudnymi obrusami i krzesłami, z których zerwano obicia. Przy stołach siedzi wesóły, pijący ludek. Patrzą na rzekę. Zbliża się ku mnie szydercza, szczerząca szeroko zęby gęba jednego z tych robotników-fuzerów. Poz-

drawia mnie klepięciem po ramieniu. No, stary. To chłopak z sąsiedztwa, z którym niegdyś grywałem w piłkę na łące przed domem. Siada i wyciąga powoli z bardzo obcisłych "original jeans" paczkę kentów kupionych na czarnym rynku. Nówi obracając w zębach białego papierosa niczym dedektyw w telewizji, że jest z Radunkiem. Jest szoferem. Ma także własny samochód. Robię parę kursów ekstra. Kruszywo. Szef, ten nadzwyczaj dokładny NIEMIEC, jest dzisiaj na zebraniu. Śmieje się, potem mówi: Ciagle jeszcze tu jesteś. Uśmiecha się wyrozumiale. Gdybym był NIEMCEM, to na twoim miejscu...

10.

Ulicą lezie WĘGIER. Poznasz go po wielkich wąsach, których koniuszki sterczą do góry. WĘGIER nosi ciemnoniebieskie dżinsy i w nikim nie rozravia. Idzie w stronę budki telefonicznej, wrzuca monetę, a potem długo gada po WĘGIERSKU. Na pewno z kobietą. Teraz jest nad morzem. Jest gorąco. Na plaży musisz przekazać ponad ciałami. Idziesz dalej tam, gdzie stoi tablica ostrzegająca przed niebezpieczeństwem osunięcia się ziemi. Dalej jest plaża nudystów. Za tą tablicą kończy się państwo. Kąpcie się nago, ale my nie bierzemy odpowiedzialności. WĘGIER rozbiera się w marszu i kieruje w stronę grupy nagich ludzi, którzy bardzo głośno pozdrawiają go po WĘGIERSKU. WĘGRZY zawsze trzymają się razem. Nie ucza się też w ogóle obcych języków. Są za mało zdolni, by się ich nauczyć. Ponadto ich kraj wydaje im się ciągle za mały. Upadek Monarchii przyjęli jako okrojenie ich kraju. I o co zatroszczyli się w pierwszym rzędzie? O to, by go powiększyć - naszym kosztem. Już Bela Kun myślał tylko o Siedmiogrodzie. Nieżył komuch. Przepędziliśmy go do Moskwy. Przystąpił tam do Kominternu i co zrobił? Sterroryzował niezłociwymi dyrektywami naszą partię. A my chrniliśmy ich przed Turkami, podczas gdy oni budowali spokojnie swoje kościoły i parlament. Wszystko podpatrzone w Wiedniu. Posłuchaj tylko jak się wydzierają, jakby cały świat musiał znać WĘGIERSKI. Dżicz. Przybyli tu z peklowiną pod siódmem, a teraz mówią o prawomocnych roszczeniach terytorialny h. Słuchaj, możesz mi pomóc jako tłumacz. Chciałem zapytać tego NIEMCA, czy nie sprzedałby marek.

11.

Narody wschodnioeuropejskie żyją w niepewności. Wschodnioeuropejskie narody stoją przy odgradzającym je płocie i patrzą na Zachód. To tak, jakby ktoś stał z tyłu za nimi i mówił do nich, ale one rzucają mu tylko gniewne spojrzenia. Wydaje się, że on to widzi, gdyż po pewnym czasie zaczyna podkreślać wagę swoich słów razami i poszturchiwaniem. Jednak wschodnioeuropejskie narody nadal spoglądają ponad odgradzającym je płotem na Zachód. Widzą tam mieniące się towary i wstrząsa nimi dreszcz. Wschodnioeuropejskie narody nie lubią się nawzajem. Patrzą jedne na drugie i ogarnia je zgroza, jakby zobaczyły własne odbicie.

12.

Po bazarze kręcą się CYGANI w brudnych warkoczach, niechlujnych kolorowych spodnicach i z dziećmi na ręku. Klasyczne CYGANI w trudnym do określenia wieku. Rozmawiają głośno w zgiełkliwym języku obmacując drob. Wymachują rozlicznymi pakunkami i kupują od obojętnych chłopców tłuste gęsi. Przerażone gęsi wyrzucają dzioby

w próżnię. Jedna z CYGANEK zwraca się po RUMUNSKU do stojących gapiów i czcigodnych gospodyń domowych nie mających aż tyle pieniędzy. "Możeście sobie tylko popatrzeć. Dawniej my żarliśmy ścierwo, a teraz wy musicie stać po nie w kolejkach".

13.

Tu w Banacie pierwsi po wojnie SERBOWIE jeździli na drabiniastych wozach i krzyczeli "Živo Stalin", niech żyje Stalin - mówi emerytowany majster. On im odpłacił, tym komunistycznym aparaczkom. Zawsze byli wrogami NIEMCÓW. W czternastym zamordowali zdradziecko następcę tronu, a podczas ostatniej wojny strzelali NIEMIECKIM żołnierzom w plecy. Hans leży pochowany pod Mostarem. Teraz ci partyzanci jeżdżą do NIEMIEC na saksy. A tutaj wykupują wszystko. Co weekend wyjeżdżają stąd w zastawach wypchanych gratami aż po dach: papierosami, zupami w proszku, czekoladą, rajstopami i aspiryną. Włóczykije między Włochami a RUMUNIA. Jak oni to wszystko przewożą przez granicę? - te naczynia, te tekstylia. Sprzedawczy nie w sklepach nie chcą nawet na tutejszych spojrzeć. Wchodzi jego syn. Zaraz zacznie się mecz - mówi. SERBOWIE transmitują derby w telewizji, a wieczorem ma być film. Z tą z wielkimi cyckami. U nich można jeszcze na coś popatrzeć. Nie wycinają zaraz scen, tak jak nasi.

14.

Wschodnioeuropejski nacjonalista dużo rozmyśla o historii swojego narodu. Wschodnioeuropejski nacjonalista jest smutny. Wszędzie widzi pasmo wielowiekowych upokorzeń i oznaki nieodwracalności losu. Miejscem, gdzie może sobie dać upust, jest knajpa. Jak przez mgłę widzi wszystkie te nieodpowiedzialne, naburmuszone sąsiednie narody, którym w głowie tylko korekty granic, jakby były kimś lepszym. Widzi je wyraźnie i one widzą jego. A ponieważ nie może im niczego zrobić, miota jedynie epitetami. Także one nie mogą mu niczego zrobić, ciskają więc w jego stronę tymi samymi słowami, których impet ginie gdzieś w historii, a repertuar jest tak stary, że musi być prawdą.

15.

Bukareszt w maju. Dwóch młodych ludzi ubranych po wschodnioeuropejsku czeka cierpliwie na autobus. Jeden z nich trzyma pod pachą odwrócony do wewnątrz ogromny obraz. Taki w szerokich kiczowatych ramach. Rozmawiają w obcym języku, po POLSKU. Ich zniecierpliwienie rośnie. Nadjeżdża autobus. Zatrzymuje się, jak to jest tu we zwyczaju daleko w przodzie, właściwie już poza przystankiem. Ludzie zaczynają się pchać, obydwaj POLACY także. Ten z obrazem odwraca go z jakiegoś powodu. Widać namalowanego kiepsko, w fatalnej kolorystyce marszałka. Tego ich Marszałka. Zawsze wymyślali najnieprawdopodobniejsze rzeczy. Najpierw Kościół a potem związki zawodowe. Włóczą się z obrazem, ci arystokraci wschodu z bożej łaski. Zawsze przecież byli na czymś utrzymaniu. Porządnego państwa też nigdy nie mieli. Przemieszczali się tylko tam i z powrotem między ROSJĄ a NIEMCAMI. Myślą jedynie o przeprowadzkach. Strajkowali przez całe siedemdziesiąte lata. Kto na to płacił? Tego cholernego autobusu ciągle jeszcze nie ma. W POLSCE byłoby to niemożliwe, ale tu nie POLSKA. A teraz jeszcze do tego zaczyna padać. Zaraz zacznie się transmisja meczu o mistrzostwo Europy. W

telewizji BULGARSKIEJ. Nasi pokazują tylko nasze mecze, a i to od czasu do czasu. Ci handlarze różanego olejku, ci badylarze pokazują wszystko. Dostają zresztą od ROSJAN pieniądze. Chcą zostać sowiecką republiką. Na to potrzebują naszej Dobrudży, a po niej połowy JUGOSŁAWII. Raz w tygodniu mają z Moskwy bezpośrednią transmisję. Nawet ich służba bezpieczeństwa pracuje dla ROSJI. Jeśli teraz przyjedzie autobus, to zdążą jeszcze na mecz.

16.

Bankructwo stalinowskiego hasła o zaostrzającej się walce klasowej i zwycięstwie proletariatu wprawilo realnie egzystujące społeczeństwo ponownie w stan chaosu. Gdy marksizm spadł do rangi "kodeksu zachowań" /Djilas/ tutejsza nomenklatura sięgnęła do tego, co zawsze mobilizowało emocjonalnie małe narody, do nacjonalizmu, czego ideologicznym wynikiem było zawładnięcie świadomości narodowej przez bezradnych władców. Ich drugie pokolenie przyswoiło sobie w kadrowych szkołach jedynie socjalistyczny werbalizm, z którym samo niewiele potrafi napocząć. Zagłębiwszy się w społeczny całokształt stwierdzili, że łatwiej zachować władzę przy pomocy słów używanych przez pokolenie dziadków. Naprzód do słownej walki z sąsiadami. Sąsiedzi tylko na to czekają.

17.

NRD jest kolonią. POLACY piją. CZESZKA jest blondynką. CZECH pije cały dzień piwo. WĘGIERKA jest napalona na WĘGRA. RUMUNI mają swoje go Causescu. BULGARZY to MACEDONCZYCY. MACEDONCZYCY to właściwie BULGARZY. JUGOSŁOWIANIE oglądają jugosłowiańską telewizję. Stalinizmowi winni są ŻYDZI. ALBAŃCZYCY mogą się cieszyć: Enver Hodża nie żyje. Wkrótce CYGANIE będą stanowić większość. Ach, przyszli by wreszcie ROSJANIE.

Przypisy:

<sup>1</sup> Węgierski przywódca robotniczy. W 1919 roku proklamował w Budapeszcie Węgierską Republikę Rad, później w Kominternie. Rozstrzelany w Moskwie w 1939 roku.

<sup>2</sup> Rumuński odpowiednik Horthy'ego, od 1940 do 1944 dyktator.

<sup>3</sup> Podstawa rumuńskiej kuchni, jednocześnie obraźliwe określenie Rumunów. podobnie jak niegdyś "Kraut" Niemców.

\* w oryg. "Maibrei" - papka kukurydziana; "Kraut" m.in. chwast (przyp. tłum.)

---

Richard Wagner - ur. 1952 w Lovrinie (Rumunia); do 1978 r. nauczyciel języka niemieckiego. Od 1979 korespondent tygodnika "Kerpathanrundschau" w Temeswarze.

## Redaktor

# Nowa wspólnota komunikacyjna

Można długo i namiętnie dyskutować o tym, czy Europa Środkowa istnieje i gdzie przebiegają jej granice. Z eseju Asha wynika jednak dość jasno, że powstaje jakaś nowa "wspólnota komunikacyjna", obejmująca jak na razie opozycję czeską, polską i węgierską. Ash podaje jako przykład prace i rozprawy Konrada, Havla i Michnika, ale można by tę listę rozszerzyć o takie nazwiska jak: Eörsi, Kundera i Lipski. Wszystkich ich nurtują podobne problemy, których rozwiązanie widzą w dość podobny sposób. Różnice pomiędzy nimi wynikają przede wszystkim z różnych stanów świadomości opozycyjnej w danym społeczeństwie. Praktyczne przejawy woli oporu najsilniejsze są w społeczeństwie polskim, natomiast dysydenci czescy wnoszą moim zdaniem do aktualnej dyskusji wkład równie znaczący, co Polacy.

"Wależy może dodać, że jedną z podstaw powstawania owej wspólnoty komunikacyjnej jest silny przepływ idei między opozycją krajową a emigracyjną każdego z wymienionych społeczeństw. Dawno minęły już czasy, gdy opozycja krajowa starała się nie ujawniać swojej sympatii do emigracji, by nie wysunięto wobec niej zarzutów o powiązania z tzw. obcymi agenturami, emigracja zaś ze swej strony starała się "nie szkodzić krajowi". Zwyciężyła idea jednej literatury, jednej sztuki, jednej myśli. Istnieje bowiem tylko jedna literatura, tylko jedna sztuka, ba - nawet myśl polska, czeska czy węgierska. Dzisiaj nie ma już znaczenia, czy Konrad powoła się na działającego po tej stronie Żelaznej Kurtyny Havla lub Michnika, czy też na Konrada lub Miłosza z emigracji, Zimand na Kożakowskiego, czy Holzera lub Rajka etc. Opozycja po prostu dyskutuje ze sobą niezależnie od tego, czy partner dyskusji żyje w "obozie" czy poza nim.

Ważność tego faktu potwierdza negatywny przykład NRD. Do dzisiaj nie ukształtowała się emigracja enerdowska. Jeśli opozycjonista enerdowski zmuszony jest opuścić kraj, to szybko wtapia się w nurt życia intelektualnego RFN-u, zapominając o braciach pozostających w Niemczech Wschodnich. Nie czuje się emigrantem, lecz obywatelem drugiego, większego państwa niemieckiego. Nie przejawia też ochoty do rozmów z opozycją polską, czeską czy węgierską, szukając raczej kontaktu z kragami intelektualnymi Zachodu. Istnieje natomiast pierwsze próby w samej NRD związania



się z myślą środkowoeuropejską. Kończą się one na ogół jednak deportacją danego działacza opozycji z Niemiec Wschodnich, a jego dalszy intelektualny rozwój pokrywa się z opisanym powyżej schematem.

Można żywić nadzieję, że z czasem Europa Środkowa rozciągnie się na takie kraje, jak Jugosławia, Rumunia, Bułgaria, Litwa, Ukraina itd., że i tam wytworzy się opozycja na tyle silna, by mogła nawiązać dialog z własną emigracją i opozycją wymienionych przez Asha krajów.

W najtrudniejszym położeniu znajduje się opozycja rosyjska, która w przeciwieństwie do swych zachodnich sąsiadów nie może nawiązać ani do tradycji demokratycznej, ani też do tradycji zachodniego chrześcijaństwa. Może jednak przyłączyć się do opozycji środkowoeuropejskiej i jej idei samorządności i niestosowania przemocy. Wydaje się więc, że Europa Środkowa rozumiana tu jako "wspólnota intelektualnej komunikacji" ma jeszcze przed sobą przyszłość. Oty tak było.

Redaktor

P.S. Pisząc o istnieniu - w skromnej co prawda jak dotąd postaci - tak rozumianej Europy Środkowej, chciałbym tu wskazać na pewną jeszcze okoliczność. Otóż pod pojęciem idei Europy Środkowej kryje się również pewien model myślenia utopijnego, obejmującego marzenia małych narodów od Bałtyku po Morze Czarne o prawdziwej niepodległości i pokojowym i harmonijnym współżyciu. W tak rozumianej idei Europy Środkowej nie mieści się Rosja, podobnie zresztą jak i nie mieszczą się Niemcy. Można oczywiście powiedzieć, że także Rosja odnajdzie niejako samą siebie rezygnując ze swych ambicji podporządkowania sobie mniejszych narodów, tak jak Niemcy, zmuszone do tego klęską po drugiej wojnie światowej. Ale również wtedy pozostaje pytanie, na które wskazuje Ash, czy małe narody będą potrafiły cieszyć się ową niepodległością i wyzbyć się swoich nacjonalistycznych zapędów. Przykłąd najnowszej historii małych narodów zachodnioeuropejskich pokazuje nam, że jest to możliwe. Osiągnęły to one wspólnymi siłami. Ale tego rodzaju spekulacje pozostawmy na przyszłość.

# Vilem Háj

## Kwestia czeska a polska alternatywa

Stojące przed nami zadania są rzeczywiście niełatwe. Narody nasze są sobie tak bliskie, że kiedy sześćdziesiąt cztery lata temu odzyskały swą państwową suwerenność, już po kilku miesiącach starły się w zbrojnym konflikcie. Rok później transporty materiałów wojennych, których Polska pilnie potrzebowała, nie zostały przepuszczone przez Czechosłowację. W następnych latach przedstawiciele państwa polskiego nie dali zbyt przeświadczenia, że pierwszym krajem, który upadnie w czasie pierwszego kryzysu europejskiego, będzie Czechosłowacja, gdy tymczasem w Pradze ironizowano na temat polskich ambicji mocarstwowych. Jesienią trzydziestego ósmego roku Polska uczestniczyła w rozbiórce Czechosłowacji, w rok później jej południowa granica przekształciła się w słowacki front. W roku 1956 reżym komunistyczny już w lecie oparował na tyle sytuację w Czechosłowacji, że jesienią republika była wyspą socjalistycznego spokoju między Polską a Węgrami. Wiosną 1968 skandowano na polskich uniwersytetach "Cała Polska czeka na swego Dubczeka", ale doczekano się polskich czołgów - 21 sierpnia, w Hradcu Králové.

Po drugiej stronie bilansu znajdują się czechosłowaccy i polscy żołnierze broniący Tobruku, nasi i polscy lotnicy jako sprzymierzeńcy w bitwie o Anglię oraz polska armia w Mielniku w roku 1945. Są tutaj lata powojenne, szczególnie pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, gdy Polska, mimo obustronnych przeszkód biurokratycznych, przyciągała znaczną część naszej młodej generacji. Wydawało się niemal, że zaczyna się urzeczywistniać to, co napisał młody czeski prozaik o rozmowach ze swym polskim przyjacielem: "Przekraśliliśmy historię". Zdanie niestety niesprawdziwe. W roku 1970 niejednokrotnie słyszałem w Polsce, że codziennie całe pociągi żwoności odjeżdżają do Czechosłowacji; z reguły czyniono dodatkowo uwagi o Cieszynie i roku pięćdziesiątym szóstym. W dzisiejszej Czechosłowacji mówi się i o dostawach do Polski i głosi reminis-

---

Tekst ten został wygłoszony na czechosłowacko-polskim sympozjum zorganizowanym przez stowarzyszenie Opus bonum de Franken, w listopadzie 1982 r. i wydrukowany w piśmie Rozhlávny 1984, nr 2.

cancje odnoszące się do 1938 czy 1968 roku. Po obu stronach Kar-  
konoszy i Tatr historia w podręcznikach jest przerażająco znie-  
kształcona, jednak stare historyczne urazy utrzymują się i tak  
samo żywe są wzajemne uprzedzenia - również po obu stronach gra-  
nicy. To wszystko nie przestaje w szerokim społeczeństwie odgry-  
wać ważniejszej roli, niż karkonoskie spotkanie sygnatariuszy  
Karty 77 i członków KOR-u. Historii nie da się przekreślić a jej  
ignorowanie lub wstydlive obchodzenie jest samobójcze. Nie przy-  
padkiem tak mało uwagi zyskała idea polsko-czechosłowackiej ko-  
nfederacji zrodzona przejściowo podczas wojny. Ani czechosłowackie  
ani polskie społeczeństwo nie zwalczyło urazów i uprzedzeń - jak  
więc mogłoby intelektualnie i emocjonalnie zaaprobować nie zwią-  
zek państwowy, ale choćby zasadę bliskiego współdziałania? Przy  
tym trzeba sobie całkiem otwarcie powiedzieć, że jeśli nie osią-  
gniemy rzeczywiście lepszej wzajemnej wiedzy o sobie i jeżeli nie  
zmieni się obraz Polaków i Polski w społeczeństwie czechosłowac-  
kim przy równie głębokich zmianach w Polsce, to nie możemy marzyć  
o trwałej i znaczącej odmianie czechosłowackiego czy polskiego  
losu.

Dzisiaj pytamy się, które z polskich prądów ideowych, tendencji  
politycznych i wydarzeń społecznych mają znaczenie dla "sprawy  
czeskiej" - która jest oczywiście także sprawą czechosłowacką.  
Pytamy też, jak przedstawia się kompleks problemów nazywany u na-  
szych przyjacieleńską polską myślą polityczną lub polską racją stanu.  
Sprawą Polaków jest, by ocenili, co z historii naszych ostatnich  
dziesięcioleci miało dla nich znaczenie inspirujące, pobudzające  
czy ostrzegawcze. Jeżeli zajmujemy się Polską tu na emigracji, to  
nie możemy pod tym względem rościć sobie prawa do wyłączności.  
Rozwój wypadków polskich w minionych latach jest z pewnością  
przedmiotem intensywnych badań w Moskwie, Budapeszcie i oczywiście  
w Warszawie - podobnie jak uprzednio we wszystkich politycz-  
nych i policyjnych komórkach bloku komunistycznego studiowano do-  
świadczenia roku 1968 w Czechosłowacji. Upoważnia nas to do przy-  
puszczeń, że znalazły one odbicie nie tylko w znanej partyjnej  
brozurce dla potrzeb ogólnej propagandy, tzw. Poučení z krizove-  
ho vyvoje /dosł.: Nauka płynąca z ewolucji kryzysu/ itp., lecz że  
przeanalizowano również kryzys reżymu komunistycznego poprzedza-  
jącego Praską Wiosnę oraz oceniano technikę i taktykę zbrojnej in-  
terwencji i następującej po niej normalizacji. Z czasem dowiemy  
się, które doświadczenia z 21 sierpnia 1968 roku umożliwiły nie  
zakłócony przebieg 13 grudnia 1981 roku. Tak więc my - Czechosłow-  
wacy, tak samo jak Polacy - nie możemy pozwolić sobie na luksus  
pracy powierzchownej, a tym bardziej na luksus fikcji czy iluzji.

Pytamy się zatem, jakie doświadczenia dzielimy z Polakami, a  
co jest specyficznie polskie, następnie, które z polskich wnio-  
sków należy przenieść na naszą sytuację i stosować w praktyce.  
Chodzi jednak o więcej - co i jak możemy w przyszłości zdziałać  
wspólnie z Polakami.

Sprowadza się to do oceny, na ile Praska Wiosna była próbą  
reformy systemu komunistycznego, a na ile dążeniem do stworzenia  
alternatywy dla dwadziestu lat tego reżymu. Niełatwe to zadanie,  
gdyż poruszamy się w dziedzinie pojęć zdefiniowanych w sposób je-  
dynie przybliżony i dlatego interpretowanych bardzo subiektywnie;  
najlepszym przykładem jest socjalizm z ludzką twarzą. Prowokuje

to do stwierdzenia, że ludzką twarz miał nawet sfinks, aczkolwiek mało miał w sobie cech ludzkich. Za ściśle socjalistycznym charakterem Praskiej Wiosny przemawiają wyniki ówczesnych badań opinii publicznej, które rzeczywiście brzmiały prosocjalistycznie. Rządziej natomiast dodaje się, że w ankietach tych przejawiał się tradycyjny czeski realizm, uświadamiający sobie fakty geopolityczne bardziej niż było to przyjęte wśród zdziaczałych byłych stalinowców. Realistycznie, lub jak wolicie oportunistycznie, optowało się za socjalizmem, albowiem nic lepszego, po prostu, nie wydawało się osiągalne. Zdrowy rozsądek radził: nie prowokować ZSRR, bo od reżymu nie można oczekiwać decyzji o obronie.

Z tego powodu nie możemy jednak mówić o nieobecności realizmu gdzie indziej - wśród twórców komunistycznej polityki w czasie Praskiej Wiosny. Polityka ta mianowicie była pozbawiona realizmu państwowego. Był program działania partii - do programu działania państwa przywiązywano nieporównywalnie mniejszą uwagę. Brakowało świadomości, że naród obejdzie się bez partii - jakiegokolwiek - ale nie bez państwa, że bez własnego państwa naród jest po prostu bezdomny. Niedojrzałość państwowej polityki komunistycznej wykazało dostatecznie spychanie na plan dalszy problemu z punktu widzenia państwa tak pierwszorzędowego, jakim było położenie Słowacji w republice. W imponujący sposób przygotowywano polityczny i społeczny model na eksport do Europy zachodniej, mniejszą natomiast uwagę zwracano na model czesko-słowackich stosunków, który oba narody mogłyby przyjąć w całości i bez zastrzeżeń.

Wybiegam naprzód, mówiąc już teraz o reakcji na rozwój wydarzeń w Polsce. Nie można nie zauważyć, że w Polsce w ostatnich latach poszukiwano, tworzono, forsowano i broniono polskiego modelu, polskiego rozwiązania narodowego i państwowego, gdy tymczasem w czasie Praskiej Wiosny wiele energii zmarnowano na rozwiązanie w ramach rządzącej partii i jej stosunku do społeczeństwa. To samo obowiązywało w stosunkach ze Związkiem Radzieckim: ich decydująca płaszczyzna była tożsama ze stosunkiem między dwiema partiami komunistycznymi, przy czym czechosłowacka chciała wykazać swą niepokalaną prawowierność. Znamiennym jest, jak na marginesie ożywionego życia społecznego odgrywały się wydarzenia wielkiej wagi dla losu państwa i narodu; można by to udowodnić statystycznie, przeczytań te dziesiątki tysięcy stron zapisanych w czasie Praskiej Wiosny i obliczyć procent uwagi poświęconej czemuś o wiele ważniejszemu niż nowy krój komunizmu, a mianowicie czechosłowackiej doktrynie wojskowej; własna koncepcja obrony państwa była według partii tak mało ważna jak i państwo samo.

Sledziłem rozwój wydarzeń w Polsce na długo przed latem roku 1980 a później naturalnie jeszcze intensywniej. Analogie - na pewno są. Nie widziałem natomiast, by Jaroszewicz przyszedł do telewizji i zapewniał, że dzieje się właśnie to, czego zawsze sobie życzył, jak to wiosną 1968 roku w czechosłowackiej telewizji robił przeziębiony Lenart, bełkocąc między rękami leczniczej herbaty, że i on jest za "procesem odrodzenia". Być może Lenart z jakichś ściśle tajnych okólników dowiedział się, jak społeczeństwo przyjęło jego heroiczne wystąpienie. Jaroszewicz podobnej okazji nie miał - po prostu w Polsce nie było możliwości wskoczenia w bieg do pociągu odjeżdżającego w pozornie innym kierunku. Polska

od lata 1980 zdążyła gdzie indziej i dlatego obyło się bez Jaroszewicza. Praska Wiosna zaczęła się od wymiany załogi lokomotywy, w Polsce od lata 1980 przedstawiano zwrotnice.

Nie sposób przeoczyć dalszych różnic. Przedstawiciele Solidarności musieli wciąż hamować radykalizm szerokiej bazy członkowskiej; w czasie Praskiej Wiosny kierownictwo partyjne najpierw błagalnie wołało o porozumienie i wsparcie społeczeństwa, które dość długo wahało się, czy sprawa Józefa Lenarta jest również jego sprawą. W Czechosłowacji jednak poszukiwano i aprobowano jedynie zgodę z partyną, w przyszłości podobno oświeconą polityką, o wiele mniej pożądana była niezależna działalność partii niekomunistycznych, Klubu Zaangażowanych Bezpartyjnych /KAN - Klub zaangażowanych nestraniků/, Klubu K 231 czy "Dzieła odnowy soborowej" /Dílo koncilové obnovy/. Kierownictwo partyjne było w stanie przyznać się najwyżej do tzw. "deformacji" po lutym 1948; fetysz absurdałnego odwrócenia wymowy "rewolucyjnej sprawiedliwości" miał pozostać nietknięty, tak jak nietykalna pozostała deformacja rzeczywistości i pierwotna: przywłaszczenie sobie przez partię komunistyczne monopolu na władzę. Gdyby w grze tej nie chodziło o nas wszystkich, o nasz wspólny los na całe lata, można by spojrzeć na nią poniekąd humorystycznie. Ale tu niewiele jest do śmiechu. Byli pielgrzymi z Placu Czerwonego dość wolno i niechętnie uświadamiłi sobie, skąd grozi niebezpieczeństwo, bardziej martwiąc się o to, jak zostaną zrozumieni oni sami i ich całkiem nowy model, niż o przyszłość całego społeczeństwa, narodu, państwa.

Sądzę, że takie wyostrenie sprawy może wywołać sprzeciw. Krytycy odesłali mnie do czechosłowackiej prasy z lata 1968 roku, ale ja proszę ich, by sobie przeczytali na przykład, co pisano wtedy o wyborach członków do Czeskiej Rady Narodowej. Uwaga skupiała się na wyniku wyborów: nie zostali wybrani Hanzelka i Kohout. Nie krytykowano bynajmniej samego faktu utworzenia Czeskiej Rady Narodowej, organu nie przewidywanego przez tzw. socjalistyczną konstytucję z 1960 roku, wybranego przez posłów, o których było wiadomo, że nie mają mandatu obywateli, lecz że praktycznie mianowała ich partia. Oburzenie budziło natomiast, że ci niedemokratycznie wybrani posłowie wykorzystali swe prawo demokratycznego wyboru - i wybrali inaczej, niż od nich oczekiwano.

21 sierpnia bynajmniej nie skończył z tym zamieszaniem, chociaż od tej daty wiele spraw wreszcie się wyjaśniło i ludzie, którzy nie znaleźliby bez niego nigdy drogi do siebie mogli się zbliżyć. Niestety, po jednym zaślepieniu przyszło drugie, inne, do dziś istniejące i ciągle nieprzezwyjęte.

Chodzi bowiem nie tylko o stosunek do współczesnego reżymu komunistycznego, lecz także o stosunek do ideologii komunistycznej. Kiedy w Paryżu przyjaciel, były członek partii mówił mi o Biłaku jako o "faszyscie", odebrałem to jako wyrażenie zabarwione emocjonalnie, dobrze zrozumiałe poprzez fakt, że cytowany przyjaciel krótko przedtem przeszedł przez areszt w Ruzyni i więzienie. Szybko się jednak wyjaśniło, że jest to pomyślane jako ocena obiektywna, a Biłak podobno rzeczywiście jest faszystą, który z komunizmem, a zwłaszcza marksizmem-leninizmem nie ma nic wspólnego. Jestem wprawdzie ostatnim, który by totalitarnym reżymom różnego rodzaju odmawiał rozmyślnego pokrewieństwa, nie może to jednak prowadzić do pomieszczenia pojęć.

A pojęcia platały się. W latach siedemdziesiątych, w Pradze, byliśmy świadkami interesującego narcyzmu byłych członków partii. Rozeszli się z partią i często z jej ideologią. W ślad za tym głosili, że ideologia jest martwa, stanowczo zaprzeczali, kiedy o faktycznie socjalistycznym reżymie w Czechosłowacji mówiło się jako o socjalizmie, z mozołem wymyślali najbardziej karkołomne konstrukcje dowodowe i konstruowali najrozmaitsze nazewnictwo po to, by nie przyznać, że mamy u nas prawdziwy socjalizm, właśnie socjalizm urzędowy, socjalizm, jaki istnieje realnie, ewentualnie to, do czego realnie doprowadził. Nie przeszkażkało im to, że ideologia marksistowsko-leninowska zawładnęła całym życiem społecznym, że była jedynym źródłem legalności reżymu oraz to, że codziennie, dzięki potężnemu aparatowi propagandowemu, działającemu od szkół po telewizję, była narzucona całemu narodowi. Dopóki narcyzm ów był swego rodzaju intelektualnym odchyleniem jak każdy inny narcyzm, można było jedynie wzruszyć ramionami. Niebezpieczeństwem grozi natomiast wysnuwanie z takiej podstawy obowiązujących powszechnie wniosków i koncepcji.

Bilansu i inwentarza ciąg dalszy. Niewesoło było w Pradze lat siedemdziesiątych śledzić emigracyjną dyskusję o roku 1968. Wiedzieliśmy, że jest rzeczą sporną, czy Praska Wiosna była rzeczywistie ogólnonarodową próbą naprawy spraw powszechnych, ale wiedzieliśmy jeszcze lepiej, że 21 sierpnia 1968 oznacza ogólnonarodową klęskę, porównywalną z dniem 25 lutego 1948. Czekaliśmy na analizę, diagnozę i koncepcję na przyszłość, często jednak byliśmy świadkami żałosnych ekshibicji geniuszy i pięknoduchów, którzy całkiem poważnie zastanawiali się, czy w ogóle mamy prawo zgzytować, a korzenie złego widzieli w tym, że dopuściliśmy się takiego suchwalstwa. Aż za bardzo przypominało to Drugą Republikę, pamiątkę niezbyt sławnej.

Brakowało podstawowych pytań, a mianowicie, czy socjalizm jako system społeczny jest rzeczywiście tym jedynym właściwym celem, o który warto w Czechosłowacji zabiegać, po drugie, czy prosta reforma realnego socjalizmu jest jedynym możliwym wyjściem z istniejącej sytuacji, i po trzecie, czy właśnie takiego ulepszonogo - rzeczywiście lub tylko kosmetycznie - socjalizmu życzy sobie większość obywateli czechosłowackich. O tym się prawie nie dyskuutowało, obowiązywała konwencja trzech postulatów, trzech pozytywnych odpowiedzi. W żadnym przypadku nikt nie podał ani jednego dowodu ani nawet się o to nie starał. Niekiedy argumentem był wynik wyborów z 1946 roku, ale nie podawano, jak brzmiały ówczesne programy, ile lat mają dziś najmłodszy wyborcy i jak może zmienić się postawa społeczeństwa w ciągu kilku lat, jednego okresu wyborczego. W gruncie rzeczy nikt się nie dziwił, że "komitet centralny" cieni fikcyjnej "partii wykluczonych" przygotowany jest do przejęcia "kierowniczej roli" /Panie Boże, ile cudzysłówów/ w swe ręce i dostarczenia potrzebnego modelu: dziwilimy się jedynie, że ktoś na świecie bierze to poważnie.

Są do dyspozycji wyniki ankiet przeprowadzonych wśród czechosłowackich obywateli wskazujące na to, jak wypadłaby partia komunistyczna w ewentualnych wyborach i ilu obywateli wypowiedziałoby się w ogóle za socjalizmem - w jakimkolwiek wykonaniu. Niech to będzie bodźcem do bilansu straconego czasu po roku 1968. Od tamtej pory bowiem w Czechosłowacji - jestem na emigracji dopiero



cztery lata - nie doczekaliśmy się analizy znaczenia chrześcijaństwa jako duchowej i jednocześnie bardzo realnej siły społecznej. Zarazem do dziś nie nastąpiło przewyższenie historycznych urazów i resentymentów między katolikami i ewangelikami w duchu naprawdę ekumenicznego zbliżenia, gdy tymczasem tu i ówdzie dochodziło do niewyobraźalnego dawniej renesansu aktywnego chrześcijaństwa. Nie doceniono wszak, o ile więcej znaczy dla większości obywateli demokracja niż kowy socjalizm, eurokomunizm czy inaczej zreformowany reżym, a w szczególności - jak odzwierciedlało się znaczenie państwowości czechosłowackiej w rozumieniu i postawach obywateli. Zaraz po okupacji sowieckiej maszyniści zrzucali ze swych lokomotyw czerwone gwiazdy; dopiero w czasie postępującej normalizacji musieli zdemontować czechosłowackie godło państwowe. Myślałem o nim często oglądając telewizyjne ujęcia bramy stoczni im. Lenina w Gdańsku, gdzie podczas strajku wisiał - ku przerażeniu zachodniej lewicy - portret Jana Pawła II, a obok niego godło państwowe w tradycyjnym kształcie i z królewską koroną. Daleki jestem od przeceniania tak zwanego prostego człowieka, do aktualnych form romantyzmu społecznego jeszcze powrócę, niemniej jednak są to wartości na pewno godne uwagi.

Nie doczekaliśmy się otwartej dyskusji na temat socjalizmu, chociaż powodów i podnięt było dość. Tym bardziej kwitła hagiografia i tworzenie mitów. Może nie jest to bardzo smutne, ale dopiero kanadyjski historyk<sup>2</sup> skonstatował, jak mało polityków z tzw. dubczekowskiego kierownictwa KPCz zdecydowało się podpisać Kartę 77. Czyż nie czekamy na Godotę?

Niestety coraz częściej czeka się na jakiś come-back. Chociażby na podpis Dubčeka. Buduje się szklane góry. Czytamy na przykład, że wszystko jedno "kto był komunistą, a kto Sokołem", jeżeli dziś... itd. Niestety nie było wszystko jedno, zwłaszcza nie z punktu widzenia Czechosłowacji, tam bowiem doskonale wiadomo, że w łagrach Jachymowa Sokoli stanowili wprawdzie tylko część więźniów, lecz za to klawiszami, śledczymi, prokuratorami i sędziami byli bez wyjątku komuniści.

Temat osobistej utraty złudzeń zyskał dużą frekwencję w literaturze i filmie. Bynajmniej nie stało się tak z tematem osobistej odpowiedzialności, chociaż logiczne było pytanie o konkretną odpowiedzialność za stan społeczeństwa, za poziom moralności społecznej, upadek kulturalny i zaczynające się zacofanie gospodarcze, za zanikanie podstawowych zasad prawa i demokracji. Mało kto starał się poruszyć ten temat, bo i tak musiał zamilknąć. Komunistyczni intelektualści sprowadzili go do publicystyki i do niewątpliwie interesującego pod względem literackim /mniej pod względem ludzkim i obywatelskim/ *privatissimum*: Jak bardzo nas okłamywali! Jak byliśmy naiwni! W jaki sposób szczerze umysły doprowadziły nas do nie chcianych skutków!

Cytowałem z niewątpliwie najbardziej godnej uwagi książki o roku 1968, tym ważniejszej, że została napisana w Pradze, a autorem jej jest były członek partii. Nie posuwano się tak daleko na czechosłowackiej emigracji. Emigracja straciła w minionym dziesięcioleciu dużo czasu, energii a i wiarygodności w ojczyźnie dzięki dosyć naiwnemu założeniu, że tzw. reformatoryscy komuniści są u siebie znaczącą siłą polityczną. Tu i tam spekulowano, kto z kim i przy

jakiej kremlońskiej konstelacji może to osiągnąć, na którą z komunistycznych partii zachodnioeuropejskich można liczyć; taktyka nie panowała nad polityką - taktyka często bezpośredni zastępowała politykę.

Dzisiaj mijają czterdzieści lat od tych wydarzeń - a więc tyle samo, co od 1968 do wyborów w 1984 roku, kiedy według słów Antonina Novotného "zwyciężył w naszym kraju socjalizm". Czy nie najwyższy czas już zapytać krytycznie, co z "socjalizmu z ludzką twarzą" czy innych wariantów zreformowanego komunizmu do dzisiaj zachowało inspirującą siłę? Fikcyjna "partia wykluczonych" nieuchronnie starzeje się i wymiera nie pozostawiając młodego narybku. Możemy się wszakże zapytać emigrantów świeższej daty, tych, którzy chodzili do szkół po okupacji sowieckiej i w tych właśnie latach zdawali maturę: niech oceniają statystycznie, ilu z nich widzi nadzieję lepszej perspektywy w jakimś odrodceniu realnego socjalizmu i ilu z nich preferuje wartości klasycznej demokracji i chrześcijaństwa w dziedzinie światopoglądu. Do podobnych wniosków dojdziemy przyglądając się całemu obszarowi działalności nonkonformistycznej w kraju, wśród tych, co nie wyemigrowali i emigrować nie chcieli.

Postępująca jednak sowietyzacja powoduje rozpad skali wartości, upadek kultury, moralności i odpowiedzialności, naruszenie narodowej świadomości historycznej i kulturalnej ciągłości. Odpowiedzią na to była Karta 77. Miała wszelkie znaki "programu minimalnego" według klasycznej definicji: nie przewidywała różnic w poglądach, ale przyznawała im takie jedynie miejsce, na które zaskługuje wobec powszechnie przyjętego interesu społecznego.

W krok za tym wzmożła się jeszcze konfrontacja w kraju; była to odpowiedź reżymu na impuls Karty 77 do dialogu. Kogoś, kto znał reżym i jego ideologię zbyttno to nie zaskoczyło; partia nigdy nie rewidowała swojej strategii, zmieniała się tylko taktyka i chwilowe możliwości. Konfrontacja nie była sprawą wyboru, lecz realistycznej terminologii.

Ile właściwie było u nas w latach siedemdziesiątych realizmu? Warto byłoby prześledzić w tej pracy, ile razy rok 1968 stał się "rokiem zerowym" a 21 sierpnia pierwszym dniem nowego losu. Zapewne był to dzień przełomowy, ale nie zawsze starczało chęci, by uznać ewidentną prawdę, że dyktatura komunistyczna powstała u nas już dwadzieścia i pół roku wcześniej i że sowiecka interwencja była bliźniaczo podobna do wejścia na Węgry, wkroczenia do Berlina Wschodniego i okupacji trzech republik nadbałtyckich. Twierdzono przecież, że nie było u nas żadnej kontrrewolucji. Przypomnę w związku z tym znaną deklarację o "socjalizmie, sojuszu, suwerenności i wolności", którą podpisano przed spotkaniem w Ciernej nad Tisą - mówiło się w niej o groźbie "niesprawiedliwej kary", co implicite przypuszcza możliwość, że Armia Radziecka karze za swymi granicami takie sprawiedliwie. Czechosłowacka suwerenność została ograniczona już przed Breżniewem i to na długo przed nim.

Nie odezwały się pytania, czy socjalizm - taki, jaki znamy - można łączyć z suwerennością, i czy suwerenności nie przysługuje, koniec końców, prawo do odrzucenia komunistycznej rewolucji, a więc do kontrrewolucji, no i z Bogiem! Najpierw odezwały się wy-

żę wymienione protesty zranionej ortodoksyjnej cnoty; nie wiem jaką wywołały reakcję na Kremlu lub wśród zachodnich komunistów - wiem natomiast dobrze, jak przyjęła je większość - niekomunistyczna większość - czechosłowackiego społeczeństwa. Potem zaś nastąpił zwrot, kiedy byli członkowie partii zaczęli używać pretensjonalnego pluralis: wiedzieliśmy, chcieliśmy, staraliśmy się, i pod tę liczbę mnoga podciągnięte było całe społeczeństwo czechosłowackie. Obserwowanie, co taki wykluczony marksista-leninista wreszcie pozna lub objawi było naturalnie rzeczą raz wzruszającą, kiedy indziej komiczną, lecz ten arogancki narcyzm samozwańczej elity politycznej i intelektualnej pośrednio oddziaływał na całe społeczeństwo. Jeśli przy tym znaczna część społeczeństwa znała różne listy byłych prominentów komunistycznych, pragnących z tych czy innych względów wrócić w szeregi rządzących, nie była to sprawa wyłącznie prywatna czy wewnętrznie partyjna: jeżeli wciąż podkreślano, że politykę może u nas uprawiać tylko partia komunistyczna - i to w granicach socjalizmu - nie pozostało to bez echa wśród społeczeństwa. Zostało ono już raz po prostu okłamane, straciło zaufanie do partii i jej odsuniętych przedstawicieli, a gdy teraz słyszało, że alternatywą jednego socjalizmu jest znowu tylko jakiś inny socjalizm, w znacznej swej części nieodwracalnie popadało w nihilizm.

Jedna, ta sama generacja przeżyła trzy porażki bez wystrzału, trzy kapitulacje. W najrozmaitszy sposób objaśniano i tłumaczono Monachium, luty 1948 i sierpień 1968. Gdy doszły do tego uwagi i wywody, że właściwie nie mogło być inaczej i nigdy inaczej być nie może, znaleźliśmy się niżej niż mogłaby nas wtargnąć najbardziej niszcząca, przegrana konfrontacja. Pozostaje dodać atmosferę detente, by stało się łatwo zrozumiałe, dlaczego Helsinki z punktu widzenia Pragi nie oznaczały nadziei, ale przypominały pokój westfalski. Karol Wojtyła żył w Krakowie, Ronald Reagan w Kalifornii, a Lech Wałęsa w Gdańsku. "Tymczasowość" normalizacji wlokła się rok za rokiem, a ewentualna zmiana nie obiecywała zasadniczej odmiany.

Lata siedemdziesiąte przebiegały w Polsce zupełnie inaczej. Naprzód trzeba powiedzieć, że bez większego odzewu u nas. Zupełnie inny kształt musiały mieć wtedy bowiem nasz rozwój. Nie mogłoby pojawić się tyle fikcyjnych rozwiązań i pozornych odpowiedzi. Przykładem może być fikcja "struktur paralelnych". Albo nie całkiem ukryte, méciwe zadowolenie, że Praska Wiosna nie powiodła się, że wszystko musi stoczyć się aż - cytuję - "na metafizyczne dno", a później - najprawdopodobniej apokalipsa. To była nasza rzeczywistość. Realna, choć i nierealistyczna.

Schematy są w historii i wygodne i niebezpieczne. Tym razem Polacy byli bardziej realistyczni i pragmatyczni niż my. To nie rewerencja lecz konstatacja. Nie wiem, ile jesteśmy im dłużni, spróbuję dać podniętę do zastanowienia się, ile jesteśmy sobie dłużni. Polska od lat siedemdziesiątych po dzień dzisiejszy zachęca do refleksji i rewizji.

Nie należy Polski podziwiać bezkrytycznie. Wszyscy bowiem wiemy, jak przebiegają degeneracyjne zmiany reżymu, partii, ideologii. W ciągu dwunastu lat między Praską Wiosną a polskim Sierpniem rozegrało się niemało. Później mniej imponująco oddziaływują osiągnięcia tak godne szacunku jak działalność wydawnictwa NOWA.

Możemy powiedzieć szczerze, że NOWA działała w reżymie porażonym z jednej strony ukrytym kryzysem ekonomicznym, z drugiej - degeneracyjnym paraliżem ideologicznym. Dodajmy też, że pliny wydawnicze wydawnictw czechosłowackich z okresu tuż przed Praską Wiosną przynoszą jaszczyt w porównaniu z tym, co wydawała NOWA. I tu znaleźliśmy się o krok od pochlebnej półprawdy. Albowiem NOWA była jedynie częścią - oczywiście nie główną - czegoś, co roboczo nazwałem "polską alternatywą". My, tak czy owak, zajmowaliśmy się tymczasem zjawiskami tak marginalnymi jak na przykład tzw. underground. /Jeżeli zaś jest to fenomen o zasadniczym znaczeniu, oznacza to tym większą naszą nędzę/.

W spojrzeniu z Pragi polskie myślenie wygłądało na bardziej realistyczne i pragmatyczne. Szukało dróg i środków do odnowy państwowości w pełnym tego słowa znaczeniu. Brano pod uwagę sytuację geopolityczną Polski i usiłowano znaleźć dla niej rozwiązanie. Już dawno powinniśmy znać myśliciela Juliusza Mieroszewskiego, który scharakteryzował polską i ogólnoeuropejską sytuację zdaniem, w którym Europę porównuje do miasta nawiedzonego przez endemiczną malarię, gdzie przedsięwzięto wszelkie możliwe działania higieniczne, lecz zapomniano o źródle infekcji, pobliskim bagnie malarycznym. "Albo my zmienimy Rosję, albo Rosja zmieni nas", mówił lapidarnie Mieroszewski. Już dawno powinniśmy zareagować na pomysły Stefana Kisielewskiego, przemysłiwającego nad nowymi warunkami stosunków między Polską a Związkiem Radzieckim. Obserwując polskie dążenia do odnowienia pełnej niezawisłości, powinniśmy też oczywiście mieć świadomość wartości tej dzisiejszej, ograniczonej i niesuwerennej samodzielności państwowej.

Pozostaliśmy jednak przy Polsce i Czechosłowacji lat siedemdziesiątych. Są to u nas, niestety, lata znużenia, utraty złudzeń, powszechnej demoralizacji i sowietyzacji, niebezpiecznie postępującego upadku świadomości państwowej oraz narodowej, historycznej i kulturalnej ciągłości.

Później przyszedł polski Sierpień 1980. Wydawałoby się, że jak grom z jasnego nieba, bowiem astrologowie zreformowanego komunizmu zajęci byli w poprzednich latach rejestrowaniem wszystkich, choć trochę przychylnych czy budzących nadzieję, wypowiedzi włoskich, hiszpańskich i innych eurokomunistycznych pobratymców. Niezauważenie doceniono, co znaczy Tygodnik Powsechny, co robi dla ofiar terroru i dla przyszłości KOR, o czym piszą Biuletyn Informacyjny i Robotnik, o co stara się Polskie Porozumienie Niepodległościowe, jakie są cele innych organizacji opozycyjnych. Dopiero strajk w stoczni im. Lenina pozwolił wrócić do schematu - na scenie znaleźli się przeciw robotnicy.

Do głosu doszedł romantyzm społeczny, tak zakorzeniony w tradycyjnie plebejskim społeczeństwie czeskim. W Gdańsku strajkowali nie "tylko" intelektualiści, ale i robotnicy.

Nie mamy jeszcze wielu prób porównania Praskiej Wiosny i ostatnich wydarzeń polskich. Tym, którzy będą się tym zajmować, chciałbym zaproponować kilka tematów. Przede wszystkim na ile znaczącą rolę odgrywała ideologia marksistowsko-leninowska przed czterdnastoma laty u nas, a na ile przed dwoma w Polsce, i czy socjalizm - w jakimkolwiek wydaniu - odgrywał w tym jeszcze rolę inspirującą? Następnie na ile ważną, znaczącą i niezbędną rolę o-

degrała w dążeniu do zmiany atmosfery społecznej, systemu politycznego i porządku prawnego partia komunistyczna? Czy ówcześni lub byli partyjni marksistowsko-leninowscy prominenti byli w końcu potrzebni czy zbędni?

Fakt, że na wszystkie trzy wymienione pytania odpowiedź jest przecząca, zmusza nas, ze względu na przyszłość Czechosłowacji, do jego dobrego zapamiętania. Poza tym możemy pomóc sobie pytaniem kontrolnym: jaką wiarygodność w oczach społeczeństwa polskiego osiągnęłaby Solidarność, gdyby tworzyli ją lub popierali ludzie pokroju Mieczysława Rakowskiego i ewentualnie jak długo taki Rakowski wytrzymałby po stronie Solidarności. Rakowski jest właśnie dobrze porównywalny z niejednym politykiem z tzw. dubcewskiego kierownictwa KPCz, dajmy na to z Oldfichem Černikiem lub Čestmirem Cisárzem. /Tym, którzy wierzą, że pomyślna polityka opiera się na osobistościach o znanych nazwiskach, muszą przypomniać, że do wiosny 1980 roku Rakowski był nieporównywalnie bardziej znany niż Lech Wałęsa/.

Nie wiem, jakiej periodyzacji historii Polski drugiej połowy XX wieku dokonają historycy. Domyślam się jednak, że za przełom uznają rok 1976 ze względu na żywiołową eksplozję gniewu robotniczego w Radomiu i Ursusie, podobną do roku 1953 w Pilźnie, 1956 w Poznaniu, 1970 na Wybrzeżu. Dla przyszłości mniej ważne jest to, że detonatorem wydarzeń z lata 1980 roku były pewne podwyżki cen, o wiele ważniejszy jest fakt, że powstały kryzys został społeczeństwem polskie przygotowane, że szybko wysunięto kwestie bardziej palące i szukano rozwiązania problemów o żywotnym znaczeniu.

A gdzie my jesteśmy? Jakie są nasze realne możliwości? U swych początków, trzydzieści cztery lata temu, czechosłowacka emigracja demokratyczna miała szereg polityków, którzy porażeni byli koncepcją państwa demokratycznego, takiego co to pragnie zachować niezależność w warunkach umownie ustanowionej zależności, ze studentami bez uniwersytetów, żołnierzami bez armii i dziennikarzami bez czasopism i rozgłośni. Politycy w międzyczasie odeszli, lecz mamy dziś kilka dziesiątek a raczej kilka setek profesorów na znanych uniwersytetach dwóch kontynentów, około dwunastu wydawnictw i czasopism, dostęp do mikrofonu w kilku stacjach radiowych, ale sytuacja nie jest lepsza niż wtedy. Wtedy jaśniej przedstawiała się cele dążeń politycznych emigracji demokratycznej, dziś często przytakujemy bądź taniemu przyczynkarstwu przyjmującemu status quo kraju, bądź szyszymy głosy za ahistorycznymi i nieżyłymi koncepcjami, które mogłyby znaleźć u nas odzwierciedlenie, gdyby nasz Hostyń znaczył tyle, co w Polsce Jasna Góra. Ponieważ jednak daleko nam do tego jak i do realnej nadziei na jakąś ultramontanistyczną rekonkwistę, pozostaje więc owo wymienione już "dno metafizyczne", na którym ma się podobno wszystko skończyć. Bilans w znacznej mierze smutny.

Poza tym dość dawno wiadomo już, że realny socjalizm, komunizm, czy jak tam nazwiecie w kraju panujący system, przeżywa kryzys za kryzysem.

Przypominam sobie uwagę Stefana Kisielewskiego o tym "czy Związek Radziecki może być "normalnym", świeckim państwem imperialistycznym lub czy musi być państwem "religijnym" /naturalnie wznania marksistowsko-leninowskiego/, państwem ideologicznym,

które tego samego żąda od swych geopolitycznych satelitów". Kisielewski pisze, że któryś z oponentów wytykał mu, iż podobną alternatywa nie istnieje, że Związek Radziecki nie może się zsekularyzować, że nigdy nie wyrzeknie się dążeń do ideologicznej i systemowej sowietywizacji satelitów, gdyż właśnie to jest najzłotniejszą poręką duchowego i fizycznego podboju narodu. Czy jest więc do pomyslenia, pytam się na marginesie uwagi Stefana Kisielewskiego, jedynie jakaś pax sovietica, w ramach której można wymanewrować lub wyzbrać jaką taką przestrzeń - dla czego właściwie? "Tak więc - cytuję Kisielewskiego - dla zdrowia moralnego i wychowania narodowego naszego społeczeństwa cenniejsze jest właśnie hasło niezależności, plakatowo proste, maksymalistyczne, jednoznaczne".

Rzuciem pytanie, kto w Polsce zaangażowałby się w zmiany społeczne urzeczywistnione dzięki podniomciu czy przeprowadzane z udziałem Mieczysława Rakowskiego. Rakowski służy mi jako reprezentatywny symbol przedstawiający w praktyce szczyt tego, co mogli w latach osiemdziesiątych osiągnąć względnie krytyczni komuniści - nie tylko w Polsce. Wierchołek ten nie sięga wszak nawet progu, dolnej granicy rzeczywistego ogólnego zaangażowania społecznego. Całkowita nieobecność partii, partyjnych polityków i ideologii w polskim "odrodzeniu" wskazuje na ich pustkę, przestarzałość i niezwytność.

Dowody na to, że Polska rzeczywiście zaszła dalej niż my, że krajowa i emigracyjna opozycja polska widziała wyraźnie sedno problemu i położyła nacisk na to, co w sytuacji narodu z ograniczoną suwerennością jest najistotniejsze i co tak samo było odsuwane przez większość społeczeństwa, a mianowicie na żądanie niezależności państwowej i demokratycznego rządu, należy podać przez porównanie wydarzeń po 21 sierpnia 1968 i 13 grudnia 1981. Demontaż i destrukcja tego, co osiągnięto za władzy tzw. dubczkowskiego kierownictwa, następowały pod bezpośrednim kierownictwem większości jego członków; bardzo mało było tych, którzy odmówili współpracy. Partia komunistyczna, która otrzymała poparcie większe niż kiedykolwiek przedtem, niż gdziekolwiek na świecie, dźwigała to poparcie jak ciężkie brzemie, pozbywając się go stopniowo; nie może być zapomniana historia nie tylko moskiewskich protokołów kapitulacyjnych i późniejszej legalizacji tzw. tymczasowego pobytu wojsk radzieckich w republice, lecz także jesienno-strajku studenckiego i wszystkiego, co było związane z możliwością strajku generalnego wiosną 1969. Jak mogło społeczeństwo utóżsamiać się z partią, która nie ukrywała swojego przynębnienia z powodu owego poparcia naruszającego plany ugody z Kremlem?

Usiłowałem zebrać wnioski, cenne, niepokojące, często bolesne, które przyniosła konfrontacja czechosłowackiego stanu rzeczy z wydarzeniami w Polsce. Daleki jestem od idealizowania Polski; domyślam się, gdzie i jak powstają polskie mity, lecz nie czuję się upoważniony do mówienia o nich - muszą nam o tym otwarcie powiedzieć Polacy, tak jak i my nie możemy taci naszych mitów i błędów w imię przyszłego zbliżenia i współdziałania. Nie ma powodu do ukrywania w czym różnili się Piłsudski i Masaryk, lecz niestety byłoby nie wiedzieć, co te różne indywidualności miały wspólnego. Był to tylko jeden przykład odzwierciedlający wiele innych



wzajemnych różnic; w nich i poza nimi znajdziemy to, co nas łączy i co we współczesnej sytuacji politycznej jest historycznie nośne. Przede wszystkim świadomość historycznej i kulturalnej ciągłości, bez której Warszawa jak i Praga i Bratysława zmieniają się w istne miasta gubernialne. Następnie uświadomienie sobie, co może zdziałać stanowcza wola, choćby u jej początków stała Kadrowka lub Czeska Drużyna oraz faktu, że te pierwsze bataliony nie powstały jedynie w chwilowej koniunkturze politycznej, ale jako logiczna kontynuacja poprzednich, wizjonerskich koncepcji.

Chodzi - zwłaszcza w Czechosłowacji - o przyszły kryzys. Nie wątpiwiwie liczą się z taką możliwością komunistyczne reżymy. Zebrano dostatecznie dużo doświadczeń przy likwidacji Praskiej Wiosny i ponownie przy wydarzeniach polskich ostatnich dwóch i więcej lat. Nic nie wskazuje na to, by reżymy te w obliczu kryzysu zdolne były do zainicjowania politycznego, ekonomicznego, kulturalnego i społecznego renesansu - równałoby się to ich abdykacji. Będą więc stabilizować się poprzez intensywniejszą propagandę i indoktrynację i nie mniej uwagi poświęcą na rozwój i wzmocnienie politycznej rewencji. Z trudem mogłoby to odwrócić kryzys. Niewykluczone natomiast, że u nas lub w Polsce reżymy komunistyczne osiągnęłyby przy użyciu środków technicznych połączonych z elastyczną polityką ekonomiczną to, co udało im się chyba na Węgrzech. Tam, gdzie zachwiana została świadomość narodowej identyfikacji i ciągłości, czyli tam, gdzie naród zmienił się w mieszkańców danego państwa, nastąpić mogą jedynie żywiołowe eksplozje, ograniczone są jednak szanse na opór koncepcyjny.

Myślę, że wynikają z tego konkretne zadania dwójakiego rodzaju. Przede wszystkim jak największa pomoc dla kraju. Dziś jest to obszar głodu kulturalnego, który może przejść w atrofię kulturalną. Gdyby tak się stało, gdyby reżymowi udało się przerwać naszą historyczną i kulturalną ciągłość, nie będziemy mogli w wypadku kryzysu spodziewać się wystąpienia szerszej, koncepcyjnie działającej bazy obywatelskiej.

Uważam za konieczne zacytowanie znowu słów Kisielewskiego o "haśle niezależności, plakatowo prostym, maksymalistycznym, jednoznaczny". Polską alternatywę rozwiązania naszych problemów widzę właśnie w równie lapidarnej definicji celu naszych dążeń, gdyż tylko taka ma inspirującą siłę i znajduje oddźwięk.

Jednocześnie - i jest to druga kategoria naszych zadań - powinniśmy - sami i wspólnie z Polakami - przeanalizować i ocenić przebieg Praskiej Wiosny i polskiej Odnowy.

Niecodzowne będzie skierowanie uwagi na rozwój wydarzeń w terenie, w miastach prowincjonalnych i obserwowanie jak szybko, tak w Polsce jak i u nas, zdołały ukonstytuować się nowe organizacje i czy rzeczywiście miały możliwości działania, czy szło tylko o wzrost ekstensywny - odnosi się to przykładowo do czechosłowackich komitetów obrony wolności druku i oczywiście do licznych organizacji Solidarności. Odnosi się to także do sprawy wspólnych seminariów czechosłowackich i polskich historyków, socjologów i politologów. Cenna byłaby wiedza o tym, jakie odbicie znalazła aktywność nonkonformistycznych stowarzyszeń i czasopism w wydawnictwach sierpnia 1980 roku i późniejszych, które z wcześniej wypracowanych lub naszkicowanych koncepcji politycznych i społecznych przeszły, a które upadły, w jaki sposób zyskiwały autorytet

pojawiające się nowe czołowe osobistości i ile dostało się do rządzących gremiów karierowiczów, tchórzzy lub ludzi po prostu nieprzydatnych. Wyniki nie mogą być trzymane pod kluczem - tak, jak to strzec będą sporządzonych przez siebie analiz Státní Bezpečnost i Służba Bezpieczeństwa. Dziesięciolecia rządów reżymów totalitarnych wytrzebiły ze świadomości ogółu i te zupełnie zwyczajne techniczne zasady pracy politycznej i byłoby hazardem oczekiwanie na sukces bez nich. Dlatego też zapisy owych seminariów, jeśli uda się je doprowadzić do skutku, powinny wychodzić w postaci czasopism i książek i w jak największej ilości przedostawać się przez granicę. Nic nie może pozostać tabu. Gdyby udało nam się namówić naszych i polskich historyków do napisania równoległych historii naszych krajów i ich wzajemnych stosunków we współczesności i gdyby książka ta wyszła w obu językach, zasadniczo osłabiłoby to uprzedzenia i awersje po obu stronach granicy. Przeszłości nie zmienimy, ale nie możemy myśleć o przyszłości, dopóki wzajemnie nie poznamy całej przeszłości. Nie posuniemy się do przodu, jeśli nie sporządzimy listy złudzeń i błędów, nie przeprowadzimy rozpoznania naszych urazów i jeśli nie zrozumiemy tego, co zostało z powodzeniem określone lub rozwiązane po drugiej stronie granicy, a obowiązuje również gdzie indziej.

Potrzebujemy do tego odwagi. Dopiero ona przyda nam dostatecznie dużo realizmu.

Przeł. Anna Wojczech

---

Vilém Hejl urodził się w 1934 r. w Pradze, w rodzinie inteligenckiej. Po maturze nie przyjęto go na studia z powodów politycznych. W latach 1953-54 był więziony za "apisek przeciwko republice". Potem wykonywał rozmaite zawody, by wreszcie poświęcić się pracy pisarskiej. Jest prozaikiem, scenarzystą i tłumaczem (przekładał z polskiego i angielskiego). W roku 1968 był rzecznikiem prasowym Klubu 231 skupiającego byłych więźniów stalinowskich (nazwa od artykułu 231 w kodeksie karnym). Sygnatariusz Karty 77. W sierpniu 1978 r. wyemigrował do Austrii. Mieszka w Monachium, pracuje w rozgłośni Wolna Europa. Publikował w pismach czechosłowackich (w CSRS i na emigracji), austriackich i polskiej Kulturze.

W odróżnieniu od wielu innych znanych postaci czechosłowackiej opozycji nigdy nie należał do partii komunistycznej.

# Komunizm to cała moja młodość Z Antoninem Liehmem rozmawia Andrzej S. Jagodziński

Jagodziński: W "Słowniku pisarzy czeskich" można znaleźć o Panu m.in. następujące zdanie: "/.../ w 1945 roku, wspólnie z E.F. Burianem zakłada tygodnik Kulturní politika, którym kierował aż do czasu jego likwidacji w 1949 roku". Dziś brzmi to wprost fantastycznie, aby dwudziestoletni człowiek w krajach naszego obozu mógł oficjalnie założyć pismo. Jak to było wtedy? Prosiłbym o kilka informacji na temat profilu pisma i przyczyn jego likwidacji.

Liehm: Wie pan, po wojnie, w 1945 roku, wiele rzeczy było możliwych, nie tylko w Czechosłowacji. Ja współpracowałem z Burianem jeszcze przed wojną, jako gimnazjalista, a w 1945 roku zorganizowałem wyprawę kilku ciężarówek do Niemiec, by przywieźć więźniów obozów koncentracyjnych, wśród których był również E.F. Burian. Właśnie w czasie podróży powrotnej, w czerwcu wspomnianego roku, powstał pomysł stworzenia pisma kulturalno-literackiego, Burian miał wtedy spory prestiż, ale mało czasu, a poza tym nigdy nie robił pisma. Zaproponował więc, żebym ja się tym zajął. Ja wprawdzie też nie miałem żadnych doświadczeń dziennikarskich, ale postanowiłem spróbować. Zacząłem więc kompletować redakcję /stanowiły ją trzy osoby/, załatwiliśmy drukarnię i we wrześniu 1945 roku ukazał się pierwszy numer tygodnika Kulturní politika. Na tym pierwszym numerze uczyłem się, jak robić pismo. Pomagali mi w tym dwaj starsi, rutynowani dziennikarze /jednym z nich był słynny czeski reporter sądowy - Franta Němec/. Oni mi mówili, co się powinno robić, a czego nie i stopniowo się nauczyłem. Pismo wkrótce zdobyło sobie sporą popularność i ukazywało się do 1949 roku. Tygodnik nasz był wprawdzie zorientowany prokomunistycznie, ale starał się stworzyć wspólny front lewicowych intelektualistów. Po lutym 1948 roku profil pisma przestał odpowiadać oficjalnej polityce, ponieważ władze nie były zainteresowane w istnieniu takiego frontu inteligencji, przeciwnie - zwyciężyła tendencja ujednolicenia wszystkiego.

J: Jednak w lutym 1948 roku należał Pan raczej do zwycięzców niż do pokonanych?

---

Tekst ten pochodzi z tomu pt. "Banici" zawierającego rozmowy, które Andrzej S. Jagodziński przeprowadził z czeskimi pisarzami emigracyjnymi. Książka złożona do druku w PIW-ie została przez to wydawnictwo odrzucona. Tekst publikujemy bez wiedzy i zgody autora.

L: Ja już o tym wielokrotnie pisałem... Rzeczywiście oficjalnie należałem do zwycięzców, ale to zwycięstwo było zaprzeczeniem wszystkich naszych pragnień. Mówiąc inaczej - zwycięstw to miało gorzki smak i wszyscy trochę się go baliśmy. Nikt nie chciał napisać artykułu wstępnego do pierwszego po 25 lutym numeru naszego pisma. Musiałem więc ja to zrobić, choć byłem równie zdezorientowany jak koledzy. Za cenę ogromnych kompromisów udało nam się jeszcze przez rok utrzymać pismo, ale od początku obawiałem się, że sprawa jego likwidacji jest przesądzona. Tak też się i stało.

J: A jak z punktu widzenia Pańskich osobistych doświadczeń jako publicysty i pisarza scharakteryzowałby Pan lata pięćdziesiąte?

L: Wie pan, lata pięćdziesiąte to okres od 1950 do 1960 roku, kiedy miało miejsce wiele najróżniejszych wydarzeń. Rozumiem jednak, że chodzi panu przede wszystkim o lata 1949-54. I tutaj już muszę mówić tylko we własnym imieniu, bo inni powiedzą panu z pewnością coś innego. Otóż dla mnie był to okres zupełnej halucynacji. Ja i inni ludzie z mojej formacji próbowaliśmy za wszelką cenę znaleźć równowagę pomiędzy rzeczywistością a uczciwością i lojalnością wobec idei, którą wyznawaliśmy. W moim przypadku nie był to więc problem utrzymania posady, bo i tak mnie z niej wyrzucili, i tak nie mogliśmy zrobić nic sensownego i co chwilę spotykały mnie kary partyjne. Mimo więc, że należałem do partyjnych pariasów, to ze wszystkich sił starałem się nie rozstać z tym ruchem, z powodów czysto ideowych. Komunizm to była cała moja młodość i wielu innych ludzi mej generacji. Starałem się tłumaczyć sobie, że to wszystko jest wielkim nieporozumieniem, że to się musi wyjaśnić, że z pewnością coś się wydarzy, co zlikwiduje podłość i okrutne praktyki, które dostrzegaliśmy wokół siebie. No i rzeczywiście, po śmierci Stalina to zło zaczęło znikać; najpierw bardzo wolno, potem coraz szybciej. Wtedy wiedziałem już, że dla mnie i dla ludzi, którzy przebyli podobną drogą, jedynym rozwiązaniem jest próba reformy tego systemu przeprowadzona od wewnątrz. I zaczęliśmy natychmiast. Już w połowie lat pięćdziesiątych sporo się działo w Czechosłowacji, tylko że w odróżnieniu od Polski sytuacja ekonomiczna była u nas relatywnie dobra; więc masy pozostały nieruchome. Pamiętam jak w 1956 roku - po zjeździe Związku Pisarzy i po rewolucji węgierskiej, kiedy ostrzegaliśmy, że u nas może się skończyć podobnie, rozmawiałem z jednym wysokim dygnitarzem partyjnym. Powiedział mi on wtedy: "Wy intelektualściście stale tylko udajecie Kassandra i prorokujecie straszne wydarzenia, więc jak chcecie, to zrobimy wielki miting w któregoś z praskich fabryk i zobaczymy, co na to powiedzą robotnicy". Oczywiście nie dotrzymał obietnicy, ale muszę panu powiedzieć, że ja też się wtedy bałem, też nie wiedziałem, jaka może być reakcja. Taką po prostu w owym czasie była sytuacja. Potem po wydarzeniach na Węgrzech i w Polsce nadszedł nowy etap usztywnienia życia politycznego. Było jednak jasne, że to nie potrwa długo. I rzeczywiście, na początku lat sześćdziesiątych rozpoczął się proces, który nazywam "drogą do Wiosny". W tym czasie jednak gwałtownie pogorszyła się sytuacja ekonomiczna i każdy czuł to na własnej skórze, więc nasze propozycje reform znajdowały szeroki oddźwięk. Kiedy uświadomił pan sobie, że Literarni Nowiny od 1960 roku ukazywały się w nakładzie

140 tysięcy egzemplarzy /w Słowacji istniał Kulturny Život z 40 tysiącami, a ponadto w Pradze było drugie pismo - Kulturní tvorba o nakładzie ponad 50 tysięcy - wprawdzie kontrolowane przez partię, ale można tam było znaleźć sporo ciekawych tekstów/ - i to w kraju liczącym 15 milionów obywateli - to jest fakt znaczący. A przecież, jak wiadomo, nakłady były sztucznie zaniżane. Gdyby można było drukować kilkakrotnie więcej, to też by się sprzedawało.

J: Wspomniał Pan o Literarnich novinach, które uważane są za jedno z najważniejszych czeskich czasopism lat sześćdziesiątych. Należał Pan do ścisłego kierownictwa tego pisma. Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia Pan rolę Literarnich novin w życiu społecznym i kulturalnym Czechosłowacji?

L: Myślę, że nie da się przecenić roli "Literarek" /tak popularnie nazywano pismo/, ponieważ zajmując się głównie problemami kultury przemawiały praktycznie do całego narodu. Proszę sobie wyobrazić, że co tydzień czytało nas 1-2 miliony ludzi; czegoś takiego nie ma chyba nigdzie na świecie. To są jednak sprawy znane, natomiast dziś fascynuje mnie fakt, że literarni noviny były pismem na najwyższym poziomie dziennikarskim. Ja sądzę, że zajmują czołowe miejsce nie tylko w historii lat sześćdziesiątych, ale w całej historii czeskiego czasopiśmiennictwa. Z profesjonalnego punktu widzenia jest to - jak sądzę - jedno z największych osiągnięć czeskiej kultury. Wie pan, może to brak skromności z mojej strony, ale jeszcze dziś, kiedy wpadnie mi w ręce stary numer pisma, jestem zachwycony jego poziomem.

W 1968 roku wpadliśmy na pomysł przekształcenia pisma w dziennik i dodatkowo - wydawania angielskiej mutacji /co tydzień 4 strony/. Jestem przekonany, że gdyby nam się to powiodło, pismo wzbudziłoby ogromne zainteresowanie na całym świecie. Zresztą, wie pan, ja cały czas od wyjazdu z Czechosłowacji zastanawiałem się, jak można by spożytkować i zeuropeizować to doświadczenie, ale dopiero przed rokiem udało mi się tutaj stworzyć pismo, które choć jest kwartalnikiem, cechuje się podobną optyką i sposobem myślenia, bo przecież w końcu człowiek nie potrafi robić nic innego niż to, co umie i do czego się przyzwyczaił. Ku mojemu zaskoczeniu pismo zdobyło we Francji ogromny rozgłos, a przecież jest to tylko czeskie doświadczenie przełożone na tutejszą sytuację.

J: Domyśliłem się, że mówi Pan o kwartalniku Lettre Internationale, ale do tej sprawy chciałbym powrócić za chwilę, a na razie spytam o sierpień 1968 roku. Czy miał Pan wtedy jeszcze jakąś nadzieję, czy też interwencja wojskowa oznaczała kres wszelkich iluzji na temat Praskiej Wiosny?

L: Niestety, nie oznaczała. Iluzje miałem nie tylko ja, lecz wielu ludzi. Ci, którzy takich złudzeń nie mieli, którzy od razu powiedzieli sobie, że to koniec i trzeba to przyjąć do wiadomości, wyszli na tym znacznie lepiej. Mnie natomiast nawet po dojściu do władzy Husaka wydawało się, że coś jeszcze da się uratować. Byłem wtedy wprawdzie w Paryżu, ale wcale nie miałem zamiaru zostać; przeciwnie, byliśmy z żoną zdecydowani wracać za wszelką cenę. I chociaż w Pradze miałem opinię kosmopolity, to jednak tak wrosłem w Czechy, że nie potrafiłem sobie wyobrazić możliwości pozostania na Zachodzie. Zdecydowałem się na to, kiedy już rzeczywiście nie było innego wyjścia. Ten rok iluzji kosztował nas

jednak wiele nerwów, a poza tym zainteresowanie Czechosłowacją zmniejszyło się i Europa nie była już tak przychylna dla nowych emigrantów.

Kiedy już jednak podjąłem decyzję, powiedziałem sobie, że sytuacja wygnańca nie może dla nas stanowić problemu. Ja nigdy nie chciałem zamykać się w getcie emigracyjnym - w Ameryce obracałem się w środowisku Amerykanów, we Francji - Francuzów, choć oczywiście bardzo mi leży na sercu to, co dzieje się w kraju i wszystko co robię jest temu poświęcone. Nie zajmuję się natomiast Czechami, którzy są za granicą; to też ważna praca, ale od tego są inni.

J: A jaka, Pańskim zdaniem, jest rola emigracji - zwłaszcza emigracji politycznej?

L: Wie pan, jestem przekonany, że wszystko, co najważniejsze w kulturze i życiu społecznym, dzieje się w kraju. Niektórzy emigranci myślał wprawdzie, że to my mamy zbawić kraj, ale nigdy w historii nie było takiej sytuacji. Mickiewicz czy Słowacki zrobili bardzo dużo, ale dzięki temu, że wpływali na świadomość ludzi w kraju, którzy tam działali. Rola emigracji jest więc pomocnicza, pośrednicząca, natomiast zasadnicza działalność, a nawet powiedziałbym - trwanie kultury, skupia się w kraju. Tam też toczą się najważniejsze boje. Oczywiście nie oznacza to, że załuję mego wyjazdu, bo tam czekało mnie więzienie, tu zaś może być choć trochę użyteczny. Materialnie moja sytuacja wcale się nie poprawiła, ponieważ w kraju żyło mi się pod tym względem znacznie lepiej, ale to jest drobiazg. Przypominam sobie pewne zdarzenie z 1969 roku, po zamknięciu granic Czechosłowacji. Byłem wtedy we Frankfurcie na Targach Książki i spotkałem tam Pavla Kohouta. On był zdychowany wracać, ja - odwrotnie. Spacerowaliśmy przez kilka godzin i wałkowaliśmy ten problem na różne strony. Po przegadaniu popołudniu obydwa wiedzieliśmy tylko jedno - że każda z tych decyzji jest zła, a trzeciej możliwości nie ma. Była to sprawa psychiki, temperamentu, bo żadne racjonalne argumenty nie przemawiały na korzyść naszych decyzji. Musiałem więc się pogodzić z losem i próbować robić, ile się da. A o to człowiek się stara, dopóki odycha.

J: Brzmi to bardzo minorowo, spytam więc Pana o zdarzenie czy jakiś fakt, który w tym okresie przyniósł Panu największą satysfakcję.

L: Nie uwierzy Pan, ale ma to związek właśnie z Polską. W 1972 albo 1973 roku Francuzi zorganizowali jakąś konferencję na temat sytuacji w Czechosłowacji. Zostałem na nią zaproszony, ale nie mogłem przyjechać /mieszkałem wtedy w Ameryce/, obiecałem jednak, że napiszę tekst. Nosił on tytuł "Nowa umowa społeczna". Tekst ten bez mojego udziału dotarł w jakiś sposób do Polski i chyba w 1978 roku otrzymałem polski przekład. Dowiedziałem się również, że się o nim w Polsce dyskutowało i wtedy pomyślałem, że z tą moją emigracją nie jest tak źle. Trudno bowiem o większą satysfakcję niż ta, gdy tekst powstały na obczyźnie, w innym kraju pomaga ludziom w lepszym odczytaniu własnej sytuacji. To była rzeczywiście jedna z najprzyjemniejszych niespodzianek w moim życiu.

J: Czym się Pan zajmuje poza redagowaniem Lettre internationale?



I: Nie chcę się chwalić, ale jest tego sporo. Trzeba przede wszystkim jakąś zrobić na życie, dlatego trochę czasu muszą poświęcić wykładom. Ponadto redaguję almanach Cłeni na leto /Lektury na lato/ i pismo 150 000 słów. Ten pierwszy tytuł jest odpowiedzialnością na czynione przez reżim próby rozdzielenia czeskiej literatury na krajową i emigracyjną. Jest to podział absurdalny. Przecież w każdej kulturze istnieje pierwiastek emigracyjny - od Owidiusza przez Mickiewicza, po Brechta, Tomasza Manna, czy współczesnych pisarzy czeskich, polskich, rosyjskich. Kiedy dzisiaj mówię Francuzom, że "Kubuś Fatalista" Diderota ukazał się najpierw w Niemczech, a we Francji opublikowano go dopiero w 100 lat po śmierci autora, to nikt o tym nie wie, a co więcej - nikogo to nie interesuje. Dziś jest to organiczna część kultury francuskiej, a że kiedyś nie mogła być wydana i że w związku z tym przekład Goethego jest właściwie pierwszym wydaniem - so what? Może to co najwyżej stanowić jakąś ciekawostkę historyczną. Tak stanie się również z literaturą polską, czeską itd. Kogo za 100 lat będzie obchodziło, gdzie Kundera pisał swoje powieści? Kogo dziś interesuje, gdzie pisał Turgeniew i czy Gogol tworzył w Mariańskich Zązaniach czy w Petersburgu? Czy Tomasz Mann skończył swojego "Felixsa" w Szwajcarii czy w Hollywood? To są po prostu epizody w biografii jednostek, ale z literaturą ma to niewiele wspólnego. Przecież większość ludzi nie wie dzisiaj, że Brecht do końca życia nie widział na scenie większości swych sztuk - tak jak teraz Vaclav Havel!

Tym właśnie zajmuje się almanach Lektury na lato - specjalny numer czasopisma Listy - który ma przypominać i podkreślać jedność literatury tworzonej w kraju i na emigracji.

150 000 słów ma inny cel. Czechosłowackiemu reżimowi znakomicie udało się zlikwidować życie intelektualne w jego publicznej formie, to znaczy nie ma w kraju publicznych dyskusji, wymiany myśli, poglądów, idei. Wiąże się z tym izolacja od wszystkiego, co dzieje się poza Czechosłowacją. W naszym piśmie drukujemy więc teksty z całego świata, z różnych pism i publikacji. Naturalnie nie chodzi tu o artykuły z popularnych magazynów, lecz o teksty trudne, na wysokim poziomie intelektualnym, które byłyby impulsem do dyskusji. Staramy się w ten sposób choć trochę zapobiegać okaleczeniu życia umysłowego, atrofii mózgowi w kraju.

Materiały publikowane w naszym piśmie stawiają tzw. dysydemtom poprzeczkę bardzo wysoko, żeby wiedzieli, iż nie wszystko, co napiszą, musi być interesujące - już choćby przez sam fakt, że to powstało w kraju, w trudnych warunkach. Fakt ten bowiem nikogo nie interesuje; to, czy autor miał dostateczną ilość informacji i jakichś pomocy naukowych, jest w gruncie rzeczy jego prywatnym problemem. Przecież nas, gdy piszemy o Czechosłowacji, też nikt nie pyta, czy mamy najnowsze informacje, czy rozumiemy, co się tam dzieje. To jest nasz kłopot i albo trafimy, albo nie /a wtedy lic nas nie usprawiedliwia!/. W takich sytuacjach trzeba być lojalnym, ale nie można mieć żadnych sentymentów; nawet za taką cenę, że wielu ludzi w kraju będzie miało żal, iż nie otrzymują wystarczającej pomocy.

Ja jednak uważam, że w sprawach zasadniczych nie wolno stosować żadnych ulg, szkodzi to bowiem ciężkiej kulturze i całemu życiu.

intelektualnemu. Mimo tej trudnej sytuacji trzeba wobec naszych intelektualistów z kraju stosować kryteria europejskie, w przeciwnym bowiem razie degradujemy ich do roli nieciekawej prowincji.

J: Przejdźmy może wreszcie do kwartalnika Lettre Internationale. To zdaje się Pańskie ukochane "dziecko"?

L: Mam troje ukochanych "dzieci". O dwóch już wspominałem, a teraz właśnie chciałem przejść do trzeciego.

Jak już panu mówiłem pomyśl zeuropeizowania doświadczeń Literarnich novin nie dawał mi spać przez wiele lat, ale udało się go zrealizować dopiero teraz. Lettre Internationale ma kilka celów, które chciałbym tu wymienić - oczywiście kolejność jest umowna.

Po pierwsze - chcemy walczyć ze zjawiskiem, które nazwałbym prowincjonalizmem wielkich kultur. Spróbuję to wyjaśnić. Otóż małe kultury: czeska, duńska, węgierska, holenderska, irlandzka czy nawet polska /też przecież nie zaliczana do potęg/, nie mogą sobie pozwolić na prowincjonalizm, ponieważ to oznaczałoby ich śmierć. Muszą być otwarte szeroko na świat, przyjmować różne impulsy i dopiero dzięki nim wypracować własną oryginalność. Wielkie kultury ulegają natomiast złudzeniu samowystarczalności: dotyczy to zarówno kultury rosyjskiej, jak i amerykańskiej, francuskiej, angielskiej czy niemieckiej. Zamykając się w kręgu własnych spraw kultury te automatycznie skazują się na prowincjonalizm. Jest pan tu pewnie zbyt krótko, by to zauważyć, ale to przerażające, jak mało francuscy intelektualiści wiedzą o świecie. To samo dotyczy Anglików czy Niemców. Ich polscy czy czescy koledzy wiedzą naprawdę znacznie więcej. Pismo nasze stara się więc drażyć ten problem, by o Francji pisali nie-Francuzi, o Niemczech - nie-Niemcy, aby we francuskiej wersji pism /wychodzi bowiem również włoska, w Rzymie/ nie było więcej niż 20% tekstów pisanych przez Francuzów, a reszta - przez cudzoziemców, i to na wszystkie tematy.

Druga kwestia, to problem Europy. Powojenny jej podział sprawił, że amputowano jej rękę i nogę. W ten sposób Europa stała się kaleką. Oczywiście nie jesteśmy w stanie niczego zmienić, możemy natomiast nie przyjąć intelektualnie tego podziału. Dlatego chcę zrobić pismo reprezentujące całą Europę. W każdym numerze znajdzie pan 25-30% tekstów rosyjskich /ja nie wykreśliam Rosji/, czeskich, polskich, węgierskich, wschodniemieckich, czy jugosłowiańskich. Wcale też nie zamierzam ograniczać się do tekstów tzw. dysydenckich i równie chętnie drukuję rzeczy ukazujące się oficjalnie, o ile tylko odznaczają się wysokim poziomem i mają szansę wzbogacić myślenie europejskie. Czyli - nie Europa-kadłub, lecz Europa od Atlantyku do Kaukazu i nie Europa wielkich kultur, a Europa wszystkich kultur.

Trzecią sprawą jest fakt, że w zachodnim dziennikarstwie zanika gatunek zwany publicystyką. Nikt już - poza nielicznymi wyjątkami - nie chce drukować tekstu mającego więcej niż 10 stron. Ja robię pismo, w którym od 10 stron dopiero się zaczyna. Dlatego ma ono duży format, aby nawet obszerny tekst zmieścił się na 3-4 stronach. Decyduje treść, a nie objętość, czy ideologia.

J: Właśnie, czy ma Pan jakieś określone preferencje ideologiczne?

L: W piśmie obowiązują dwa zakazy: głoszenia ideologii i futurologii. Nie interesuje mnie bowiem, jak będzie wyglądała Euro-

pa na przykład za 50 lat /mam zresztą wątpliwości, czy da się to przewidzieć/, natomiast chciałbym wiedzieć, jak naprawdę wygląda dzisiaj. To samo dotyczy ideologii, bo nie chcę, aby pismo interpretowało świat, lecz by go opisywało i to z najróżniejszych punktów widzenia. Kryzys ideologii - proszę bardzo...

Chciałbym jeszcze dodać, że wzorem Literarnich novin zlikwidowałyśmy sztuczne podziały na politykę, ekonomikę, filozofię, literaturę, sztukę itp. Niech pisarze piszą o ekonomice, a ekonomiści o literaturze, jeśli tylko potrafią. Myślę, że to jedyna droga do zrobienia czegoś innego i być może ważnego.

Reakcje - jak na razie - są bardzo przychylnie, nie tylko tutaj, ale również w Pradze, Budapeszcie, a nawet w Moskwie.

J: A dla kogo Pan to pismo robi; dla jakiego czytelnika?

L: Już w "Literarkach" odpowiadałem zawsze na takie pytania, że robię pismo dla siebie. Nie mogę robić dla kogoś innego, bo nie potrafię go sobie wyobrazić. Ja robię tylko takie pismo, które sam chciałbym czytać. Pismo, którego nie chcę czytać, musi robić ktoś inny, kto chce czytać inne pismo. Pismo, z którego sam niczego się nie dowiem, mnie nie interesuje. Dziennikarstwo bowiem to jedna z dróg poznania samego siebie.

J: Powróćmy znów do spraw czeskich. Jak Pan ocenia niezależne inicjatywy kulturalne we współczesnej Czechosłowacji?

L: Nie chciałbym się na ten temat wypowiadać generalnie, zrobił to bowiem lepiej Havel w swych "Uwagach o kulturze" i ja mógłbym się tylko pod tym podpisać. Oczywiście czeska sytuacja jest zupełnie inna od polskiej i to z wielu powodów. Jeden z nich jest bardzo prosty - Czechów jest 10 milionów, a Polaków 3 lub 4 razy tyle. Łatwiej zaś pilnować 10 milionów, niż 40. Ponadto w Czechach kościół katolicki nie pełni takiej roli jak w Polsce - nie stanowi niezależnej struktury intelektualnej. Nie ma też innych niezależnych struktur. Istnieje wprawdzie Karta 77 i wychodzą samizdaty, ale wszystko to ma niewielki zasięg. Z pewnością trudno byłoby to nazwać ruchem oporu. Polska ponadto ma tak trudną sytuację ekonomiczną, jakiej Czesi nie znają, a to - jak wiadomo - bardzo radykalizuje nastroje. Trudno więc się dziwić, że "normalizacja" polska znacznie różni się od czeskiej. I choć niektórzy mówią, że my mamy za sobą 16 lat normalizacji, podczas gdy wy jesteście dopiero na początku, to jednak jestem przekonany, że i później wasza sytuacja będzie różna od czeskiej. Nie lubię wprawdzie takiej gadaniny, że Polacy to nie Czesi, prawdą jest natomiast, że Polska to nie Czechosłowacja, że struktura waszego kraju, jego historia uodporniła go na próby glaższaltowania.

Chciałem jeszcze dodać, że obecnie jedną z najważniejszych spraw jest utrzymanie kontaktów między wszystkimi naszymi krajami. W piśmie 150 000 słów bardzo dużo miejsca poświęcamy temu, co dzieje się w Polsce, w NRD, w Węgrzech, w Związku Radzieckim itd., a docierające do nas głosy z kraju mówią, że ta część pisma budzi największe zainteresowanie. Trzeba więc nadal robić wszystko, aby Polacy lepiej rozumieli Czechów i odwrotnie, żeby wspólnie lepiej rozumieli Węgrów itd. Nie można tu pomijać nikogo - ani Wschodnich Niemców, ani Bułgarów, bo tam też wiele się dzieje i powinno się o tym wiedzieć.

J: W czeskich kołach intelektualnych toczy się ostatnio dys-

kusja na temat sensu waszej historii i wspomina się m.in. o kompleksie trzech kapitulacji. Jaka jest Pańska opinia na ten temat?

L: Oczywiście każdy naród jest napiętnowany własną historią - i to zarówno w dobrym, jak i złym znaczeniu tego słowa. Wiele Pan, w czeskiej historiografii już od XIX wieku istniały dwa prądy. Jeden z nich dopatrywał się świetności narodu w okresie husyckim, kiedy to Czesi wystąpili przeciw Europie i właściwie wygrali, drugi natomiast uważa, że szczytowy rozwój kraju nastąpił w okresie pobiałogórskim, czyli w czasach kontrreformacji, lub wcześniej - w okresie przedhusyckiego średniowiecza. Można by więc powiedzieć, że jeden nurt akcentuje zwycięstwa, drugi zaś - porażki i kapitulacje. Ciekawe tylko, że spadkobiercy cej drugiej teorii są dziś rzecznikami lamentacji "co robić z narodem, który trzy razy skapitulował". Czyli mówiąc językiem potocznym - ja się na takie dyskusje nie załamuję.

Nie byłem już zupełnie małym dzieckiem w okresie kapitulacji monarchijskiej i pamiętam atmosferę tamtych czasów, entuzjazm podczas mobilizacji itd. Kiedy dziś Francuzi mi mówią, że powinniśmy wtedy walczyć, pytam ich, czy sami nie mają wyrzutów sumienia.

Ja oczywiście wierzę w historię i bardzo mnie ona interesuje - jej rolę widać może najlepiej w Ameryce, gdzie naród pozbawiony własnej historii ma kłopoty ze swoją tożsamością, z kulturą itd., - ale nie zastanawiam się nad jej sensem. Jaki bowiem jest sens historii francuskiej czy niemieckiej, albo np. duńskiej czy chorwackiej? Mnie to po prostu nie interesuje. A już szczególnie nie lubię, kiedy ludzie, którzy w wyniku rozwoju wydarzeń, bez własnej winy znaleźli się w trudnym położeniu /czy to w kraju, czy na emigracji/, całą winą obarczają naród i uważają, że to właśnie naród jest do niczego, że nie dał im szans. Oczywiście, że istnieją specyficzne cechy różnych narodów, ale moim zdaniem nie można - do oceny narodu - stosować kryteriów moralnych. Jeśli ktoś na przykład po przeczytaniu historii Anglii, Holandii, czy jakiegokolwiek kraju będzie stosował takie kryteria, to jest to po prostu śmiechu warte. Ja jestem Czechem i nie było mi łatwo w życiu, ale nie mam zamiaru zwać całej winy właśnie na to, że jestem Czechem!

Możemy oczywiście dyskutować, czy w 1938 roku Czesi mieli popełnić zbiorowe samobójstwo i walczyć w obronie systemu wersalskiego, który już przekreśliła cała Europa, czy też powinni zrobić tak, jak zrobili. Polska przystąpiła do wojny we wrześniu 1939 roku, ale gdyby Czechosłowacja miała obietnice zachodnich aliantów, to we wrześniu 1938 roku też podjęłaby walkę. I że nikt by się nie pytał czy Francja i Anglia poprzybyły swoje obietnice realną pomocą wojskową, mimo że według oceny sztabu generalnego nasza armia miała szansę bronić się przez cztery dni. Teraz obarcza się za to winą Beneša, ale nie wiem czy ktokolwiek inny na jego miejscu zdecydowałby się położyć głowy narodu pod topór tylko dla tego patetycznego, wielkiego gestu. Są to jednak detale i niech się tym zajmują historycy.

Ale sens historii? Ja w to nie wierzę. Palacky widział sens historii inaczej, Pekar<sup>2</sup> też inaczej. Kto z nich miał rację? Później Masaryk nawiązał do Palacky'ego, Kramar<sup>3</sup> zaś widział to jeszcze inaczej, z tego jednak - moim zdaniem - nic nie wynika.

Inna sprawa, że w przypadku małych narodów kwestia przeżycia, przetrwania, zachowania substancji narodowej, staje się kluczowym problemem ich historii. Doskonale widzi to np. Milan Kundera, że przed Czechami od setek lat istniał ten problem. Naród polski - choć nie tak wielki jak rosyjski czy amerykański - też jednak prawdopodobnie inaczej formułuje tę kwestię.

J: Mówi się jednak o kryzysie narodu czeskiego. W czym upatrywałby Pan przyczynę?

L: Wie pan, w Czechach nikt w nic nie wierzy. Powstało tam ogromne vacuum ideologiczne, które bardzo osłabia naród. W ciągu ostatnich stu lat Czesi byli pod wpływem idei społecznej - od prawicy, przez centrum, aż do skrajnej lewicy. Teraz idea ta jest martwa; idea narodowa też nie istnieje, albo w szczątkowej formie /z wielu powodów/, zaś idea religijna jest powierzchowna - dlatego zapanował cynizm. A ponieważ nie znaleziono żadnej innej idei zastępczej, więc opór społeczeństwa jest słaby. To główna przyczyna, bo ludzie nie widzą żadnych perspektyw. Ta pustka w odróżnieniu od lat pięćdziesiątych jest totalna. Jak z tego wyjść? Nie wiem. Być może jedyna szansa polega na odrodzeniu idei narodowej. Trzeba by to pewnie robić za pośrednictwem kultury, ale to ogromnie trudna sprawa. Na szczęście wielu ludzi nad tym się zastanawia, więc mam nadzieję, że przyniesie to jakieś rezultaty.

J: Wspominał Pan tu przed chwilą lata pięćdziesiąte. Wcześniej wielokrotnie spotykałem się z przyrównywaniem lat siedemdziesiątych do tamtych czasów. Co Pan o tym sądzi?

L: Podstawowa różnica polega na tym, że w latach pięćdziesiątych w Czechosłowacji wiara w socjalizm - nawet komunistycznego typu - była bardzo powszechna w społeczeństwie, podzielała ją wielu ludzi nie tylko z mojego pokolenia, ale także starszych. Powszechne były również dylematy moralne owych czasów, a wstrząs 1956 roku prowadził - stopniowo, lecz nieubłagalnie - do Wiosny 1968 roku. Tymczasem w latach siedemdziesiątych nie ma takich dylematów; partia komunistyczna jest fikcją, składa się niemal z samego aparatu biurokratycznego.

J: Żeby nie kończyć w tak minorowym nastroju spytam jeszcze o Pańskie najbliższe zamierzenia.

L: No cóż, mogę tu jeszcze raz powtórzyć, że chciałbym, aby nasze narody jak najlepiej się poznały. Powinniśmy dostrzegać wzajemne różnice, które miałyby pomóc w lepszym zrozumieniu partnera, aby uniknąć powierzchownej krytyki /jak to często robią Czesi w stosunku do Polaków/. Z drugiej strony naszym obowiązkiem jest uwypuklenie podobieństw, akcentowanie wspólnoty naszych losów.

J: Taki jest również główny cel mojej książki. Dziękuję Panu za rozmowę.

## Przypisy

<sup>1</sup> Burian, Emanuel František - ur. 1904, zm. 1959. Kompozytor, muzyk, aktor i reżyser. Przed wojną awangardzista, po powrocie z Buchenwaldu w 1945r. próbował połączyć eksperymenty lat trzydziestych z socrealizmem, a także tradycje teatru ludowego z nowoczesnymi środkami wyrazu.

<sup>2</sup> Pekař, Josef - ur. 1870, zm. 1937. Czeski historyk o orientacji katolickiej. Przeciwnik husytyzmu, pozytywnie oceniał okres pobiałogórskiej rekatolizacji Czech.

<sup>3</sup> Kramař, Karel - ur. 1860, zm. 1937. Czeski polityk, prawnik i ekonomista. Przywódca niepodległościowego Stronnictwa Młodoczechów, a od 1918 r. Partii Narodowo-Demokratycznej. W latach 1918-19 premier Czechosłowacji.

---

ANTONIN JAROSLAV LIEHM (ur. 1924) - ukończył Wyższą Szkołę Polityczno-Społeczną w Pradze. W latach pięćdziesiątych był dziennikarzem, pracował też w biurze prasowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Od początku lat sześćdziesiątych - w redakcji pisma Literární noviny, gdzie aż do sierpnia 1963 roku należał do ścisłego kierownictwa. W latach 1968-69 - przedstawiciel filmu Czechosłowackiego w Paryżu. Zdecydował się pozostać na Zachodzie. Mieszka obecnie w Paryżu. Jest autorem wielu książek o filmie czeskim. Tłumaczył z francuskiego (Sartre, Aragon). Jest naczelnym redaktorem wydawanego w Paryżu pisma Lettre Internationales oraz emigracyjnego 150 000 słów.



# Polityka na Węgrzech to coś, co przychodzi do ciebie do domu

Z György Konradem rozmawia Hans-Henning Paetzke

Paetzke: Dlaczego pisze Pan powieści?

Konrad: Odpowiedź jest prosta! Bardzo lubię to zajęcie. Uważam je za bardzo ważne. W moich esejach próbuję znaleźć odpowiedzi na pytania, które w moich powieściach miały zabarwienie ironiczno-żartobliwe. Platon także był eseistą. Lubie filozofię ukierunkowaną literacko. Gdy pojąłem, że droga, na którą wkroczyła część literatury nosi nazwę "niezobowiązującej", zdecydowałem się, że pójdę przeciwną drogą, mianowicie będę mówić o wszystkim. Ale oczywiście nie na wszystko w moich powieściach starcza miejsca. I tak obywatel Konrad wypowiada się w formie eseju. Esej jest dla mnie formą konwersacji z ludźmi, którzy są mi bliscy duchowo, dla których światopogląd jest celem ich dążenia.

P: Czym jest dla Pana polityka?

K: Polityka jest dla mnie wykonywaniem władzy lub przygotowaniem do tego. Polityka jest zajęciem polityków. A politycy są - jak sądzę - mniejszością w społeczeństwie. Między nie-politykami istnieją różne formy postaw. Jedną możliwością stanowi postawa apolityczna, jest to wiedza o tym, że nie posiadamy żadnej władzy, że nie możemy wywrzeć żadnego wpływu na politykę, tak że lepiej nie mieć własnych poglądów. Jest to postawa jak mi się zdaje trochę rżliwa. Właściwie, człowiek myślący apolitycznie jest w istocie nawet bardzo polityczny. Wie on bowiem, czego mu mówić nie wolno. Wie dokładnie, jakich niebezpieczeństw musi unikać. Drugą z istniejących postaw w stosunku do polityki jest artykułowanie bez osłonek tego, co myślimy o konkretnych wydarzeniach politycznych. Polityk nie może sobie na to pozwolić. Podlega partyjnej dyscyplinie. Polityk nie może otwarcie wyrażać swoich myśli. Politykę odczuwałem w swoim życiu zawsze jako przeszkodę, jako rodzaj agresji ukrywającej się pod różnymi maskami. Sam nie chciałem robić polityki, chciałem tylko przeżyć, chciałem wyeliminować politykę z mojego życia. A to oznacza antypolitykę, język cywilów. Nie można odizolować się od społeczeństwa. A społeczeństwo może się bronić przed szczególnie niebezpiecznymi politykami, którzy skupiają w swych rękach więcej władzy niż kiedykolwiek.

P: Jest Pan Żydem, węgierskim Żydem. Urodził się Pan w 1933 roku, roku przejęcia władzy, miesiącu palenia książek. Jakie konsekwencje dla Pana miały te wydarzenia?

Tekst ten pochodzi z książki "Andersdenkende in Ungarn". Frankfurt am Main, 1986.

K: Miałem pięć lat gdy pojąłem kim był Hitler. Pochodzę ze środowiska mieszczańskiego. Mój ojciec był stosunkowo zamożnym kupcem, tak że mogliśmy zatrudnić najpierw austriacką, później bawarską dziewczynę do dziecka. Bardzo lubiłem bawarską dziewczynę. Była ładną blondynką. Myślałem, że ona też mnie lubiła. Jednak spostrzegłem po pewnym czasie, że lubi nie tylko mnie, lecz również pewien głos. Głos Adolfa Hitlera. Moja piastunka siedziała przed radiem i była bardzo podniecona, gdy przemawiał Hitler. W jej oczach zabłysła nagle ogień nienawiści, nienawiści do mnie. Nie rozumiałem tego, bo przed przemówieniem radiowym była bardzo dla mnie miła. Z radia dawały się słyszeć wrzaski wydawane przez niesympatyczny głos. Słyszałem, że mówi bez przerwy o Żydach. Potem zapytałem matkę, kim jest ten Hitler. Powiedziała mi, że jest to człowiek, który nas nie lubi, może nawet chce zabić. Nie rozumiałem, dlaczego ktoś chciałby mnie zabić. Matka właściwie też nie mogła mi tego wytłumaczyć. A potem nadeszła wojna. I nadeszły cierpienia, które już sam mogłem obserwować i zrozumieć.

P: Jaką wartość przedstawiała dla Pana religia żydowska w latach Pańskiego dzieciństwa?

K: Jako żydowski chłopak byłem religijny, lecz niezupełnie na sposób żydowski. Nie pojmowałem do końca tego, co czytałem w Świętych Księgach. W synagodze obserwowałem modlących się w białych szatach. Przysłuchiwałem się śpiewowi. Wydawało mi się to wszystkim bardzo interesujące i malownicze. Po odklepaniu na rozkaz mojej matki wieczornej modlitwy przed snem, po zgaszeniu światła, zaczynałem naprawdę sam dla siebie się modlić. Było to dla mnie interesujące zajęcie, bo nie było mi wolno czytać ani oglądać książek z obrazkami. A tak mogłem w modlitwie rozmawiać z kimś, kto był prawdopodobnie mądrzejszy ode mnie. I modliłem się za zwycięstwo Rosjan i Anglików, gdyż w przeciwnym razie - wiedziałem o tym - zostałbym zgładzony. W 1944 roku znajdowałem się w takiej sytuacji, że każdego dnia moje życie wisiało na włosku. Niewiele brakowało, żebym zginął. Lecz jednak przeżyłem. Z dwustu moich żydowskich kolegów ze szkoły stu dziewięćdziesięciu siedmiu zostało zamordowanych w Auschwitz.

P: To byłyby zatem okoliczności, które doprowadziły do rozpolitykowania najpierw dziecka a później dorosłego?

K: Już jako gimnazjasta, w latach przełomu, w czasach stalinowskich, postanowiłem zostać pisarzem. A także filozofem. Dopiero dwadzieścia lat później opublikowałem moją pierwszą powieść: "Gość". W tym czasie napisałem parę złych opowiadań, które szczególnie wszystkie spaliłem. Dzień, kiedy to się stało, był szczególny, był to rok 1974. Przed moim domem stał wóz policyjny. Za domem też. Był to rok, w którym wraz z moim przyjacielem Ivanem Szelenyi zostaliśmy przejściowo aresztowani. Wybraliśmy się wspólnie na spacer i nie przypuszczaliśmy, że ktoś nas może śledzić. Lecz było to złudzenie. Napisałyśmy książkę o inteligencji w socjalizmie, o roli inteligencji w ogóle. Byliśmy zdania, że inteligencja gra w dramacie komunizmu główną rolę, paradoksalnie główną rolę. I kiedy wówczas wróciłem do domu, stało się dla mnie jasne, że być może już następnego ranka będę miał w domu rewizję. W tym czasie bowiem dowiedziałem się, że nasz manuskrypt został skonfiskowany w domu jednego z przyjaciół. Myśl, że funkcjonariusz

sze służby bezpieczeństwa mogliby przeczytać moje wcześniejsze, słabe próby literackie, była mi niemiła. To była z pewnością głupia дума. Ale uważałem, że nie mogą dostać nic złego do czytania. I tak spaliłem te opowiadania. Spaliłem też moje pamiętniki, które były rzecz jasna bardzo osobiste. Nie mogłem po prostu znieść myśli, że te pęgiłówki mogłyby wsadzać nos w te sprawy. Rozpaliłem więc ogień w piecu i spaliłem około dziesięciu kilo papieru. Polityka na Węgrzech to coś, co przychodzi do ciebie do domu. Nie musisz jej szukać, nie musisz za nią biegać, przyjdzie do ciebie sama. Złapie cię i mocno tobą potrząśnie. Antypolityka jest rodzajem samoobrony przeciw tej agresji.

P: Jaka rola przypada tutaj literaturze? Jaka rolę w społeczeństwie ma przyjąć na siebie pisarz?

K: Pisarz ma się sam wyzwolić. Przykład jego wyzwolenia się od kłamstw społeczeństwa, od kłamstw innych, jest pomocny tym, którzy chcą się także wyzwolić. Mimo, że zawsze strasznie dużo czytałem, książki innych odczuwałem jako zagrożenie dla mojej własnej drogi pisarskiej. Nie znajdowałem w książkach tego, czego szukałem. Musiałem zatem stworzyć sobie własne hipotezy podstawowe. Te hipotezy to - jak sądzę - metafory.

P: Poglądy wyrażane w pańskich książkach, a szczególnie w politycznych esejach, są atakowane zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie. Prawda, taka jaką ją Pan widzi, nie jest w smak żadnej ze stron.

K: O co chodzi z tymi dwiema stronami, ze Wschodem i Zachodem? Obie te strony są we mnie samym. Pochodzę z mieszczaństwa. Na ataki narażony już byłem jako Żyd, jako burżuj, jako rewizjonista, jako wolnomyśliciel i anarchista. Ataki skupiały się na moim pochodzeniu, moim rodzice, mojej klasie i moim sposobie myślenia. To wszystko. I to wystarczy. Ale wydaje mi się to w pewien sposób zdrowe. Może to zabrzmieć cynicznie, ale wolę być atakowany, niż by mi miano pochlebiać. Znałem mieszczan pod koniec lat czterdziestych, w latach przełomu. Uderzyła mnie ich bezbronność. Byli wewnętrznie bezsilni, przywiązywali za duże znaczenie do zewnętrznych okoliczności. Ich wiara w pieniądza była potwornie naiwna. Nie odznacжали się prawie w ogóle cywilną odwagą. No, ale jak to w ogóle było z odwagą cywilną w czasach faszyzmu? W tym kontekście chciałbym szczególnie zwrócić uwagę na brak cywilnej odwagi Żydów. Moja rodzina nie należała do bardzo bogatego mieszczaństwa, nie należała jednak także do drobnomieszczaństwa; należała do mieszczańskiej klasy średniej. W tej rodzinie tylko nieprzystosowani byli na tyle odważni, by bronić się samemu. Właśnie to mnie uderzyło. Dwóch moich krewnych było partyzantami. Inni krewni - zarówno intelektualści, jak też naśladowcy gentry<sup>x</sup> - byli posłuszni i lojalni wobec państwa. Posłusznie i lojalnie truchcikiem biegli do getta, dawali się wyeksplodować do Auschwitz i bez sprzeciwu zaprowadzić do komory gazowej. Czuli respekt przed prawem i uważali w jakiś sposób, że dać się zamordować świadczy o ich patriotycznej postawie. To była głupota tych, którzy się zasymilowali. Przyjęli także system wartości państwa. Już wtedy rozumiałem, że państwo jest wielce podejrzane. Zrozumiałem, że państwo

<sup>x</sup> niższa szlachta angielska - przyp. tłum.

może być także katem. Antypolityka znaczy zatem systematyczny sceptycyzm wobec państwa, które może stanowić retoryczne usprawiedliwienie dla najstraszniejszej zbrodni. I ostatnich zterdziejści lat mojego życia nie podają w wątpliwość tego mojego przeświadczenia, mojej wiedzy na ten temat.

P: Mówi Pan, iż jest Pan antypaństwowcem. Co to znaczy?

K: Jestem pacyfistą. Pacyfistą na sposób anarchistyczny. Nie jestem politykiem i dlatego nie chcę zakładać partii pacyfistycznej. Ale myślę, że anarchistyczny pacyfizm to rozsądna postawa. Pisarzowi jest w pewnym sensie niezbędne do życia to, by nie dać się ogłupić. Te państwa i armie, które są w posiadaniu broni zdolnych wytępić całe narody, a może nawet całą ludzkość, są niewyobrażalnie niebezpieczne. Są dzisiaj groźniejsze niż kiedykolwiek w historii ludzkości. Znamienną cechą dzisiejszego porządku świata jest jakże groźne istnienie systemu bloków, systemu tych konwulsyjnie szczepionych ze sobą bloków, które wpadły w tę samą śmiertelność pułapkę. Skupione w jednym państwie - bloku, państwa narodowe mogą nas całkowicie zniszczyć, mogą nam zafundować pustynię jądrową, tak że przynajmniej północna półkula nie będzie się nadawała do zamieszkania przez ludzi. Jako człowiek o przekonaniach anarchistyczno-pacyfistycznych poczuwam się do większej odpowiedzialności za nas wszystkich niż poważnie się zachowujący i retorycznie zakłamani politycy, którzy ewentualnie byłiby skłonni pogodzić się z masowym morderstwem jądrowym. Znajdą na to zawsze jakieś patriotyczne lub blokowo-patriotyczne usprawiedliwienie. Myślę, że polityczna głupota przybiera dzisiaj formę bardzo uroczystą i patetyczną, patetycznie ideologiczną. Ta ideologia powodowana retoryką przesłania fakt, że w systemie bloków ukryta jest potencjalna śmierć nas wszystkich. Europa jest przedmiotem. Europa nie jest podmiotem. Co to jest Europa? Europa to sojusznicy. Europa to aliancy. Z punktu widzenia Ameryki Europa jest tą biedną, małą Europą. Z punktu widzenia Moskwy Europa są socjalistyczni bracia. Lecz są to zawsze mniejsi bracia, którzy muszą poddać za świetlistym przykładem wielkiego brata. Europa wciąż przegrywa w grze supermocarstw. Europa jest samym anachronizmem i słabością. Europa jest w swojej na pozór akceptowanej roli słabym anachronizmem. Jeżeli Europy nie będzie łącząc ta sama transcendencja, to Europa Zachodnia nie będzie mogła dojść do porozumienia w kwestii cen jajek czy masła i dlatego integracja Europy Zachodniej nie stanie się faktem. Jeżeli Europy nie będzie łącząc ta sama transcendencja, to Europa Wschodnia będzie opanowana przez czołgi Układu Warszawskiego, to małostkowe, podstępne nacjonalizmy będą się wzajemnie zwalczać - to Europa Wschodnia będzie zawsze zezować ku Wielkiemu Bratu i odczuwać strach przed tym, co dzieje się w Moskwie.

P: Rola Europy Wschodniej jest determinowana przez zależność od Moskwy, a rola Europy Zachodniej jest determinowana zależnością od Waszyngtonu. Jednym słowem zależność obu części Europy jest zdeterminowana postanowieniami Jałty. Co z tego wynika?

K: Europejczycy nie są w stanie decydować sami o swoim życiu albo śmierci. Absurdalna jest myśl, że rządy wschodnioeuropejskie i zachodnioeuropejskie w chwili krytycznej posiadają jedynie konsultacyjny głos doradczy w sprawie, czy cała maszyna wojenna

ma być uruchomiona, czy nie. Europejczycy są zatem mniej wolni niż w średniowieczu. Bo w średniowieczu w najstraszliwszej nawet wojnie ginęło parę tysięcy, dziesięć tysięcy lub najwięcej sto tysięcy ludzi. Ale Europa jako całość nie była zagrożona. Z tego punktu widzenia chłop pańszczyźniany w średniowieczu był być może bardziej wolny niż człowiek żyjący w demokracji czy państwie socjalistycznym wieku XX. W porównaniu z dzisiejszymi stosunkami społecznymi życie chłopów pańszczyźnianego było mniej zagrożone. Mniej były zagrożone niż dziś perspektywy i elementarne prawo do naturalnej śmierci we własnym łóżku.

P: Jakie Pan widzi wyjście z tej ślepej uliczki?

K: W niemieckim traktacie pokojowym. Traktat pokojowy z Niemcami to historyczne zadanie dla Europejczyków. Mówię zadanie, bo nie uważam tego za normalne, że po wojnie nie został podpisany traktat pokojowy. Prawie czterdzieści lat po wojnie ciągle jeszcze nie ma traktatu pokojowego z Niemcami. I to powoduje, że wojska amerykańskie stacjonują w Republice Federalnej Niemiec i w pozostałych krajach zachodu Europy, a wojska radzieckie w Niemczech i w Republice Demokratycznej i pozostałych krajach Europy Wschodniej. Supermocarstwa dokonały podziału naszego kontynentu po drugiej wojnie światowej i uważają za stan normalny fakt, że ciągle są tu stacjonowane obce wojska. Uważam ten stan za anomalię, za absurd. Właściwie dlaczego żołnierze obcych wojsk mają stacjonować na obcym terytorium? Właściwie dlaczego Europa potrzebuje obu tych nadopiekuńczych mocarstw? Niebezpieczeństwo faszyzmu należy do przeszłości. Nie istnieje żadne niebezpieczeństwo w Europie, które musiałoby zostać zażegnane przez supermocarstwa. Dlaczego jestem zainteresowany traktatem pokojowym z Niemcami? Na Węgrzech stacjonują radzieckie wojska i okoliczność ta nierozłącznie jest związana z brakiem tegoż traktatu. Myślę, że Rosjanie dopiero wówczas pójdą do domu, gdy zrobią to samo Amerykanie. Kiedy nie będą już stacjonowały obce wojska w Niemczech. Myślę, że żyłoby się w Budapeszcie lepiej, wolniej i swobodniej, gdyby nie było obcych wojsk na Węgrzech. Jestem osobiście zainteresowany nowym pokojowym porządkiem w Europie Wschodniej. Jestem zainteresowany możliwością normalnego życia dla mnie i dla moich przyjaciół i dla moich rodaków. Jestem zainteresowany możliwością własnego rozwoju wolnego od głupich i irracjonalnych zakazów. Najprawdopodobniej jesteśmy duchowymi kalekami. Kiedy staje się człowiek takim kaleką? Wtedy, gdy mając pięćdziesiąt lat wciąż jeszcze myśli o tym, czy coś jest dozwolone, czy nie.

P: Po prawie dwuletnim pobycie naukowym w Berlinie Zachodnim i Nowym Jorku wraca Pan w tych dniach, z początkiem czerwca 1984, na Węgry. Jaka tajemnica kryje się za Pańskimi ciągłymi powrotami na Węgry, co Pana tam ciągnie? Czy to kraj, czy miasto Budapeszt, w którym Pan przeważnie mieszka? Czy też egzystencja Pana jako węgierskiego pisarza?

K: Odpowiedź na wszystkie te pytania jest stosunkowo łatwa. Jestem konserwatystą. Nie można mnie przegonić sprzed drzwi, przed którymi mnie w święta Bożego Narodzenia 1944 - miałem wtedy jedenaście lat - chciano zastrzelić. Nie można mnie przegnać z ulic, które w 1956 roku, podczas węgierskiej rewolucji patrolowałem, mając przez ramię przewieszony pistolet maszynowy, którego jedna-

kże nigdy nie użyłem. Lubię domy, które odwiedzałem jako pracownik socjalny. Lubię kawiarnie, z którymi łączę wspomnienia o moich randkach, wspomnienia o pracy nad moimi powieściami. Niem do kładnie, którą stronę z moich powieści napisałem w jakiej kawiarni. Lubię ulice, po których wkożyłem się z magnetofonem i zawięzałem moje myśli mikrofonowi. Lubię ulice, na których wiodłem niekończące się dyskusje z moimi przyjaciółmi. Lubię kolory tego miasta, w którym mieszkam, lubię te szare kolory Budapesztu, tę potworną różnorodność szarości. Lubię zwiariowanych - i nie tylko przypadki kliniczne, lecz również normalnych wariatów, którzy nie są zwolennikami drobnomieszczkańskiego racjonalizmu i są skłonni robić coś niezrozumiałego, nierozsądnego, co rozsądnych przyprawia o zawrót głowy. Lubię bohaterstwo i grzechy. Lubię strach i hedonizm. Budapeszt to piękne miasto. Energiczne i silne miasto. Wracam właśnie z Nowego Jorku, mieszkałem tam ponad pół roku. Tam nie trzeba chodzić do kina. Ulica jest dużo lepszym kinem. Ludzie chodzą ulicami, są aktorami dla samych siebie. Mają odwagę odgrywania samego siebie, śpiewając lub uśmiechając się, sunąć na wrotkach, tańcząc lub grając na saksofonie. Podchodzą do ciebie jako zebracy i dziękują ci z powagą za twój datek. Lubię domy w Nowym Jorku. Są bardziej zwiariowane niż w Europie. Mali ludzie z Europy porwali się na niemożliwe i niemożliwe stało się możliwe. Myślę, że nie można myśleć tylko pojęciami państwa i społeczeństwa. Do roli miast w historiozofii winno się przywiązywać większe znaczenie. Ponieważ miasta są indywidualiami, są aktorami. Nie można ich zdefiniować za pomocą takich abstrakcji jak komunizm, kapitalizm, liberalizm itd. Te pojęcia są za ryzykowne i puste. Berlin a Zachodni nie da się zdefiniować za pomocą takich pojęć. Berlin Zachodni jest osobą, która jest bardziej interesująca niż wszystkie możliwe definicje. To samo tyczy Nowego Jorku i Budapesztu.

F: A Berlina Wschodniego?

K: Czy dotyczy to również Berlina Wschodniego, nie wiem. Nie znam za dobrze Berlina Wschodniego. Jestem tam niestety persona non grata. Ale mam wrażenie, że Berlin Wschodni i Zachodni mimo podziału, mimo muru są sobie bliskie. Kreuzberg i Prenzlauer Berg wydają się być z sobą spokrewnione. Działacze ruchu pokojowego z NRD są zdumiewająco podobni do moich zachodniobерlińskich przyjaciół z inteligentniejszego skrzydła pacyfistycznego. Czego oni chcą? Nie są zainteresowani jedynie częściowym ograniczeniem zbrojeń, lecz pracują także nad rozpropagowaniem nowej wizji Europy. Ci ludzie są dla mnie bardzo interesujący. Oni mają przyszłość w Niemczech, czego inni jeszcze nie pojmują. Sądzę, że w Niemczech istnieje nowy rodzaj świadomości, który nie jest podobny w żaden sposób do nacjonalizmu starego stylu, który jednakże chce zdefiniować na nowo jego rolę w tej dziwnej części Europy. Sądzę także, że w całej Europie istnieje sieć powiązań, którą są złączeni ludzie o różnych ideologiach, różnych językach i różnych tradycjach kulturowych, bowiem zaangażowanie z jakim zajmują się pewnymi sprawami, za którymi bez zastrzeżeń mogą się opowiedzieć, jest podobne. Stare ideologie i utopie nie odpowiadają życzeniom i wyobrażeniom jednostki. Musimy nasze ideologie uczłowieczyć. Odpowiednio do naszego charakteru i naszych wyobrażeń.

P: Czy Węgry po politycznym niepowodzeniu Solidarności z 13



grudnia 1981 mogą stanowić dla Europy Wschodniej jakąś nadzieję?

K: Węgry są izisiją narodem złamanym. Czesi i Słowacy też są w jakiś sposób złamani. Polacy nie są wprawdzie całkowicie złamani, lecz na razie doznali porażki. Rumuni jeszcze się nie obudzili. NRD pozbawia krytycznie nastawionych obywateli obywatelstwa. A w Związku Radzieckim ludzie są przez nacjonalizm i przez inne nacjonalizmy zintegrowani z władzą państwową. W Związku Radzieckim cnoty żołnierskie są traktowane jako najważniejsze. Na Węgrzech istnieje obecnie sprzeczność między stosunkową liberalizacją polityki gospodarczej i w porównaniu z tym sztywną postawą w polityce kulturalnej. Myślę, że na Węgrzech nie jest się obecnie w stanie ocenić własnej działalności. To dotyczy zarówno opozycji jak i nacjonalistów. Lecz oni wszyscy robią coś, co uważają za słuszne. Ja sam nie jestem w stanie trzeźwo ocenić tego, co dzieje się teraz na Węgrzech. Mogę jedynie przedstawić moje intuicyjne i zabarwione emocją przemyślenia. Mam wrażenie, że Węgrzy dążą w konserwatywno-realistyczny sposób do pewnych przemian. Ta tęsknota za przemianami sprawia, że rodzą się radykalni bohaterowie romantyczni. Chodzi tu rzecz jasna o mniejszość. Większość nie jest nastrojona heroicznie, i dobrze że tak jest. Myślę, że istnieje nieświadomy moralny podział ról. Myślę, że okoliczność przeżywania przez naród węgierski od dwudziestu ośmiu lat żadnego kryzysu, sprzyjała ukształtowaniu się krytycznie nastrojonej młodzieży, która jest niezależna i ma niezłomny stosunek do historii.

P: Proszę Pana, nie chce Pan być politykiem, raczej uważa się Pan za antypolityka, i oczywiście za pisarza. Czy pisarz chce przekazać czytelnikowi przesłanie? Jeśli tak, w czym leży przesłanie powieści? Czy pańskim przesłaniem jest utopia?

K: Jak można sformułować przesłanie powieści? To przedsięwzięcie właściwie niemożliwe, bowiem wszystkie słowa mają tam swoje własne znaczenie, a tekst w całości stanowi jakieś przesłanie. W jednym zdaniu można moje przesłanie do czytelnika sformułować następująco: Szukaj twojej własnej prawdy. Moje przesłanie nie jest w żadnym wypadku utopią. Co to jest utopia? Utopia jest szczęściem. Szczęście jest spokojem, pogodzeniem z samym sobą, uczuciem, że jest dobrze. Jak to powiedziano w Księdze Rodzaju? - "A widział Bóg, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre". Utopia jest czymś absolutnie religijnym. W społeczeństwie takiego Tomasa Morusa utopie były wizjami porządkującymi, wizjami stanu harmonii. Nie wierzę w harmonię. Nie wierzę w to, że ludzie są w stanie realizować stale swoje najlepsze umiejętności i zdolności. Wierzę raczej w mocną potrzebę obrony przed drugim człowiekiem i wierzę w możliwość porozumienia między ludźmi. I dlatego uważam sentencję Jezusa za przepiękną. Brzmi ona: "Bądźcież wy tedy doskonałymi, jako i Ojciec wasz, który jest w niebieszech, doskonały jest". Lecz wiem oczywiście, że naszą ontologiczną substancją jest niedoskonałość. Jeśli zatem nie chcemy kłamać, musimy wyjść od tego, że nie jesteśmy doskonali. Innymi słowy, nie wierzę w utopię, która nie wątpli w harmonię. Stanu harmonii nie osiągniemy nigdy.

P: Ale w Pańskim eseju "Antypolityka" dąży Pan jednak do harmonii?

K: Nie, w żadnym wypadku. Dążeniem moim jest tam jedynie minimalizacja konfliktu. Nie musimy się wzajemnie zabijać, zabijając się samemu, by osiągnąć duchowe bogactwo w naszym życiu, by życie nasze uczynić bogatszym. Lecz musimy pilnować się wzajemnie, by zapobiec najgorszemu. Myślę, że najgłębszy pesymizm w literaturze światowej daje solidną podstawę dla utopii. Uważam literaturę światową za najbardziej postępową utopię. Literatura jest - począwszy od Platona przez Dantego, Szekspira, Goethego i Tokstoję, aż po Kafkę - objawieniem. Literatura światowa jest objawieniem, a Biblia jest literaturą. Biblia jest uświęconą literaturą. Oso- biście chciałbym kanonizować literaturę światową. Dla mnie Goethe i Kafka są takim samym objawieniem jak Mojżesz i Salomon. Literatura światowa jest dla mnie objawieniem wiecznej inteligencji. Prorocy i pisarze należą do tego samego gatunku.

tłum. Fekete

# Kadaryzm nie jest drogą ku demokracji

Z Miklosem Haraszti rozmawia Hans-Hennig Paetzke

Paetzke: Proszę Pana, w kręgach opozycji odrzuca się zdecydowanie pogląd Zachodu, że Węgry są krajem demokratycznym. Gdy jednak porównamy Węgry z resztą Europy Wschodniej to pogląd ten nie wydaje się bezpodstawny.

Haraszti: Na tle innych państw komunistycznych jest tak bez wątplenia. Problem polega na tym, że z prawnego punktu widzenia na Węgrzech nie miała miejsca żadna liberalizacja, nawet jeżeli mass media pozwalają sobie na ton bardziej krytyczny niż w innych krajach świata komunistycznego. Rząd nie poszedł na żadne ustęstwa, jeżeli chodzi o podstawowe prawa demokratyczne i obecną jego nerwowość należy właśnie tłumaczyć rosnącymi żądaniami społecznymi. Pozwolę sobie tutaj przytoczyć aferę wokół czasopisma Mozgo Vilag /Świat w ruchu/. Mozgo Vilag zrobiło coś, co nie zdarzyło się dotychczas w życiu kulturalnym świata komunistycznego. Redakcja, żyjąca naturalnie z państwowych pieniędzy, jak wszystkie pisma i redakcje w krajach komunistycznych, wysunęła własną koncepcję, rozwinęła własny model. Wdała się z państwem w dyskusję nad cenzurą. Już trzy lata wcześniej administracja usunęła ówczesnego redaktora naczelnego i powołała nowego, który jednak pozostał wierny linii pisma, bowiem nacisk ze strony czytelników i kolegium redakcyjnego nie pozostawiała mu innego wyboru. Po upływie dłuższego czasu sam przekonał się do tej koncepcji. I kiedy zwolniono również tego naczelnego, całe kolegium redakcyjne na znak solidarności zwolniło się również. Jakie wykroczenie popełniło pismo? Redakcja nie była skłonna uzupełniać popieranych przez siebie krytycznych artykułów drukując stanowisko partii. Artykuły krytyczne ukazują się również w innych czasopismach, lecz istnieje obowiązek publikowania również oficjalnego marksistowskiego punktu widzenia. I właśnie ta młeczeń dopuszczenia do głosu oficjalnego punktu widzenia stanowiła o jednolitym, nowym profilu Mozgo Vilag. Będąc organem kulturalnym finansowanym w stu procentach przez państwo, pismo zaczęło zachowywać się tak, jakby było pismem niezależnym.

P: W związku ze zwolnieniem Kulinsa - tak nazywa się wspomniany redaktor naczelny Mozgo Vilag - studenci, którzy uważali pismo za wyraziciela swych myśli, wystąpili z akcją protestacyjną.

Tekst ten pochodzi z książki "Andersdenkande in Ungarn". Frankfurt am Main, 1986.

Mimo niesprzających okoliczności zebrano siedemset podpisów przeciw zwolnieniu Kulinsa. Z szeregów partyjnych dały się słyszeć głosy mówiące o tym, że znowu powstała atmosfera sprzed 1956 roku i że ten proces musi zostać zahamowany, bo prowadzi do rewolucji.

H: Dla tego rządu rok 1956 pozostanie wiecznym kompleksem. Naturalnie obecna sytuacja nie jest dokładnie taka sama, jak ta przed rokiem 1956. Co się właściwie wydarzyło?

Ludzie zaczęli otwarcie mówić, co rządzącym zawsze przypomina tak zwane zagrożenie kontrrewolucyjne. Ale to tylko propaganda. W rzeczywistości oficjalna kultura powoli przestaje się poddawać ogórnemu sterowaniu. A to ma bez wątpienia coś wspólnego z samizdatem i opozycją. Dlatego też milicja usiłuje zlikwidować samizdat, jednak możliwie unikając procesów politycznych. Ponieważ jak długo istnieje samizdat, tak długo istnieje w życiu kulturalnym forum dla tych autorów, którzy nie chcą podporządkować się cenzurze. Problem milicji polega na tym, że działalność opozycji i wydawnictw podziemnych nie może być w widoczny sposób przyhamowana, bez procesów politycznych. Jednak z przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych partia najwyraźniej nie jest zainteresowana procesami politycznymi. Problemy istnieją nie tylko z Mozgo Vilag. Nieustannie zabrania się wyświetlania filmów i grania sztuk teatralnych, mimo że twórczość filmowa i teatralna cieszy się większą wolnością niż w innych krajach Europy Wschodniej. Kto z autorów przekroczy próg tolerancji, przejściowo nie może publikować. Te represyjne przedsięwzięcia są podejmowane z wyłączeniem drogi prawnej. Wystarczy telefon z partyjnej centrali.

P: Panie Haraszi, przed dziesięcioma laty napisał Pan książkę pt.: "Akord". Wydano ją do dzisiaj w piętnastu językach. Reportaż ten, mówiący o świecie robotników, uczynił Pana sławnym wśród lewicy niemieckiej. Przedstawia Pan w nim nieznaną dotąd zjawisko wyżysku robotników przez wschodnioeuropejskie państwo robotniczo-chłopskie. W obecnym stadium nożyce między bogatymi i biednymi rozwierają się na Węgrzech coraz bardziej. Jak w związku z tym widzi Pan problem wyżysku robotnika dzisiaj?

H: W swojej książce zajmuję się przede wszystkim systemem Taylorowskim typu komunistycznego, a zatem zastosowaniem kapitalistycznych metod mierzenia czasu i intensyfikacji produkcji w kraju komunistycznym, gdzie nacisk tych metod nie jest łagodzony przez związki zawodowe, żadne przedstawicielstwa ani opinie publiczną. To oznacza, że w krajach komunistycznych istnieje prawdziwy wyżysk, i to bez zgody robotników. Bowiem na Zachodzie można przynajmniej mówić o tym, że robotnicy poprzez swoje związki zawodowe godzą się lub nie na warunki pracy. Na Węgrzech robotnicy, nie mają możliwości wyrażenia swojego poglądu na temat warunków pracy. Przymus zmusza ich do zgody na zastane warunki. Od tego czasu dopuszczono do powstania gospodarki prywatnej, do powstania nowej klasy średniej. Ale, co muszą podkreślić, gospodarka prywatna jest dopuszczalna tylko poniżej pewnego poziomu kapitału.

P: Jak wygląda położenie robotników w dużym zakładzie przemysłowym dzisiaj?

H: System Taylorowski jest nadal rozwijany w dużych zakładach. Mechanizacja pracy również postępuje naprzód. Położenie robotników byłoby dziś prawie beznadziejne, gdyby nie dano szeroki ich

rzeszom możliwości dorobienia w drugim obiegu gospodarki. Lecz stan, w którym robotnicy mogą zachować swój standard życia tylko dzięki pracy w drugim obiegu gospodarki, podczas gdy klisy średnie stają się coraz bogatsze jest na dłuższą metę nie do utrzymania. W związku z tym rząd znalazł się pod silną presją: nie może za wszelką cenę dopuścić do tego, by spadł poziom życia robotników, oznaczałoby to bowiem niezadowolenie i niepokój klasy robotniczej. Rząd znajduje się na rozdrożu. Albo sięgnie po stare, wypróbowane metody stalinowskie, aby okiełznać przyszyje niezadowolenie i narzucić robotnikom pożądane warunki, albo dopuści do głosu przedstawicielstwa interesów społecznych.

P: Czy dzisiaj można także mówić o wyzysku robotników?

H: Wyzysk przybrał nawet na sile. A poza tym zezwolono na dodatkowe sposoby zarabiania, do tej pory nielegalne, na tak zwany drugi obieg gospodarki. Lub też, jak nazywa się ją na Węgrzech, na "drugą gospodarkę". Sytuacja ta jest jednak nie do wytrzymania, zwiększa bowiem tylko wyzysk. Na pierwszy plan wysuwa się klasyczny problem płacy.

P: Jak Pan ocenia położenie węgierskiej inteligencji?

H: Za najważniejszą sprawę uważam zmianę pokoleń. Pokolenie, które przeżyło terror lat pięćdziesiątych, rewolucję 1956 i odwet po 1956 roku oraz stworzyło przesłanki kadaryzmu, odchodzi powoli na emeryturę. Ci z intelektualistów, którzy odkrywają w tym wszystkim jedynie zakłamanie, restrykcje i beznadziejność i odpowiednio do tego reagują, należą do średniego pokolenia. To jest to pokolenie, które uniemożliwia kadaryzmowi dotychczasową politykę kulturalną. Elita partyjna musi się zdecydować, czy wybierze terror stalinowski, czy też popchnie naprzód reformy, by utrzymać sojusz z inteligencją. Niewzruszoną podstawą dotychczasowego sojuszu stanowią strach wywołany przez terror po 1956 roku i wdzięczność, którą inteligencja odczuwała od początku lat sześćdziesiątych w związku ze stopniowym łagodzeniem nacisku. Ten efekt już dzisiaj nie działa. Inteligencja chce dzisiaj więcej, chyba że się ją przekona terrorem, że nie może chcieć więcej. Kadaryzm musi się zdecydować na dalsze kroki reformatorskie. To znaczy musi dopuścić do powstania samodzielnych czasopism, musi stworzyć więcej wentyli, dać większe możliwości podróżowania i dopuścić bardziej swobodny przebieg informacji. Charakterystyczne, że wiele dyskusji wśród inteligencji obraca się już nie wokół takich problemów jak np. która z wersji marksizmu jest właściwa, lecz wokół wolności słowa, tego, czy powinna istnieć prawdziwa cenzura, czy nie. Bowiem w kontekście węgierskim wprowadzenie prawdziwej cenzury byłoby już postępem. Dziś cenzura funkcjonuje poprzez nieograniczoną autocenzurę i poprzez kanały aparatu władzy, które wykają się wszelkiej kontroli.

P: Według György Konrada węgierska opozycja jest małym gronem przyjaciół.

H: Nie powiedziałbym, że chodzi tu o jedynie małe grono przyjaciół. Powiedziałbym najwyżej, że opozycja obecnie nie stanowi jeszcze czynnika politycznego.

P: Kiedy mówię o małym gronie, to mam na myśli polski KOR, który także miał niewielu aktywnych członków. Jednak gdy sytuacja społeczna dojrzała do daleko idących zmian, to KOR stał się źródłem idei. I podobnie widzę sytuację opozycji węgierskiej, która obecnie nie rozporządza jeszcze "bazą rewolucyjną".

H: Zgadza się z tym poglądem. Gdybyśmy mieli jeszcze dokładniej zdefiniować, czym jest opozycja, to określiłbym ją jako ruch niezależnej prasy. Należy do niej kilka czasopism, wydawnictw i Fundacja na Rzecz Ubogich /SZETA/. Do opozycji zepchnięto tymczasem także niezależny ruch pokojowy, nie uważający się zresztą za opozycję, uznany jednak za taką przez rząd.

F: O ile można mówić o wpływie opozycji na procesy społeczne?

H: W publikacjach samizdatu rozwinął się język, który okazał się niezależny od wizji orwellowskich. Nawarstwiająca się problematyka społeczna są nazwane po imieniu. Mimo stosunkowo małego nakładu ta "druga opinia publiczna" mogła wywrzeć znaczny wpływ na oficjalną opinię. Pozwolił sobie przytoczyć parę tematów poruszanych w samizdacie, które nie pozostały bez echa w oficjalnych publikacjach: palący dla Węgrów problem narodowych mniejszości w sąsiednich krajach, temat rewolucji 1956, okres koalicji demokratycznej między 1945 a 1948, problemy środowiska naturalnego, socjalne itp. Dzięki temu, że tematy te były omawiane przez prasę podziemną, oficjalne media zostały właściwie zmuszone do zajęcia się tą problematyką. Album pamiątkowy ku czci Bibo, do którego artykuły dostarczyło blisko siedemdziesięciu autorów, jest dziełem samizdatu szczególnego rodzaju; okazało się bowiem, że większość inteligencji węgierskiej odrzuca oficjalną ideologię i opowiada się za koncepcją "trzeciej drogi", to znaczy za demokratycznym socjalizmem.

P: Czy może Pan w ogólnych zarysach przedstawić dlaczego dziś przywiązanie się tak wielką wagę do osoby Istvana Bibo?

H: Istvan Bibo był pisarzem politycznym; najwybitniejszym w węgierskim przedstawicielem politycznej filozofii "trzeciej drogi". Między 1945 a 1948 był nadzwyczaj aktywny, a później do 1956 był skazany na milczenie. Do rewolucyjnego rządu Imre Nagya należał jako minister stanu. W 1957 roku został skazany na dożywotnie więzienie za działalność kontrewolucyjną. Wyszedł w 1963 roku w ramach amnestii. W swoich pismach krytykuje zarówno klasyczną, prawie feudalną węgierską reakcję jak i komunistów. Był to ideolog demokratycznego socjalizmu w Europie Wschodniej, o orientacji chrześcijańskiej. Był jedynym, który miał odwagę zajmowania się podobnymi problemami. W 1957 roku napisał memorandum o finlandyzacji Węgier - po dzień dzisiejszy jest to dalekosiężny program wszystkich wschodnioeuropejskich opozycjonistów.

P: Jakie następstwa miał album ku czci Bibo, przy którego stworzeniu uczestniczyli nie tylko autorzy opozycyjni?

H: Jedno stało się jasne, że ideologia państwowa nie jest za bardzo pociągająca dla intelektualistów. I nawet jeżeli opozycjoniści po albumie o Bibo nadal pozostają sobą, a autorzy oficjalni nadal stosują autocenzurę, to nie ma w tym sprzeczności. Okazało się, że żadna z wersji ideologii państwowej nie została przyjęta przez intelektualistów. W tym widzę olbrzymi wpływ samizdatu na kulturę oficjalną. Znaczenie ruchu opozycyjnego widzę również w tym, że usiłuje wypracować program małych kroków prowadzący do demokratyzacji Węgier. Program ten nie jest radykalny i to jest w tym kontekście istotne. Opozycja chce popierać kurs rządowych reform. Co oczywiście nie oznacza, że opozycja rezygnuje z wizji pluralistycznych i samorządnych demokratycznych Węgier.



P: Żyjemy w czasie zbrojeń. Rokowania między Moskwą i Waszyngtonem spaliły na panewce. Na Zachodzie, a szczególnie w Republice Federalnej Niemiec doszedł do głosu silny ruch pokojowy, słabszy, lecz interesujący ruch pokojowy stał się sławny w NRD. Również na Węgrzech istnieje ruch pokojowy, o którym jednak dotychczas jeszcze niewiele się wie i który ze względu praktycznych od początku usiłował odciąć się od kręgów opozycyjnych.

H: Nowy ruch pokojowy na Węgrzech wywodzi się z kręgów młodzieży akademickiej. Usiłował on wraz z zachodnioeuropejskim ruchem pokojowym stworzyć europejski ruch pokojowy. Ideologią była oczywiście obustronna odpowiedzialność, to znaczy, że oba bloki, oba supermocarstwa są w równym stopniu odpowiedzialne za zbrojenia. Rząd zwrócił około roku z oceną ruchu, który koniecznie chciał współpracować z Krajową Radą Pokoju. Krajowa Rada Pokoju jest wprawdzie tylko przekaznikiem radzieckiej propagandy, lecz mimo to zachowała giętka postawę stosownie do ogólnej polityki Węgier. Wiosną 1933 roku Biuro Polityczne stanowczo zdecydowało, że niezależny ruch pokojowy nie może być zalegalizowany. Popiera na może być tylko linia radziecka. Od tego czasu ruch pokojowy "Dialog" jest ścigany przez milicję.

P: Sprawami pokoju zajmują się także małe wspólnoty chrześcijańskie. Dla tej coraz liczniejszej grupy charakterystyczne jest odrzucenie militarystki i przemocy w ogóle ze względów pryncypialnych oraz odmowa służenia w wojsku. Blisko dwustu poborowych odmówiło na Węgrzech odbycia służby wojskowej i za tę decyzję placą oni zastrzoną karą więzienia, ponieważ służba cywilna tu nie istnieje. Ale skala tego oporu nie jest wielka. Jak widzi się na Węgrzech obecnie, w okresie groźnie wzrastających napięć między Wschodem i Zachodem, problem zbrojeń?

H: Opinia publiczna Węgier nie czyni różnicy, jak to robi czasami zachodni ruch pokojowy, między zbrojeniami Wschodu i Zachodu. Jestem zatem zdania, że węgierska opinia publiczna nie potępia bardziej zbrojeń NATO niż Układu Warszawskiego. Zgadza się ze zdaniem zachodniego ruchu pokojowego reprezentującego europejski nacjonalizm w opozycji do supermocarstw. I zgadza się z tymi, którzy są zdania, że w zamian za neutralność Europy Zachodniej powinno się wywalczyć neutralną Europę Wschodnią.

P: Czy system Kadara jest drogą ku demokratycznemu Węgrom?

H: Byłoby iluzją twierdzić, że kadaryzm jest drogą wiodącą ku demokracji. Droga kadaryzmu jest w istocie poszukiwaniem sposobu, w jaki można by odnowić komunistyczny system jednopartyjny, nie zagrażając jednocześnie jego pryncypiom. Myślę, że stabilność i integralność komunizmu w Czechosłowacji lub w Polsce, a zatem w krajach, gdzie nie idzie się na ustępstwa, w krajach, gdzie nie czyni się eksperymentów, jest dużo bardziej zagrożona niż na Węgrzech. Model kadaryzmu zakłada dość świadome eksperymentowanie w poszukiwaniu punktu, do którego można iść na ustępstwa nie zagrażając politycznym pryncypiom. Model kadaryzmu nie dopuszcza pytania, czy wolno te pryncypia przekroczyć.

tłum. Fakete

Tekst ten napisany został przez autora, który często podróżuje do Europy Wschodniej i którego nazwisko musi pozostać nieznanne.

## Narodziny i śmierć Rumunii

W Transylwanii był maj. W ciągu dnia pogoda była łagodna, wieczory zimne, a Rumuni, w równym stopniu przytłoczeni myślami o własnym położeniu jak i pragnący o nim zapomnieć, wyglądali kome-ty Halley'a z dziecianną radością. Ich wzrok został nagle w sposób brutalny zwrócony na ziemię przez wypadki w Czernobylu /nazwa raczej omijana w miejscowej prasie/. Specyficzny typ wyobraźni, który wydaje się być charakterystyczny dla Rumunów, postawiony wobec nieznanego, bezlitoznego niebezpieczeństwa, przed którym nie sposób się obronić, stał się bardziej groźba niż zaleta. Zapasy konserw, które leżały w magazynach latami zniknęły w ciągu jednej nocy, a kiedy dojrzały wreszcie pierwsze nowalijki, o których marzono w czasie niezwykle srogiej zimy, niewielu było chętnych do jedzenia. Każdy miał własną teorię na temat skutków napromieniowania, zaś dyskrekcja władz w tej kwestii wzmagająca jedynie panikę. Potem ogólny nastrój zmienił się. Nikt nie kładł się tej nocy, od czasu do czasu następowała sąsiedzka wymiana wrażeń, aż w końcu podekscytowana grupa ludzi podążyła w kierunku Bukaresztu, krzycząc ze wszystkich sił. Zapomniano o pyle radioaktywnym /przynajmniej na jedną noc/ i pojawiło się prawdziwie śródziemnomorskie uczucie radości: po raz pierwszy rumuńska drużyna piłki nożnej wygrała mecz podczas mistrzostw o Puchar Europy.

Moich dwóch starych przyjaciół pozostało za linią autową. Po trzech latach znalazłem ich wyraźnie zmienionych, każdego inaczej. Ten, który był bardziej nieugięty, stał się jeszcze bardziej nieustępliwy, jeśli chodzi o własne poglądy, ten bardziej elastyczny wydawał się czasami chaotyczny w sposobie myślenia. Sama Rumunia zmieniła się znacząco również na swój sposób, wydaje się, że trzy ostatnie lata były kulminacją o wiele dłuższego społecznego doświadczenia, które wycisnęło swoje piętno na całym kraju. Jeden z moich przyjaciół powiedział, że aby zrozumieć wydarzenia, powinienem zajrzeć do dekretu Rady Państwa Socjalistycznej Republiki Rumunii wydanego 10 października 1981 r. Brzmi on następująco: "mianem nielegalnej działalności handlowej, podlegającej, zgodnie z warunkami zawartymi w kodeksie karnym karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do pięciu lat, określa się nabywanie towarów w spółdzielczych lub państwowych jednostkach handlowych w celu gromadzenia lub też kupowania oleju, cukru, mąki pszennej lub ku-

kurydzianej, ryżu, kawy i wszystkich tych artykułów w ilości przekraczającej potrzeby rodziny na okres jednego miesiąca, których gromadzenie mogłoby naruszyć prawa innych konsumentów i utrudnić właściwe zaopatrzenie ludności".

Od tego momentu, twierdził mój przyjaciel, sytuacja zmienia się drastycznie. Prywatni obywatele nie mogą już kupować kawy, zastąpiono ją ersatzem, o którym źle wyrażają się lekarze, a którzy ludzie, domyślając się składników, przezwali "henną". W większości okręgów mięso, maślanka i chleb są racjonowane. Cukier i olej są racjonowane w całym kraju, przy czym kartki opiewają na ilości większe niż te, które sklepy mogą zrealizować.

Należy wyjaśnić, iż od 1968 roku Rumunia jest podzielona na więcej niż czterdzieści okręgów; na czele każdego stoi lokalny sekretarz partii. Jest on odpowiedzialny za dostarczenie określonej ilości żywności ze swojego okręgu do władz centralnych i przedsięwzięcie to z pewnością przyprawia go o ból głowy. Stawia ono bowiem sekretarza wobec problemu nie do rozwiązania: jeśli rozdzieli na miejscu mniej żywności niż wymaga tego plan - do czego w stocznie jest zobligowany - zyska sobie popularność u władz, ale zasłuży na nienawiść ludności swojego okręgu, jeżeli będzie próbował pomóc ludziom w uzyskaniu większej ilości artykułów spożywczych, stanie się niepopularny u władz. Każdy w różny sposób podchodzi do tego samego dylematu; nawet w partii komunistycznej nie ma dwóch takich samych sekretarzy i ta psychologiczna różnorodność sprawia, że istnieją w kraju rozmaite sposoby rozdziału brakującej żywności. Jak zostałem poinformowany, w miastach Cluj i Pitesti sytuacja jest po prostu tragiczna, niewiele lepiej jest w Sibiu lub Vilcea. Tysiące ludzi wędrują z okręgu do okręgu, aby zrobić zakupy; nierzadko wracają z tych wędrowek z pustymi rękami.

Rumunia wydaje się być w pewien sposób unikalna. Jest to jedyny kraj europejski, w którym można dostać wyrok do pięciu lat więzienia za kupowanie nadmiernych ilości artykułów spożywczych, które są ogólnie niedostępne. O ile wiem, jest to również jedyny kraj, w którym oficjalny tydzień pracy wynosi czterdzieści sześć godzin, a ludność miejska przeznacza trzy do czterech godzin dziennie na zakupy żywności. W Rumunii prezydent Ceausescu podejmuje się ułożenia słów do nowego hymnu narodowego; nie o powierza tego przedsięwzięcia poecie. Niezależnie od republikańskiej formy państwa, którego jest konstytucyjnym przywódcą, prezydent dzierży berło i desygnuje własnego syna na swojego następcę.

Robotnicy nierzadko całymi dniami czekają na surowce, których fabryka nie może zdobyć. Jednocześnie opuszczenie stanowiska pracy bez zezwolenia lub wniesienie alkoholu, papierosów, zapalniczek czy zapałek uważane jest za złamanie prawa i karane pozbawieniem wolności od trzech miesięcy do dwóch lat /Dekret Nr 400 z 29 grudnia 1981 roku, Artykuł 18/.

Według ekspertów, z którymi rozmawiałem, przeciętna pensja wynosi mniej niż jedną piątą przeciętnych zarobków w krajach Wspólnego Rynku; o płacy minimalnej nie wspomina się. Każdego miesiąca państwo wstrzymuje pewien procent płac, który może być zwrócony pod koniec roku, jeżeli wykonany zostanie rządowy plan; zdarza się to raczej rzadko.

W prawie każdym przedsiębiorstwie funkcjonuje /poza szpiegami/ zatrudniony na stałe funkcjonariusz tajnej policji, który in-

formuje swoich zwierzchników o przebiegu pracy w przedsiębiorstwie. Wszystkie maszyny do pisania muszą być zarejestrowane i przedstawiane w komisariatach co roku do kontroli w celu ustalenia, czy nie zamieniono klawiszy.

Sądzą, że powyższe fakty w sposób wyraźny sugerują, iż obraz życia codziennego w Rumunii niewiele ma wspólnego z tym, który jest dostrzegany na Zachodzie. Amerykanie, myśląc o Rumunii, pamiętają letnią Olimpiadę z 1984 roku i drużynę gimnastyczną - wspomnieli o tym nawet amerykański sekretarz stanu przy okazji swej wizyty tej wiosny; mniej bohaterские wyczyny pominął milczeniem. Niektórzy ludzie na Zachodzie /ci z dobrą pamięcią/ starają się nie zapominać, że za prezydenta Ceausescu Rumunia odmówiła udziału w radzieckiej inwazji na Czechosłowację w 1968 roku. Zapominają jednak, iż fakt ten stał się możliwy dzięki wydarzeniom z 1958 roku, przed objęciem władzy przez Ceausescu, kiedy to wojska radzieckie wycofały się z granic Rumunii. W owych czasach było to wydarzenie niesrozumiałe, niemniej położyło ono podwaliny pod militarną niezależność Rumunii. Od tego momentu rumuńska polityka zagraniczna zmieniła się radykalnie. Pod rządami poprzednika Ceausescu Rumunia nie zgodziła się na podporządkowanie gospodarki narodowej interesom RWPG. Odmówiono zerwania stosunków z Chinami, a rumuński Komitet Centralny przyjął deklarację, która w sposób otwarty odmawiała ZSRR prawa do kontrolowania innych państw.

W 1956 roku, przed swoją śmiercią, Gheorghiu-Dej mianował Ceausescu nowym sekretarzem partii. Wbrew przyjętym na Zachodzie przekonaniom nowy przywódca nie był ojcem rumuńskiej niezależności, lecz jej beneficjentem i spadkobiercą. Jego zadaniem było zachować i pielęgnować ją dla dobra narodu rumuńskiego. Potrzebował dwudziestu lat, by obrócić ten spadek w gruzy.

"Rumunia, posiadająca obszar i liczbę ludności dwa razy większą niż Bułgaria i bogatsze zaplecze surowcowe, wydaje się kształtować swą gospodarkę w sposób bardziej pomyślny niż jej mniejszy sprzymierzeniec". (H. Gordon Skilling, *Communism, National and International*, University of Toronto Press, 1964, s. 65).

Dochód narodowy brutto w dolarach amerykańskich: Rumunia - 2300, Bułgaria - 3690 (źródło: Bank Światowy).

Spośród wielu projektów, które wprowadzał w życie Chruszczow, plan tak zwanej integracji ekonomicznej nigdy nie został w pełni zaniechany przez jego następców. Radziecka "integracja" miała oznaczać zreorganizowanie terenów kontrolowanych przez ZSRR w spójną "regiony gospodarcze", bez respektowania narodowych granic. Osią tego systemu miała być specjalizacja gospodarcza i "międzynarodowy podział pracy między bratnimi narodami". "Specjalizacja" oznaczała popieranie rozwoju tych gałęzi gospodarki, w których dane państwo celowało - idea sensowna z punktu widzenia młodych gospodarczo społeczności, ale z punktu widzenia długoterminowej strategii narodowej oznaczająca poważne kłopoty dla zainteresowanych krajów. Na przykład dla Bułgarii i Rumunii oznaczało to specjalizację w produkcji rolniczej i zawierało ryzyko zmniejszenia i tak już powolnego tempa rozwoju przemysłowego. Oba kraje miały posiadać status rolniczego zaplecza dla bardziej uprzemysłowionych państw członkowskich RWPG.

Bułgarzy zrobili ukłon w stronę Chruszczowa i zaryzykowali

unieśmiertelnienie zacofania gospodarczego swojego kraju, Rumunia pozostała jedynym oponentem wobec integracji gospodarczej. Udało jej się sprzeciwić radzieckiemu projektowi dzięki ogólnemu zamieszaniu, jakie panowało na Kremlu we wczesnych latach sześćdziesiątych. Pierwsze artykuły otwarcie krytykujące ZSRR ukazały się w Rumunii właśnie w okresie jej walki w ramach RWPG.

Ogólny model, wprowadzony po raz pierwszy w ZSRR w czasach Stalina i ustanowiony w krajach Europy Wschodniej, polegał na kontrolowanej przez partię centralizacji, która miała nie tylko kształtować systemy polityczne ale również struktury społeczne tych państw. Centralizacja istnieje we wszystkich tych krajach w rozmaitym stopniu. W ciągu ostatnich dwudziestu lat, kiedy to większość państw wschodnioeuropejskich czyniła próby rozluźnienia wewnętrznej centralizacji, Rumunia przyjęła diametralnie przeciwny kierunek działania i używała swojej względnej niezależności politycznej od ZSRR w celu reprodukcji przesadnie wiernej wersji radzieckiego modelu społecznego. Inne państwa tego regionu - Bułgaria, Węgry itd. - zaakceptowały swoją polityczną zależność od ZSRR, próbując jednocześnie zwiększyć odległość między swoim a radzieckim modelem społecznym. W rezultacie dzisiejsza Rumunia stała się krajem wschodnioeuropejskim, który jest najbardziej niezależny, jeśli chodzi o politykę zagraniczną i jednocześnie najbardziej stalinowski, jeśli chodzi o strukturę polityczną i społeczne. Rumunia mogłaby więc być nazwana najwymowniejszym uobowieszczeniem antyradzieckiego stalinizmu. Bankructwo gospodarki tego kraju nie jest rezultatem politycznej niezależności, ale raczej wynikiem własnej, ekstremalnej formy stalinizmu.

W efekcie autokratyczna Rumunia nie pozwoliła na narzucenie sobie radzieckiego modelu społecznego, ale z własnej woli skopiowała ten model i to w jego wyraźnie retrogresywnej formie. Reżim zdecydował właściwie, że najlepszym sposobem uniknięcia niepożądanego specjalizacji gospodarki narodowej będzie uniknięcie jakiegokolwiek specjalizacji. Nie zważając na ekonomiczne koszty Rumunia rozpoczęła urozmaicanie własnej produkcji przesyłowej, doprowadzając do stanu prawdziwej autarkii. Sądzone, iż autarkia, nie do przyjęcia dla potęg światowych, może być doskonałym rozwiązaniem dla państw małych.

Aby nie dopuścić, by kraj stał się rolniczym zapleczem RWPG rząd zdecydował, iż należy również zniszczyć rumuńskie rolnictwo. Stała redukcja przychodów z rolnictwa, notoryczne braki w produkcji nawozów chemicznych, szmatywny fluktuacje w rozmiarach prywatnych działek, przymusowa kontrola handlu między wsią i miastem - wszystko to nie tylko odstręczało rolników od produkcji i sprzedaży, ale wręcz skłaniało do wyrzeczenia się własnej społecznej tożsamości. Rolnicy porzucają rolnictwo. W tej sytuacji ziemia w coraz większym stopniu uprawiana jest dzięki przymusowej sile roboczej wojska, przez studentów i uczniów szkół średnich, a nawet przez tysiące robotników i wyspecjalizowanych fachowców, którym każe się opuszczać rodzime fabryki i pracować na polach, porzuconych przez tych, którzy dbali o nie w przeszłości.

Władze usiłują obecnie zmienić tę tendencję. Młodemu ludzom nie zezwala się już na opuszczanie wsi /zgodnie z historyczną praktyką/, a dorośli przeniesieni kiedyś na tereny miejskie są obecnie usilnie namawiani na powrót do swych wsi, z których w

wielu wypadkach byli siłą wypędzani. Podjęcie tych nowych kroków wydaje się jednak służyć raczej pogorszeniu niż poprawie sytuacji ludności wiejskiej. Dekret z 24 stycznia 1982 roku, z wierającą osiemdziesiąt dziewięć artykułów i rzekomo reprezentujący "nową rewolucję rolniczą", zapewnia między innymi przymusowy udział w pracy na roli całej ludności wiejskiej, niezależnie od zawodu, ze szczególnym uwzględnieniem ludzi starych, inwalidów i dzieci od lat dziesięciu /artykuł dziesiąty i jedenasty/. Przeciwno tym, którzy nie odrzucają minimalnej ilości dni roboczych wymierzone są sankcje karne i ekonomiczne, do skonfiskowania prywatnej działki łącznie.

Rolnicy zaczęli masowo kraść z pól kukurydzę, pszenicę i kartofle, by uzupełnić swe mizerne racje. Są za to sądzeni i skazywani. Słyszałem o pewnej kobiecie z okręgu Prahwa, która została złapana przez wiejską milicję, gdy niosła worek skradzionej kukurydzy. W czasie rozprawy sądowej jej adwokat odczytał komunikat wydany przez okręgowy komitet partii ogłaszający zakończenie zniw. Ponieważ przestępstwo zostało popełnione w tydzień po opublikowaniu owego komunikatu, było oczywiste, że kobieta nie mogła ukraść kukurydzy, oficjalnie bowiem na polach nie pozostało już żadne ziarno, które można by zabrać. Kobieta została niewinowana.

Inni nie mieli takiego szczęścia. Skłoniło to rolników do zmiany taktyki: ponieważ władzom dużo trudniej przedsiębrać postępowanie karne przeciwko dzieciom, dorośli wysyłają je, by kradły dla nich. Uczenie dzieci kradzieży w celu zdobycia pożywienia jest aktem desperacji ze strony chłopów, którzy tradycyjnie uwielbiali zawsze dzieci i niezwykle wysoko cenili swój honor. Walka o jedzenie służyć może jedynie ustabilizowaniu dziwaczego status quo, w którym odpowiedzialność za produkcję rolną, zdjęta z pleców rolników, stała się uciążliwym jarmem tych u władzy.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat w Rumunii nastąpił gwałtowny wzrost produkcji przemysłowej, o przeciętnym rocznym wskaźniku powyżej dwunastu procent. Wskaźnik ten, najwyższy w Europie, podkreślany jest w oficjalnej propagandzie, która ma nadać wiarygodność reżimowej strategii gospodarczej. Rumunom mówi się, iż produkcja, stanowiąca podstawę niezależności, jest zajęciem bardziej godnym niż konsumpcja stwarzająca tyle problemów narodom, które niesłusznie wynoszą ją pod niebiosa.

Ta etyczna zasada, realizowana w postaci drastycznych restrykcji wobec towarów konsumpcyjnych na rzecz akumulowania rezerw przemysłowych, miała widoczne rezultaty technologiczne. W monotonnym pejzażu autarkii zwracają uwagę dwa szczyty: produkcja stali i wysokooktanowego paliwa. W bardzo krótkim czasie Rumunia została wyposażona w rafinerie ropy naftowej o pojemności dwa razy większej od poziomu krajowej produkcji /składają znaczny według europejskich standardów: ponad jedenaście milionów ton rocznie/. Porozumienie z Iranem umożliwiło funkcjonowanie rafinerii bez przestoju. Iran podjął się bowiem dostarczania ropy naftowej w zamian za Rumunia miała go zaopatrywać w pewną ilość produktu rafinowanego. Pozostałe ilości miały być odłożone z myślą o własnych potrzebach lub o sprzedaży za twardą walutę na rynku międzynarodowym. Plan ten nazwany "Niezależnością Energetyczną" umocnił co prawda niezależność kraju od ZSRR, ale oczywiście nie od Iranu.

Dla wykonania planu zostały zaciągnięte poważne długi zagra-



niczne, ale ledwo plan został wprowadzony w życie, gdy zaszły dwa niepomyślnie wydarzenia, równie katastrofalne, co nieprzewidziane: kryzys paliwowy i upadek szacha. Jego żałosny koniec to historia ogólnie znana, niewiele osób jest jednak świadomych jak nieodwracalne konsekwencje jego los narzucił rumuńskim przywódcom i rumuńskim rafineriom ropy naftowej. Posiadając ograniczone zasoby wody i węgla i nie mając dostępu do radzieckich elektrowni atomowych, Rumunia zamroziła ogromny kapitał polegając wyłącznie na porozumieniu naftowym, które z trudem przetrwało uroczystości związane z jego podpisaniem.

Rumunia może więc jedynie w części korzystać z rafinerii, natomiast w całości musi spłacić długi zagraniczne zaciągnięte w celu ich rozbudowy. Zamiast uzyskiwać dewizy z benzyny sprzedawanej na Zachód, Rumunia musi wykrwawiać się, by spłacić 12 miliardów dolarów oraz bardzo wysokie odsetki, których żądają państwa zachodnie. Jest rzeczą oczywistą, iż rząd może odrobić straty jedynie stosując sankcje wobec masowej konsumpcji w kraju.

O swojej politycznej niezależności Rumuni dowiadują się z pogłosek. Energetyczną niezależność kraju mogą ocenić na podstawie autopsji. Gdy zapada zmierzch, miasta pogrążają się w ciemnościach - prawdziwy raj dla złodziei. W ciągu dnia w niektórych miastach autobusy jeżdżą tylko między 6 a 8 rano oraz 3 i 5 po południu. Każdego dnia następują przerwy w dopływie energii elektrycznej i wody, są one nagłe i niekiedy trwają ponad cztery godziny. W rezultacie lodówki rozmrażają się w lecie, a o każdej porze roku mieszkańcy Bukaresztu unikają korzystania z wind, aby nie zostać złapanym między piętrami. Starsi ludzie, obciążeni pakunkami i babcie z dziećmi na rękę przygotowują się do powrotu do swoich mieszkań na dziesiątym lub jedenastym piętrze, jakby to była górską wyprawą. Najmocniejsza żarówka, jaką można dostać w sklepie, to 40-watówka, zabronione jest używanie więcej niż jednej lampy w pokoju, program telewizyjny został skrócony do dwóch godzin w dni robocze, każda instytucja ma przydzieloną ograniczoną liczbę samochodów /są oczywiście wyjątki, ale nie dla pogotowia ratunkowego/.

Używanie samochodów jest zabronione w miesiącach zimowych, a w czasie pozostałych dziewięciu miesięcy, aby kupić ograniczoną ilość benzyny, trzeba spędzić w kolejce od dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin. Procesja, która przemierza miasto cztery razy dziennie przewożąc prezydenta z jego rezydencji do innego pałacu, w którym pracuje, składa się z dziewięciu samochodów, nie licząc nieznaney liczby aut, które oficjalnie nie należą do orszaku, lecz są przydzielone do ochrony /lekarz, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że gdyby świta prezydencka została zmniejszona do czterech samochodów, a zaoszczędzoną w ten sposób benzynę przekazano karetkom pogotowia, każdego tygodnia można by uratować życie wielu ludzi/.

Mówiono mi też, że niektórzy bardziej zuchwali obywatele zaczęli narzekać i twierdzić, że wychwalana niezależność energetyczna zaszcza już za daleko. Nie mieli racji. Dowodem na to były polarne temperatury w zimie 1984/85, kiedy kaloryfery były właściwie zimne w każdym mieście. Przy dwudziestu stopniach poniżej zera ludzie marzli w swych domach i teatrach, a przede wszystkim w szpitalach. Szkoły zostały zamknięte, kobiety, które musiały

ić rano do pracy, nauczyły się gotować po północy, kiedy czasami włączano prąd na jedną lub dwie godziny. Robiły to na elektrycznych kuchenkach, za używanie których grzywna wynosi pięć tysięcy lei, ekwiwalent przeciętnej dwumiesięcznej pensji.

Władza usiłowała polepszyć sytuację. U schyłku lat siedemdziesiątych stało się jasne, że zastąpienie nieugiętym Ajatollahem nie wymagającego szacha będzie wymagało w Rumunii zastąpienia łańcuchowego dopływu irańskiej ropy czymś bardziej niezawodnym. W tym momencie filozofia prezydenta, że historii nie można zmienić bez zmian w geografii - stała się rzeczywistością. Wcześniej Ceausescu zlecił budowę kanału łączącego Dunaj z Morzem Czarnym, która pochłonięła ogromne ilości pieniędzy, lecz mimo to obce statki nadal odmawiają używania go. Ceausescu zarządził zniszczenie jednej trzeciej Bukaresztu, by wybudować nowy pałac prezydencki otoczony z obu stron triumfalnym bulwarem przecinającym całe miasto /2,5 miliona mieszkańców/. Obecnie wydał rozkaz w tym samym niezłomnym duchu i zgodnie z tym rozkazem Rumunia ma stać się wielkim producentem węgla. W głównym regionie węglowym kraju zastrajkowało ponad trzydzieści tysięcy górników.

Nowy dekret ogłosił, iż od tej chwili główne regiony produkujące węgiel będą gdzie indziej, bliżej rodzinnej wioski prezydenta, gdzie węgiel, według ekspertów, z którymi rozmawiałem, ma wartość kaloryczną poniżej opłacalnych ekonomicznie i technologicznie parametrów. Nowi górnicy, choć nie zastrajkowali, nie udowodnili jednak, iż dorosli do powierzonych im zadań. I tak pierwotna wersja planu obliczona była na wydobycie 86 milionów ton węgla do 1985 roku, wersja następną postawiła cel 64 milionów, podczas gdy rzeczywista produkcja wynosiła 44 miliony. W ten sposób niezależność energetyczna w oparciu o rumuński węgiel okazała się niewiele różnić od tej opartej o irańską ropę.

Ktoś mógłby pomyśleć, że rumuński deficyt energetyczny jest najgorszy na kontynencie. Nic bardziej błędnego. Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy dane statystyczne były jeszcze możliwe do uzyskania, obliczono, że rumuńska produkcja energii elektrycznej, wynosząca 2764 kilowatogodzin, była prawie równa produkcji we Włoszech, większa niż na Węgrzech /2196 kwh/, Hiszpanii i Jugosławii, dwa razy większa niż w Portugalii. Mimo to oznaki szczególnego deficytu energetycznego nie są widoczne w Lizbonie, podczas gdy jaskrawo rzucają się w oczy w Bukareszcie. Dzieje się tak dlatego, iż Rumunia ma stać się zużywać energię elektryczną na potrzeby własnego narodu, przeznaczyła ją dla szczególnie energochłonnego przemysłu.

Rumuński przemysł żelaza i stali nie był nigdy bardzo wydajny, mimo posiadanych przez kraj zasobów mineralnych. W 1965 roku, kiedy Ceausescu obejmował władzę, produkcja stali osiągnęła wspinały poziom 180 kilogramów per capita rocznie. Pod rządami nowego przywódcy liczba ta podskoczyła do poziomu, jaki udało się osiągnąć niewielu krajom - ponad 600 kilogramów stali na głowę w 1980 roku - innymi słowy więcej niż Francja, Wielka Brytania, NRD lub Stany Zjednoczone.

Niestety gwałtowna ekspansja rumuńskiego przemysłu stalowego pojawiła się w momencie, kiedy kraje zachodnie zdecydowanie zmniejszyły swą produkcję stali i rynek międzynarodowy załamywał się. W rezultacie dzisiejsza Rumunia cierpi z powodu braku równo-

wagi pomiędzy możliwościami w produkcji stali, a zdolnością zużycowania jej. Nowicjusz na rynku z trudem znajduje dla siebie miejsce, gdy starzy bywalcy mają nadprodukcję. Są więc dwie możliwości odniesienia rynkowego sukcesu: albo stawia się na technologię w celu polepszenia jakości towaru, albo na dodatkowe działania ekonomiczne, by osiągnąć znaczną obniżkę cen. Nic więc dziwnego, że rumuńscy producenci zostali oskarżeni, o dumping stali na rynku i to amerykańskim. Rumuński przemysł kontynuował produkcję stali, której kraj nie był w stanie przetrawić, a rynek międzynarodowy raczej nie miał ochoty kupować.

Kiedy mówi się na Zachodzie o prawach obywatelskich, myśli się na ogół o wolności słowa lub gromadzenia się, a nie o prawie do życia w cieple. Mimo to, szczególnie w zimie, prawo do życia w cieple staje się obsesją większości Rumunów i wszystkie inne prawa, na które powoływano się w ciągu pozostałych miesięcy roku, ulegają wręcz zapomnieniu. Tysiące ludzi pozbawionych prawa swobodnego wypowiedziania się wydają się być całkowicie obojętnymi wobec tego faktu. Bardzo niewielu pozostaje obojętnymi w kwestii utraty prawa do ogrzania się.

Rumunia ma wieloletnią tradycję w dziedzinie architektury terenów zielonych w mieście, a Rumuni zawsze byli dumni ze swych parków i skwerów. Jednak w zimowe noce, pod osłoną ciemności, ludzie atakują wielkie drzewa rosnące wzdłuż ulic miasta, odcinają ogromne gałęzie i ciągną je na dziecinnych sankach do swych lodowatych mieszkań. Zachowanie takie sugeruje, że posiadają oni jakąś możliwość palenia drewnem, na przykład kominek i o tyle ich sytuacja jest lepsza od innych.

Historia, którą mi opowiedziano o Grogore Hiagiu, wybitnym poecie i jego żonie Gabrieli Cressin, znanym statystyku, mówi sama za siebie. Oboje mieli po czterdzieści lat. Byli w domu jednego z tych trudnych do wytrzymania styczniowych dni 1985 roku, kiedy temperatura spadła do minus trzydziestu stopni Celsjusza według termometrów okiennych i do minus dwudziestu stopni według radia. Po północy cienutki strumień gazu pojawił się w kuchni. Oboje usiedli przy piecu i próbowali się ogrzać. Zasnęli. W ciągu nocy gaz wyłączono i znowu włączono. Dwoje ludzi spało nadal. Nigdy się nie obudzili.

Dyrektor muzeum literatury rumuńskiej Alexandru Oprea również umarł w ten sposób i - jak się dowiedziałem - wielu innych. "Nie był potrzebny żaden Gułag, żaden pluton egzekucyjny, tortury czy aresztowanie" - powiedział mi jeden z moich przyjaciół - "oni umarli w spokoju, jako wolni ludzie, marząc o lecie, którego mieli już nigdy nie zobaczyć. Organizacje praw człowieka pozostają obojętne wobec kwestii ciepła, bowiem dopiero wstrzymanie ciepła, które czyni śmierć aktem politycznym, staje się przedmiotem walki o te prawa".

Historia Georghe Emila Ursu była całkiem odmienna. Potomek jednego z przywódców rewolty chłopskiej z XVIII wieku w Transylwanii, przyjaciel wielu poetów, sam inżynier, zbliżał się do sześćdziesiątki, kiedy w czasie nie ogrzewanej zimy 1985 roku został wezwany przez policję na przesłuchanie w sprawie swojej twórczości. Dziwne to było przesłuchanie. Pierwszy jego etap trwał od stycznia do sierpnia, każdego wieczora pojawiał się na przesłuchaniu, przez resztę czasu był wolny, zarabiając na życie w ciągu

dnia. Potem, na początku sierpnia, władze zwolniły go, co pozwoliło mu wrócić do dawnego zwyczaju przychodzenia do domu wieczorem i kradzenia się do łóżka. 21 września idylla skończyła się. Ursu zniknął w tajemniczy sposób. W listopadzie rodzina otrzymała telefoniczną informację, że Ursu jest chory i w więzieniu. Tego samego dnia zawiadomiono, również telefonicznie, o jego śmierci.

Być wtrąconym do więzienia za własne słowa przebrane na papier i umrzeć tam w tajemniczych okolicznościach, to banalny los w wielu częściach dzisiejszego świata. Historia Ursu ma niespodziewany akcent końcowy. Kiedy 3 stycznia 1985 roku policja skonfiskowała materiały przez niego napisane, okazało się, że nie był to manifest nawołujący ludzi do rewolty ani też obrazoburcza powieść z kluczem, ale prywatny dziennik. Czy można więc powiedzieć, że Ursu umarł za wyrażanie swoich opinii? Jego przestępstwo - jak się okazało - nie polegało na wyrażaniu opinii, ale po prostu na posiadaniu ich.

Moi przyjaciele pragnęli, bym więcej niż o czymkolwiek innym napisał o narodzinach i śmierci. W 1966 roku władze rumuńskie przyjęły nieco drakońskie metody w celu uzyskania nagłego i gwałtownego przyrostu naturalnego, który i tak według standardów europejskich był stosunkowo wysoki. W niedługim czasie praktycznie wszystkie środki antykoncepcyjne zostały zakazane. Wiele kobiet musi poddawać się w miejscu pracy comiesięcznym badaniom mającym na celu stwierdzenie, czy są one w ciąży, czy nie. Jeśli kobieta jest w ciąży, musi urodzić dziecko w ciągu dziewięciu miesięcy, inaczej grozi jej pozwanie do sądu. Powyższe kroki były pierwszą oznaką, że zakres nowej rumuńskiej polityki utrzymania niezależności i stawienia czoła ZSRR poszerzył się znacznie, obejmując najbardziej intymne doświadczenia życia prywatnego. Jasna i przekonująca retoryka nowego programu spełniła swoje zadanie, również efektywny był szczegółowy opis kar przewidzianych dla tych, którzy odmówiliby wzięcia udziału w programie. Według danych statystycznych liczba noworodków wzrosła z 273 687 w 1966 roku do 527 764 w 1967 roku. /Nawiasem mówiąc, zgodnie z rumuńskim prawem, przerwanie ciąży nie może być wykonane, chyba że obecny jest przy zabiegu przedstawiciel ministerstwa sprawiedliwości, który może zaświadczyć, że poronienie było samoistne, a nie wywołane. Nie wystarczy słowo lekarza. Urzędnik, czując się jednak niekompetentnym, może się nie pojawić. Nawet jeśli kobieta krwawi, lekarz nie może działać sam i w niektórych przypadkach pacjentka może umrzeć. Taki wypadek zdarzył się nawet, jak mi powiedziano, a ofiarą była asystentka człowieka odpowiedzialnego za to prawo - ministra zdrowia/.

Statystyki, którymi dysponujemy, sugerują, iż polityka ta nie była odpowiedzią na żaden kryzys demograficzny. W 1965 roku naturalny wskaźnik przyrostu ludności na tysiąc osób wynosił w Rumunii 6, a na przykład na Węgrzech 2,4, w NRD - 3. Dziewięć miesięcy zajęło podwojenie liczby noworodków, więcej niż sześciu lat potrzeba było, by podwoić liczbę ginekologów, położników, pediatrów i mamek /nie mówiąc już o dostępności oddziałów położniczych, żłobków, szpitali dziecięcych i szkół lub o produkcji mleka w proszku, niemowlęcych ubrań i zaplecza medycznym/. W ciągu dziewięciu lat przed wprowadzeniem tego programu liczba noworodków rzadko przekraczała 250 000 rocznie. Niektórzy ludzie, z którymi

rozmawiałem, uważali, choć oczywiście nie sposób zweryfikować ich poglądów, że spośród 500 000 kobiet, które zostały matkami w 1967 roku, przeszło połowa zrobiła to wbrew własnej woli. Pozostawiając je jednak na boku kwestie statystyczne wydaje się, że między władzą a żeńską połową ludności toczy się podziemna wojna.

Rząd rozpoczyna ostatnio nową ofensywę w tej wojnie. Wstrzymano publikowanie danych statystycznych na ów temat, by nie powodowały zamieszania i kłopotów. Zrozumieliśmy jest, że Rumunia powinna określić mianem tajemnicy państwowej liczbę kobiet, które zmarły, zostały inwalidkami na całe życie, albo które wtrącono do więzienia, gdyż miały skrobanki wykonane przeważnie przez znachorów. W powszechnym obiegu jest następujący wiersz, który może być zagadkowy dla ludzi z Zachodu:

#### Krucjała dzieci

Cały naród, choć jeszcze nie na ziemi,  
od urodzenia ukazany na marsz,  
płody ludzkie z lewa i z prawa,  
pozbawione słuchu i wzroku,  
zewsząd płody ludzkie,  
które nie mogą nawet zrozumieć,  
idą w kierunku grobowca,  
wydarte z łon cierpiących matek,  
skazane na urodzenie, skazane na śmierć  
nie mając prawa zapytać dlaczego.

Opublikowany w studenckim piśmie "Amfiteatru", razem z dwoma innymi utworami w podobnym nastroju, ten przygnębiający wiersz został podpisany przez Annę Blandiana - wielce cenioną poetkę. W ciągu bardzo krótkiego czasu tysiące egzemplarzy tego poematu, w postaci kserokopii lub przepisanych odręcznie, było dostępne wszędzie i - według oficjalnej prasy zasługa osobliwego i popularnego samizdatu - trafiły do rąk wielu rodzin.

Należy oczekiwać, iż zrozumiały one to, co zostało tam powiedziane. Biura wydające metryki urodzenia każą rodzicom noworodków pojawić się ponownie za miesiąc. Można by powiedzieć, że nowo narodzone dzieci stają twarzą w twarz z państwem, które zmusiwszy je do przyjścia na świat, teraz odmawia uznania ich obecności. Mimo, iż dziecko krzyczy lub jest grzeczne, domaga się jedzenia lub wręcz przeciwnie, przybiera na wadze gwałtownie lub zbyt powoli, mimo że staje się centrum życia swej rodziny, z punktu widzenia państwa nie istnieje przez miesiąc. Dlaczego państwo zapomina o niemowlętach tworząc co roku armię złożoną z około 400 000 nowo narodzonych?

Odpowiedź, jak zostałem poinformowany, można odnaleźć w oficjalnie publikowanych danych statystycznych za lata 1966 i 1967 ukazujących niedwuznacznie, iż gwałtowny wzrost liczby urodzin /do 92,8%/ został przewyższony wskaźnikiem śmiertelności noworodków /o 145,6%/. Można zmusić kobiety, by wydały na świat nie chciane dzieci, nie można jednak zmusić tych dzieci, by pozostały na tym świecie. Jeśli jednak z formalnego punktu widzenia nie było narodzin, nie może być również śmierci. Tak więc nie wydając przez miesiąc metryk, państwo unika przyszanawania się do śmierci, które mogłyby się w ciągu tego miesiąca zdarzyć. Niemowlę, które nigdy

nie zostało urodzone, z punktu widzenia prawa nie może umrzeć.

Podczas gdy oficjalny wskaźnik umieralności niemowląt mimo wszystko nadal rośnie, wskaźnik umieralności wśród ludzi starych jest coraz niższy, podobnie zresztą jak w całej Europie. Władze traktują to jako nałożenie ciężkiego jarzma na gospodarkę, ponieważ większość ludzi starych otrzymuje emerytury od państwa. Aby zmniejszyć ten ciężar /nie zmieniając prawa/ zostały wprowadzone pewne poprawki, na przykład wysokość przeciętnej emerytury została znacząco zredukowana. Poprawiło to nieco sytuację zmniejszając ogólną ilość pieniędzy wypłacaną co miesiąc w postaci emerytur. Nie zmniejszyło jednak liczby miesięcy, w których te zredukowane emerytury mają być wypłacane, z budżetowego zas punktu widzenia przeciętna liczba czeków realizowanych co miesiąc przez emerytów jest o wiele za wysoka. Jedynym rozwiązaniem była próba skrócenia przeciętnego okresu trwania emerytury - albo przez opóźnienie jej rozpoczęcia albo przez przyspieszenie jej zakończenia.

W każdym okręgu kwota przeznaczona na emerytury została znacznie zmniejszona. Nie ma jednak mowy o zmianie czy łamaniu prawa. Ktoś, kto osiągnął określony wiek jest uprawniony do przejścia na emeryturę i to pozostało aktualne: w wieku sześćdziesięciu lat można wystąpić o przejście na emeryturę. W ciągu pięciu lat można ją otrzymać. Skróciło to czas wypłacania emerytury dla rozpoczynających ją. Należało jeszcze coś zrobić z tymi, którzy dobiegają do jej końca. Opieka medyczna na przykład. Powiedzmy, że ktoś w rodzinie ma atak serca. Jego krewni telefonują natychmiast do miejscowej przychodni lub szpitala. W każdym przypadku jedno z pytań po drugiej stronie telefonu nieodmiennie będzie dotyczyło wieku pacjenta. Dla kogoś po siedemdziesiątce karetka pogotowia albo lekarz będą trudno osiągalne. Jak zostałem poinformowany, lekarze są wyraźnie instruowani, aby ograniczyć wypisywanie recept w ogóle, a szczególnie dla ludzi starych. W każdej przychodni lekarze są pilnowani, by przepisując leczenie brali pod uwagę wiek pacjenta.

Ostatnio inna sugestia dotycząca ludzi starych wyszła od samego prezydenta. W przemówieniu w 1985 roku na Kongresie Rad Ludowych wyraził on chęć zaoferowania wszelkiej niezbędnej pomocy, która by ułatwiła starszym przedstawicielom ludności miejskiej przeniesienie się na wieś w celu podjęcia "jakiejsz formy pracy sprzyjającej zdrowiu fizycznemu i duchowemu". Dla moich przyjaciół zabrzmiało to jak projekt świadomego rozdzielania rodzin. Obawiają się oni, że może to przybrać postać wywózek i przymusowej pracy.

Zanim rozstaliśmy się radykalniej myślący z moich dwóch towarzyszy/mający jednocześnie tendencję do dramatyzowania/ powiedział mi na pożegnanie: "Gorzka rzeczywistością jest fakt, iż wy nas nie potrzebujecie, podczas gdy my was potrzebujemy. Być może nie zapomnisz o nas, kiedy powrócisz do swojego kraju. Nie opisuj jedynie potwornej rzeczywistości kobiet i dzieci, o której mówiliśmy, oraz starych i niedołączonych, którzy każdego dnia są bez rozgłosu usuwani z tego świata. To, co masz na myśli, to nie represje. Teraz to już nie Gułag i nie wtrącanie ludzi do więzień: to warunki codziennego życia. I to by było tyle, jeśli chodzi o lekcję poświęconą dzisiejszej Rumunii".



# Siegfried Heinrichs

## Wygnanie, albo szkice

### z pewnego socjalistycznego więzienia

Ten system,  
gdyby był ludzki, nie byłby  
tym systemem.

Andrzej Amałrik

Pisałem o tym, co widziałem i o czym mogę zaświadczyć,  
co jest wyznaczone nazwą, miejsce, historią. Pisałem  
o kilku dniach w więzieniach, tam w moim kraju...  
mój kraj, odległy tylko o rzut kamieniem, dziś.  
I oddzielony ode mnie murem, znów jak kiedyś. Pisałem  
o marzeniach pojedynczego człowieka wśród rozpaczny,  
o jego nadziei, że będzie mógł znów żyć bez krat...  
ale widzę: kraty wrosły w mój język - dlatego próbuję  
je tutaj przepiłnować, moim oddechem, moim wersem.

Nieważny sen pewnego więźnia

w mojej celi nie ma  
zieleni,  
nie ma krzaka,  
nie ma drzewa

ze spaceru po podwórzu,  
z dwudziestu minut  
pod strażą,  
przyniosłem źdźbło  
trawy

---

Siegfried Heinrichs, ur. w roku 1941, został w roku 1964 aresztowany w Karl-Marx-Stadt pod zarzutem rozprowadzania pism skierowanych przeciwko państwu (NRD). W rzeczywistości chodziło o utwory poetyckie powielane przez autora. Zdenuncjował go brat. Po trzyletnim pobyciu w zakładzie karnym "Waldheim" Heinrichs pracował w różnych zawodach. W więzieniu napisał wiele tekstów literackich przechowywanych w archiwach NRD-owskiej SB. W roku 1974 został wykupiony przez RFN. Mieszka i pracuje dziś w Berlinie Zachodnim, gdzie w roku 1978 i 1980 opublikował dwa tomy wierszy. O tomie pt. "Die Erde braucht Zärtlichkeit" (Ziemia potrzebuje czułości) pisze krytyk Manfred Bosel w znanym kwartalniku Neue Deutsche Hefte, że mamy tu do czynienia z jedną z najbardziej znaczących publikacji poetyckich roku 1980. W tym samym roku Heinrichs ogłosił również książkę pt. "Die Vertreibung oder Skizzen aus einem sozialistischen Gefängnis" (Wygnanie czyli szkice z pewnego socjalistycznego więzienia), której fragmenty drukujemy.



Bez słowa H. sięga do kieszeni, podaje dwódkę, klucze. Stał i nie wiedział, co powiedzieć. Myślał o różnicy w banku, kto ją dziś znajdzie, do diabła... Niech pan idzie, powiedział ten bez twarzy. Dokąd? Do mieszkania. Rewizja.

## ARESZTOWANIE

A więc to jest aresztowanie. To wielkie wydarzenie, to przeczuwane wydarzenie, a wygląda jak codzienna sprawa, jak drobnostka, i nie zmienia w ogóle niczego, ani w tobie, ani w tym dniu. Właśnie jedzie tramwaj, powinienem teraz wsiadać, kasować bilet, pomyślał H. ... Teraz tu się kasuje. Kasuje się godzinę, ciebie samego, zgrabnie przepisowe frazesy... Aresztowanie. Oto ono. W inie racji stanu..., jak to zwykle pisano w gazetach. A więc otworzyć drzwi, iść przodem, zatrzymać się, już na komendę. Niepewnie staje H. we własnym mieszkaniu. We własnym...? Nagle jest obce, bardzo obce. Co teraz...? Może nie potrwa to długo. Zaczynają swoją robotę. Pewnie, wiedząc co do nich należy. Maja praktykę. H. żąda nakazu aresztowania. Nam niepotrzebny, pada krótka odpowiedź. To aresztowanie tymczasowe. W ciągu 24 godzin zostanie pan postawiony przed sądem śledczym, dla zbadania sprawy. No dobrze... A więc stać, patrzeć, jak zaczynają przeszukiwać mieszkanie. Książka za książką, oglądają, obmawiają każdy grzbiet, przeglądają, kartkują każdą książkę. Znoszą gazety, luźne notatki układając je w stosy razem z przypadkowo wyłowionymi książkami. Co wezma, H. patrzy z zaciekawieniem... na razie go to bawi, na razie. Gottfried Benn. Albert Camus /"... pisarz zawsze stoi po stronie tych, którzy cierpią z powodu historii, a nie po stronie tych, którzy ją tworzą"/. Sartre, Jewtuszenko, Pasternak, Malaparte... Co ich tak w tym interesuje? Co ich drażni? Trudno rozszyfrować. H. wykonuje ruch, sięga do teczki. Nagle poczuł głód. Zjadłby coś. Wyrwyją mu ją, jednym ruchem. Twardo, zimno, polecenie: niech pan to zostawi, niczego nie dotykać. Przy tym jeden z nich, ten bez twarzy, dziwne, że w takiej chwili się to spostrzega, trzyma rękę w kieszeni. A więc mają broń, myśli H. Biedna literaturo. Camus, Pasternak, konfiskowani pod lufą pistoletu. Jakie popełniliście przestępstwa? Scena jak w filmie, myśli H.

Ale niestety dzieje się to w jego mieszkaniu, jest faktem, tu w jego mieszkaniu, możliwa rzeczywistość jego kraju...

Przyprowadzają dwóch świadków. Formy muszą być zachowane Właścicielką domu i starego mężczyzną, byłego więźnia obozu koncentracyjnego, H. zna go z rozmów.

No, Gustawie, myśli H., jak wygląda Hitler, Hitler jakiego pamiętasz, dziś, tutaj, czyżby zmienił mu się tylko głos, z ryczącego wrzasku na falset...?

Gustaw ma jeszcze rozpięte spodnie. Niepoważna scena, gdy kobieta zwraca mu na to uwagę, a on odwraca się, zapina spodnie, jakby tutaj należało się wstydzić.

Są zmieszani, oboje. Starzy renciści, o szóstej rano wyciągnięci z łóżka. Nie powiedzieli nawet "dzień dobry", więc H. mówi pierwszy.

"Dzień dobry, Gustawie".

Zamknij się, dla kogo dobry, dla tego dobry, mówi ten bas bez twarzy. Wlepia oczy w H. Boże, myśli H., jeszcze mnie zagryzie i niech zabierze rękę z tej pukawki, denerwuje mnie to...

Szukają, szukają, szukają... pod dywanem, albo tym, co kiedyś było dywanem, pod łóżkiem, za, nad i pod szafą, w walizkach...

Przeszukują szpary w podłodze, obmacują każdą z osobna, centymetr po centymetrze, opukują każdą listwę.

Potem w towarzystwie na strych, pełno tam rupieci.

Potem do piwnicy. Biorą w ręce brykiety, odrzucają na bok, sprawdzają pod spodem, potem ostukują deski, potem otwierają pomieszczenia sąsiada, spoglądają na siebie przez drewniane przepierzenie...

Wielki Boże, jak w dobrym numerze Chaplina, myśli H., ale Chaplina tu nie ma, jest tylko H.

Z powrotem do mieszkania. Tam podpisy świadków pod protokołem.

Potem zabierają go, H., jeden z lewej, drugi z prawej, panowie w cywilu. Państwo spełnia swój obowiązek, tak myśli H., i wciąż jeszcze jest trochę zaskoczony, że naprawdę on, dziś, stąd, ma być zabrany.

Zeszli schodami na dół.

Przed H. otwarte drzwi.

Wyszli na ulicę.

H. spojrzął na ostatnie piętro domu naprzeciwko. Tam gdzie mieszkała Babette, każdego ranka o tej porze otwierała okno i machała do niego delikatną, szczupłą dłonią.

Ale okno się nie otworzyło, nikt nie wyjrzał, nikt go nie zauważył. Nikt nie wyciągnął do niego rąk, żeby pokazać, jak jest bezradny.

Nikt.

Ni'ogo z nim nie było, nikogo, absolutnie nikogo.

A więc wszystkie zarzuty przeciwko niemu zostały sprawdzone, przy areztowaniu niczego nie zapomniano, nie przeoczone, nic nie przemawiało na jego korzyść.

Jak gdyby wszyscy uważali, że to co się dzieje, jest słuszne.

Podniósł ręce, jakby zaklinając ich, by sprawdzili jeszcze raz, żeby rozważyli, naprawdę, poważnie, bo chodziło o niego, o niego, a nie o nich.

Ale chyba wszystko było w porządku, bo zaczęli go bić po rękach, które wyciągał w stronę naprzeciwko. Bili go po twarzy i wepchnę-

li do samochodu, gdy wciąż jeszcze szukał, szukał we wszystkich oknach nie znajdując nikogo.

Widział z przodu i za samochodem, w którym siedział, inne nadjeżdżające cywilne samochody.

I myślał, że przecież to niemożliwe, żeby teraz, właśnie teraz, nikt go nie widział.

Siedzieli obok niego, z prawej i z lewej strony.

Przed nimi ulica.

Ręce H. ma w kajdankach, zimne, twarde żelazo...

Jakiś pies ujadając przebiegł przez ulicę, przybłąda.

On jeden jedyny go spostrzegł. H. czuł się tak, jakby miał pograhotane wszystkie kości, obita całe ciało i twarz i nie było nikogo, kto by mu współczuł.

Wszystko zgodnie z przepisami.

Wszystko w porządku.

A więc wszystko było sprawdzone, wszystko.

A więc mieli rację.

Ale zabrali dziś przecież tylko jego samego i nikogo więcej.

I nie było nic, o czym by zapomniano, a więc mieli rację ci, którzy go zabrali i ci, którzy milczeli.

H. siedział w samochodzie, w kajdankach, na początku swojej drogi.

## BADANIE

Stałem w celi, w pomieszczeniu bez okien, bez światła, gdzie nie docierał żaden ludzki głos. Tylko mój oddech słyszałem dziwnie wyraźnie, jak uderzenia w tę bojaźliwie napierającą na mnie ciszę milczących twarzy, patrzącego na mnie obco i z zainteresowaniem psa, to był owczarek niemiecki, dobrze odżywiony, na krótkiej smyczy.

Ten, który ją trzymał stał nieprzyjemnie blisko, z psem i z twarzą.

Potem tylko dwa słowa.

Rozebrać się.

Zrobiłem to. Jak marionetka, szybko, mechanicznie, lękliwie.

Otoczająca cisza weszła we mnie wraz z odrętwiałym wzrokiem psa, poczułem ból części ciała, a moje myśli były nastawione na dwa, trzy słowa...

spokój... bez niepotrzebnych ruchów...

Zdjąłem buty, skarpetki, koszulę, spodnie...

Potem bieliznę.

Nagi.

Nagi...

Nagi przed psem

Nagi wobec milczących twarzy.

Nagi wobec zimnego, brudnego betonu, wobec chłodu i znów wobec wpatrzonego we mnie nieruchomo oczu psa.

Dziwne, że zwierzę może zahipnotyzować człowieka czyniąc go niezdolnym do jakiegokolwiek ruchu, niezdolnym do mówienia.

Bieliznę obmacano, każdy szew, każdy guzik, każdy pasek, każdą fałdę, z każdej strony.

Wszystko obejrzano z wierzchu i od spodu... Może kiedyś ktoś zapisał swój wiersz na ubraniu, przesyłał mnie myśl...

Cisza.

Pies miał mnie przez cały czas na oku, śledził każdy mój ruch, każdą wstydliwą próbę zasłonięcia się.

Kobieta spojrzęła na mnie. Obmacała wzrokiem moje ciało

Odwroć się, rozchylić pośladki...

Zrobiłem to. Przestraszony i zmieszany, ale robiłem to bez sprzeciwu, z lękiem.

Podnieść jądra, unieść stopy, otworzyć usta, odgiąć uszy, rozstawić palce, spuścić głowę, powoli podnieść włosy do góry...

Musiałem wyginać, obracać, podnosić moje nagie ciało. Z wolna stawałem się posłuszną ludzką maszyną.

Pies.

Patrzył na mnie, powoli przestawałem się go bać.

Uśmiechnąłem się lekko do niego, do niego, tylko do niego.

To przecież dobre zwierzę, na pewno, myślałem, bo w dzieciństwie miałem owczarka. Dziwne, jak słabło napięcie i przychodził spokój. Teraz, myślałem... jeśli oni teraz... nikt nie zobaczy blizn, krzyku, szeptu, strachu, nikt prócz psa, bo twarze były z wosku. Twarze lalek u mundurów, mundury bez zarzutu, czyste oficerki, bardzo czyste.

Czyste ręce, żadnego brudu za paznokciami.

Kobieta, porządnie uczesana, spódnica do pół łydki.

Jak długo, myślałem. Jak długo, psie, powiedz, jak długo... jak często jeszcze, codziennie, co noc, ciągle od nowa, do wycieńczenia...

Heil Hitler, psie, powiedziałem cicho, bardzo, bardzo cicho.

Heil Hitler... psie...

#### TYLKO JEDNA KOBIETA

Była sobota.

H. rozpoznał to po spokoju, który nastał w więzieniu.

Żadnych przesłuchań. I z zewnątrz, z dalekiego miasta, nie dociera prawie żaden odgłos.

Weekend.

Teraz tylko zdjąć śmierdzące stęchlizna ubranie, podpalić je, puścić z dymem, myślał H. Na otwartym polu, żeby spalić się cały więzienny smród i żeby się wzbił ku niebu. Potem wykapać się w rzecę. Kapać się w spokojnie płynącej wodzie. Skóra nie mogłaby uwierzyć, po wysypce od zupy z brukwi z cuchnącymi resztkami mięsa. Resztki wymion, żołądków, mózgu - kiedyś H. wyłowił wszystkie kawałki mięsa z mętnej, gotowanej wody, położył je obok siebie i skonstruował z tego znów organizm, bo nie nadawały się do jedzenia. W mięsie widać było pierwsze zgnie włókna, potwornie śmierdziało. Ponieważ H. mieszkał kiedyś na wsi, potrafił bez trudu określić poszczególne kawałki mięsa: ten, to śmierdzące resztki wymienia, to nieoczyszczona reszтка żołądka, tutaj kawałek zrogowaciałej skóry, chyba ze świńskich nóg. Prawdopodobnie zbierają wszystkie odpadki dla więzień, pomyślał H., bo dzienna stawka żywniowa wynosiła, jak dowiedział się później, 2,65 DM. Owczarek niemiecki zjada dziennie, według danych statystycznych, pół funta mięsa, a przy najtańszej nawet wieprzowicie zawsze to... kalorie. A więc więziony obywatel N... Republiki D... jest dużo mniej wart niż niemiecki demokratyczny owczarek, bo te wyglądają na nieźle odżywione, kiedy stoją koło wartowników przy drzwiach podczas spaceru dysząc i wyciągając łby w stronę więźniów, tak trzymane



na smyczy, że ich mokre, zimne mordy dosięgają ubrań więźniów, gdy ci w pruskim szyku więziennym - ręce z tyłu, głowa uniesiona, krótkie, szybkie kroki - przebiegają przez korytarz, kłapiąc przy tym drewnianymi chodakami, aż dudni w całym budynku, obudzonym jakby ze śmiertelnego odrętwienia. Po południu, właściwie pod wieczór, pośpieszne kroki strażników, uderzenia kluczami w drzwi i krzyki: podnieść się ze stołków, stanąć twarzą do ściany. Oznacza to: pod okno, odsunąć się od drzwi.

Z pewnością prowadzą znów jakiegoś ważnego więźnia, którego głosu nikt nie powinien rozpoznać, bo nowi, dopiero co przywiezieni, często rozmawiają ze strażnikami na korytarzu, ale od razu słyszą wrzask: stul pysk.

H. podszukiwał pod drzwiami. To były bardzo drobne, szybkie kroki, miękkie, zmęczony głos... to musi być kobieta, myślał H. podenerwowany. Kobieta, kobieta, kobieta, kobieta, kobieta tutaj... Gdzieś w budynku, daleko trzasnęły drzwi celi. Potem znów komendy pod drzwiami i uderzenia kluczy: z powrotem. Z powrotem do czego... do myśli o kobiecie. H. dał znak do sąsiedniej celi w alfabecie więziennym, dla każdej litery alfabetu odpowiednie stuknięcie, to był stary zwyczaj i szybko, w ciągu kilku dni można go poznać, bo H. nauczył się odgadywać słowa i odstukiwać je, wyrazy, całe zdania. Stukał: kobieta, gdzie? Nadeszła podniecona odpowiedź: dowiaduję się. Poprzez ściany cel pędziło pytanie: kobieta, gdzie, gdzie, gdzie... Odpowiedź przysła szybko.

Drugie piętro, celi 343. Ostatni z piętra zastukał w sufit i wiadomość biegła dalej od celi do celi.

Witaliśmy ją. Ale nie można było do niej dotrzeć. Strażnicy zostawili jedną wolną celę między nią a następnym więźniem. Ale mieliśmy kobietę w domu. Była jedną z nas. Tutaj. Młoda, na pewno ładna, wyobrażenia piętrzyły się. Na twarzy H. widać było radość. A więc kobieta, o której mogli myśleć, on i wszyscy. Niedaleko jedna, która tak jak oni, jak mężczyźni, miała odwagę protestować, zadać, rościć sobie prawo do własnego życia i własnego zdania. A więc to się zdarzało. Niepojęte. Noc była dla H. niespokojna. Żadne czyste seksualne podniecenie, nie, chociaż także, tak, trochę, ale myśli wybiegały dalej, daleko ponad to.

Marzenia o rodzinie, o dzieciach, o spacerach, o czułości, o tym, żeby tutaj, tutaj w kraju, tutaj, być bezpiecznym, móc być bezpiecznym z drugim człowiekiem. Więc można, można, w najpiękniejszym, najczystym drutem kolczastym ogrodzie socjalizmu znaleźć kobietę, której można zawierzyć swoje wiersze, swoje marzenia o wszystkim, o wszystkim, o wszystkim, bez obawy, że doniesie, jak jego własny brat, który zagroził policją, jak ciotka Zofia - w swojej urażonej państwowej godności, bo: w końcu ja brałam udział w odbudowie tego państwa, jeszcze jako kobieta do sprzątanía gruzów i teraz nie pozwolę na znieważanie naszego państwa, mojego państwa, tego pierwszego państwa robotników i chłopów na niemieckiej ziemi... Tak, może mógłbym opowiedzieć jej o malarzach L. i P., ich obrazów nie zna nikt, może mógłbym, może, zabrać ją do pastora A. na cały, piękny, długi wieczór.

I zasłoniliby okna, nastawiliby głośno radio i weszli do pokoju obok, do gabinetu pastora A., który otworzyłby swoją szafę z "truczizną", swoją ukrytą za podwójną ścianą biblioteką. Kiedy pastor A. robił remont, zbudował drugą ścianę, wbudował regały, wyposażył

je w zagawki schowane za wydanymi oficjalnie książkami, znane tylko w tajemniczym i po wyjęciu literatury dozwolonej widzieliśmy książki zabronione, oplute, zbeszczeszczone, oskarżone o zdradę: mowy Alberta Camusa po otrzymaniu nagrody Nobla, "Skórę" Curzio Malapartego, "ajne przemówienie Chruszczowa na XX zjeździe w wydaniu kieszonkowym dtv, "Clowna" Bölla, "Dradra" Biermanna i Ernsta Fischera, i Koestlera, i "Rewolucja zwalnia swoje dzieci" Wolfganga Leonhardta, i... i... i... przez całe życie, pastor A. miał 54 lata, zbierane i chronione jak żrenica oka i znane tylko nielicznym.

To był skarbiec miasta.

Tu gromadzone były cytaty do odpowiedzi na zebraniach, do informacji podczas imprez, które przekazywano w formie pytań, przeformułowywano, odpowiednio kaleczono przez skróty, bo przecież nigdy nie można było być dobrze poinformowanym, nie wolno było wiedzieć dokładnie, odsyłało się je do własnych nadziei, czasem śmiało odwracało, bo ktoś by je znał. I kiedy mówca, znany pisarz, cały w odznaczeniach, nawiązał do tego, protestował, pytało się o źródło jego informacji, a publiczność zaczynała nasłuchiwać, mówca czerwił się, czasami.

Bo skąd właściwie ludowy pisarz miałby mieć informacje nieznanne ludowi, wiedzę i znajomość rzeczy, wydarzeń, które włączały do dyskusji z tymi, dla których był pisarzem, dla których był szansą prawdy artystycznej.

Tak, o tym wszystkim marzył H. w tę krótką noc, i w niektóre następne na swoim sienniku centymetrowej grubości, pod spodem deski, pod tym podłoga z cementu, a pod podłogą inne cele, cele z rzeznięmi o jedynej, nieznannej, wtajemniczonej, wspaniałej kobiecie z celi 348. Teraz, tu, dziś, jutro obecnej, tak jak oni i nieosiągalnej, niewidocznej, ale wyczuwanej każdym porem skóry.

I ona napełniała więźniów nadzieją, głośniejszemu rozmawiali, tak że strażnicy coraz częściej uderzali kluczymi w drzwi cel nakazując spokój i grożąc karą. Ci czasu do czasu słysząc było śmiech, tłumiony, krótki, ale śmiech i H. wydawało się, że znowu wierzy, że ten czas, ta jego cela, jego czas spędzony w więzieniu, jego tygodnie, miesiące i lata mają sens. Nie wiedział jaki, bo cóż mogło przetrwać jako myśli po codziennych przesłuchaniach, strzępy wspomnień, ale H. zdawało się, że znów może naprawdę oddychać, znów mieć nadzieję, jak przędtem zanim przyszli, rano, o szóstej, szarzy słudzy państwa, szczęściu męczyczyn, uzbrojonych przeciwko niemu i jego wierszom... i czasami na twarzy H. pojawiał się uśmiech, kiedy myślał o ich krokach za drzwiami celi.

## PROKURATOR

Przesłuchanie trwało tylko pół godziny.

Zaczął się spokojnie, wcześniej rano.

Z korytarza, który ciągnął się wzdłuż cel na każdym piętrze, wyłożonego stalową blachą, tak że każdy krok powodował istny grzmot, docierały kroki strażnika, zatrzymały się przed celą H.

Dziwne, myślał H., rozpoznaję ich już po chodzie, jakbym był w domu.

To był strażnik Z.

Uderzył pękiem kluczy w drzwi, krzyknął: przygotować się do prze-

słuchania, obrócił dwa razy żeliwny klucz w zamku i już stał w drzwiach celi.

W tył zwrot.

H. stał zgodnie z przepisami, ręce do tyłu, twarzą do okna.

Odwrócił się.

Idziemy, powiedział Z., przesłuchanie, szybciej, szybciej. Spojrzał niecierpliwie na zegarek. H. szedł korytarzem, ręce nadal z tyłu, za nim strażnik Z. Strażnik otworzył drewniane drzwi, także te były zamknięte, tędy, w lewo, schodami w dół.

H. potknął się, złapał równowagę, zaklął, znowu założył ręce do tyłu. Spokojnie, powiedział Z., na zdenerwowanie jeszcze za wcześnie. Zatrzymał się przed pokojem 23, zapukał, otworzył drzwi, gdy usłyszał odpowiedź, przepuścił H. przodem, złożył meldunek, odwrócił się i wyszedł, drzwi zatrzasnęły się.

A więc to pan H.; jestem prokuratorem.

Chodzi o akt oskarżenia. Chciałbym jeszcze przedtem z panem porozmawiać.

O czym, spytał H.?

O panu, o pańskiej działalności. W mieście pojawiły się ulotki z pańskimi wierszami i tekstami. Podniósł głos. Pan coś przed nami zataił, bo skoro pan jest w więzieniu, musiał je rozrzucić ktoś, kogo pan zna.

A więc, komu dawał pan swoje teksty? Komu, kiedy, ile, gdzie, dlaczego, nazwiska, adresy! Niech pan odpowiada na moje pytania szczegółowo, pańska sytuacja jest nienajlepsza. Akt oskarżenia mówi o zdradzie, sianiu niepokoju publicznego, zagrożeniu bezpieczeństwa państwa. Mam panu wyjawić wysokość kary...? Nie mniej niż dziesięć lat. Więc proszę mówić, dzisiaj mam jeszcze dużo roboty.

H. patrzył na prokuratora. Miał około sześćdziesiątki, jego twarz przecięta dwiema bliznami, ciągnącymi się od lewej strony przez usta na prawa. Niektóre głoski artykułował z wysiłkiem, często drgały mu mięśnie twarzy, niespokojnie, nerwowo. Za prokuratorem było okno, także tu zakratowane. H. zobaczył fragment ulicy, przechodzące dzieci, jadący samochód. To musiało być pierwsze piętro, bo widział z góry mur, naszpikowany potłuczonym szkłem, zarzewiałymi gwoździami i drutem kolczastym.

Drut kolczasty za drutami.

Czy kiedyś się od tego uwolnię? Drut kolczasty, kiedy je, kiedy się zakatwia, kiedy patrzy na ulicę, kiedy przypomina sobie własne wiersze, drut kolczasty w każdej myśli.

Drut kolczasty, jak mógłby całe lata, całe życie spędzić w kraju drutów kolczastych, jak oddychać, kochać, jak psiakrew...

Ale głos prokuratora: H., pan zeznał, prokurator kartkował w aktach, pan zeznał, że spotkał pan panią E. dnia... w... Dlaczego? Odczep się od kobiety, myślał H. Ona ma dziecko i wystarczająco dużo innych kłopotów.

Ale chyba się nie uda, bo Bóg i państwo nierychliwi...

Pan przecież wie chyba wszystko, spytał H. ironicznie, a więc po co te pytania...?

Parę miesięcy temu H. spędził z panią B. kilka tygodni. Była dla niego gorzkim przeżyciem, bo gdy kiedyś szukał w jej listach i papierach adresu jednego ze znajomych, znalazł notatki o sobie, krótkie zapiski rozmów, nazwiska przyjaciół, wspólnych znajomych.

Odszedł tego samego dnia, odszedł natychmiast, bo pracowała dla nich, dla firmy.

Pańskie oskarżenia, panie H., prokurator podniósł głos, wypraszam sobie. Pani B. spełniła tylko swój obowiązek. Ona wiedziała to, czego pan nie ma, sumienie oddane naszemu państwu.

H. zaśmiał się głośno, z szyderstwem, zadziwiający sumienie, co miesiąc 75 DM na konto... Dobre sobie...

Prokurator mówił dalej...

Grzebiąc w aktach, pan musiał ją spotkać jeszcze raz po rozstaniu, o proszę... podsunął H. jakiś świstek, to był wycinek z gazety. Do tego dochodzi jeszcze zniechęcanie do współpracy z nami... dodał.

H. czytał, że pani B. za próbę ucieczki z kraju została skazana przez sąd rejonowy na rok z zawieszeniem.

Parsa, powiedział głośno H., żeby była następnym razem lepszą przynętą. O co chodzi, powiedział H., pańskie prawo nie jest moim prawem, ale Bogu dzięki są tacy jeszcze, którzy je łamią, żeby móc samemu sobie spojrzeć w oczy...

Twarz prokuratora nabrzmiała, zrobiła się czerwona..., a pańskie metody, powiedział jeszcze H., żeby trzymać mnie siedem i pół miesiąca bez aktu oskarżenia, gwałcą podstawowe prawa człowieka, nie mówiąc o pańskim: "prawie pro forma", o pańskich paragrafach z gumi. Niech mi pan tu nie opowiada o prokuratorze generalnym, który niby to po złożonym wniosku areszt śledczy przedłuża, który musi rzekomo udzielić na to zgody, jak to się pięknie nazywa, przecież to wszystko robi pan i nikt inny, panie prokuratorze i to jest pańska metoda rozmiękczenia, ja...

Milczeń, krzyknął prokurator, zerwał się, twarz i ręce mu drżały, stracił panowanie nad sobą, krzyczał wymachując rękami. Co, co, wie pan co my z pana zrobimy, my wydusimy z pana wszystko, aż pana szlag trafi, jeszcze pan będzie wył a kiedy pan przestanie, wtedy weźmiemy lekarza, który wyda zaświadczenie, że jest pan chory i że musi pan być odwieziony do kliniki, niebezpieczny dla otoczenia, psychopata, kwalifikujący się do szpitala dla nerwowo chorych, bo tam, H., prokurator znowu grzebał w aktach, wyrzucił trzy, cztery kartki z rękopisami H. na stół, tam jest pana miejsce po tej bazgraninie, tych wierszach przeciwko naszemu państwu, tym bezczeszczeniu naszego państwa robotników i chłopów. Co, co pan myśli, a to za co, tu pokazał na swoją poznaną bliznami twarz.

To z Buchenwaldu. Myśli pan, że pozwolimy panu zniszczyć nasze państwo, że będzie się pan mieszał do naszej polityki, do naszych gazet, myśli pan, że pozwolimy panu dyskutować na ulicach, placach, na zebraniach.

Nie, H., nie, prokurator wrzeszczał dalej, dla pana, dla pana, schwylił rękopisy, wtedy, gdy byłem w Buchenwaldzie, dla takich jak pan, była kara śmierci, za to był stryżek, przy podobnych materiałach rozprawiano się krótko.

H. zbladł, czuł, jak krew odpływa mu z głowy. Tego chciałby pan teraz, krzyknął H. Za te kilka wierszy, za te małe, zasrane prawdy o tym całym gnoju, o wypadkach... pod murem, w więzieniach, o wydarzeniach w rządzie...

H. spojrzął w okno. Jakaś kobieta szła na spacer z dzieckiem. Przejechał samochód, w środku kobieta i mężczyzna, rozmawiali. H.

widział ich jakby przez mgłę. Za zakratowanymi oknami był spokój, spokój z drutu kolczastego, co prawda, ale spokój. Chciałby mieć chociaż trochę, troszeczkę spokoju, teraz, natychmiast, wreszcie.

Głos prokuratora załamał się. Niech pan pamięta o tym, zapiał, że wtedy dla takich jak pan była kara śmierci, kara śmierci, krzyczał, jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej, - s trudem łapał powietrze...

Oczy zaczęły wyłazić mu na wierzch, lewą ręką szukał guzika, nacisnął, drzwi otworzyły się gwałtownie, strażnik Z. wpadł do środka, spojrzał na prokuratora, na H., złapał H. za ramię chcąc go wyciągnąć z pokoju...

Wyprowadzić, krzyczał prokurator, z panem, H., nie będę rozmawiał. Wyprowadzić. Dla pana liczy się tylko akt oskarżenia, wtedy za takie rzeczy była kara śmierci, krzyczał... Strażnik Z. schwycił H. mocno za rękę i wyciągnął go z pokoju, krzyczał także, szybko, szybciej, tracać do celi, szybciej, szybciej.

H. obejrzał się.

Prokurator W. stał za biurkiem, prawa ręka podniesiona, strzępy słów brzmiały jeszcze w głowie H. ... kara śmierci... zniszczyć... nasze państwo... ja... wtedy... była kara śmierci... tacy...

Drogę powrotną do celi przebył H. jak w transie. Ciągłe widział wyciągniętą rękę, swoje wiersze, strażnika, słyszał głosy... kara śmierci...

Heil Hitler, powiedział głośno i też podniósł rękę. Poczuł mocny chwyt strażnika i pchnięcie.

H. znalazł się w celi...

No, człowieku, obudź się, oprzytomnij... no już, usłyszał H. czuł, że leży na mokrej podłodze w celi, woda lała się na niego z wiadra, jak przez mgłę widział strażnika Z.

Próbował wstać, osunął się na ziemię, mokry, drżący, słyszał słowa strażnika: no, już w porządku i lepiej się zastanowić, jak takie zachowanie może się odbić na wyroku.

Ubranie kleiło mu się do ciała. No, wstawać, powtórzył strażnik Z. Dostyc tego, co, myśli pan, że mamy tu tylko robotę z panem, musimy zająć się także innymi.

Drzwi zatrzasnęły się, klucz obrócił się dwa razy.

H., mokry, zmarznięty, padł na prycę. Przed oczami majaczył mu rząd kresek.

Liczył z trudem.

To był 254 dzień od chwili aresztowania.

## OBROŃCA

Śledztwo było zakończone.

Protokoły oddano, aresztowanemu nie zarzucano nic ponad to, że zagraża bezpieczeństwu państwa i wywołuje niepokój publiczny, jak to określają paragrafy 19 i 20 kodeksu karnego. Po sześciu miesiącach aresztu dostał obrońcę. Ale prośbę nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, powiedział przesłuchujący go i poczęstował H. papierosem na zakończenie wielomiesięcznej wspólnej pracy... zbyt wielkich nadziei... zbyt wielkich nadziei... żadnych nadziei... żadnych... żadnych...

Zamek w drzwiach szczeka, ręce do tyłu, twarzą do ściany, baczność. W tył zwrot.

Człowieku, ręce do tyłu, albo pójdziesz do karceru...

Ręce znowu z tyłu... jak mogę zapomnieć o chwale Prus... jak o trosce państwa o ochronę swoich strażników przed atakami swoich więźniów...

Wychodź, widzenie!

Mam widzenie? Któż to może być? Matka? Nie, chora, siostra? Nie ma kłopoty rodzinne i zawodowe, do diabła, kto...? Brat, mój drogi pieprzony brat, mój wierny, drogi brat... "...nie mogłem pogodzić sprawy przechowywania wierszy brata z moim partyjnym sumieniem..."

...nie mogłem pogodzić krytyki z twoją wiernością i twoim sumieniem... żona, dzieci, praca - tak, wiem - też miałem żonę, dziecko, wprawdzie bez zaświadczenia z USC, ale także miałem i chętnie miałbym ich jeszcze przez kilka lat, ale twoje sumienie, drogi, dobry, pieprzony bracie...

Z czym można pogodzić krytykę, z czym, dobry pieprzony bracie, z czym...? Powiedz bracie, z czym...?

Wejść do środka i czekać.

H. czeka, potem otwierają się drzwi /tak, drzwi, nie takie jak w cell, lecz normalne drzwi z kłamką, pomalowane i dźwiękoszczelne, szczelne przeciwko czemu... właściwie, tutaj, gdzie żadne przekleństwo, żadne złewnięcie nie wymknie się z protokołu/.

Dzień dobry - jak się pan nazywa?

Moje nazwisko Bauer, jestem pańskim obrońcą.

Mocne nerwy ma ten obrońca, moje nazwisko... powinien je chyba znać, jeśli już nie treść uprzejmego zawiadomienia o zakończeniu aresztu śledczego, to przynajmniej nazwisko.

Tak więc jestem pańskim obrońcą, co ma pan do powiedzenia na temat swojego procesu? Na temat aresztowania?

Wie pan, dlaczego tu jestem, pyta H.

Tak, odpowiada tamten.

Jedno pytanie..., panie... przepraszam, jak pańskie nazwisko, ach Bauer..., więc panie Bauer... czy jest pan członkiem partii, SED? A co to ma wspólnego z pańskim procesem? Tak, jestem członkiem!

To niech pan mi powie, jak w takim razie może pan podjąć się mojej obrony, bo jeśli zapoznał się pan z aktami, to musi pan reprezentować mnie, a nie NRD, mnie, pańskiego klienta, mnie, pan powinien bronić moich praw wobec państwa. Czy pan to potrafi, panie Bauer? Niech pan się zastanowi nad dowodami, myślę o moich tekstach, można je sprawdzić, mówią same za siebie. Niech pan pomyśli o tajnym przemówieniu Chruszczowa przed XX zjazdem, które częściowo cytuję.

Milczenie.

Może ze trzy sekundy, ze trzy minuty, obrońca patrzy na H., nagle zrywa się, krzyczy, krzyczy, krzyczy - dobrze, że pana wsadzili, pana trzeba jeszcze wychować, pana trzeba izolować. Pośpiesznie zsuwa swoje skromne notatki, wpycha do teczki, otwiera gwałtownie drzwi, znika bez pożegnania...

H. siedzi i śmieje się, śmieje, śmieje z tych, którzy gdzieś tam siedzą za ścianą i podsłuchują.

Trzy dni spokoju.

Nic.





kodeksu karnego oraz orzeczenia przedłożonego przez profesora doktora L.

Sąd po naradzie proponuje zastosować paragraf 51/II kodeksu karnego.

Ostrzegam oskarżonego, jeżeli będzie, szczególnie w trakcie odbywania kary, nadal siał niepokój publiczny, prawo Niemieckiej Republiki Demokratycznej dosięgnie go z całą surowością...

Przepraszam, co to znaczy...

Niech oskarżony nie przerywa, może pan mówić tylko wtedy, gdy sąd udzieli panu głosu.

... i musi się pan także liczyć z wieloletnim pobytom w klinice psychiatrycznej, bo pana zachowanie jest dla naszego społeczeństwa niezdrowe, zdecydowanie niezdrowe. Nasze społeczeństwo jest zdrowe i dlatego może zrezygnować z takich obywateli jak pan. Serce naszego społeczeństwa, robotnicy i chłopcy nie chcą słyszeć o pana pismach. Nasz naród odrzuci pana, jeśli nie podporządkuje się pan prawu.

Co oskarżony chce powiedzieć w swoim ostatnim słowie.

Panie przewodniczący, protestuję przeciwko temu wyrokowi.

Komu zostały przedłożone moje wiersze, gdzie o nich dyskutowano, kto oceniał ich wymowę historyczną i polityczną?

Żądam przedstawienia mi odpowiednich podpisów, listów, pism urzędowych, ekspertyz.

Odbieram oskarżonemu prawo głosu.

Panie przewodniczący...

Zamknij się, ty zdrajco.

Wyprowadzić!

#### Z ROZPRAWY

Sędzia: Oskarżony zdaje sobie sprawę, że za Hitlera dostałby karę śmierci za takie paszkwile.

Prokurator: Tak, karę śmierci, a proces byłby krótki...

Oskarżony: Nie ma takiej wielkiej różnicy, panie prokuratorze, panie przewodniczący, krzyki, nietolerancyjne prowadzenie przewodu, zarzuty zamiast dowodów...

Przewodniczący, prokurator zaczynają krzyczeć jednocześnie, wpadając sobie w słowo: Jak można porównywać nasze społeczeństwo z faszyzmem.

Prokurator: Siedziałem w obozie koncentracyjnym. Powinien pan się cieszyć, że nie ma u nas kary śmierci za takie przestępstwa...

Oskarżony: Panie przewodniczący...

Sędzia: Milczeć, milczeć, ty zdrajco.

Wyprowadzić.

... nie ma kary śmierci... nie ma kary śmierci... kary śmierci... kary śmierci...

#### Z ARESZTU ŚLEDZECZEGO DO WIĘZIENIA

... rano, wcześniej niż zwykle, brzęk kluczy, opryskliwy głos strażnika: nie grzebać się, transport. Więzień-pomocnik stoi za nim. Trzy kromki gliniastego chleba, grube, posmarowane margaryną, pomiędzy nimi jeden plasterzek kiszki, cienki, zzieleniały. Racja więzienna. Na cały dzień. Do tego jeszcze trochę kawy, zbo-

żowej, śmierzdzącej sodą, ale ciepłej. Dla pokrzepienia żołądka, Wychodzić.

/.../

Nazwisko? Za co skazany? Paragraf?

Na podwórzu czekała więźniarka. Wejść. W środku sześć kabin. Ciaśno, strasznie ciasno... gdyby doszło do wypadku, zabrakłoby czasu, żeby nas stąd wyciągnąć...

A potem wyjazd przez bramę na zewnątrz.

Na zewnątrz.

Na zewnątrz, wśród ludzi, na dobrze znanych ulicach.

Drzewa, zielone drzewa, dziwne, drzewa są zielone, wspaniale zielone latem.

Bujna zieleni.

Przepiękne lato.

Słońce, odpryski słońca przez zakratowane szyby.

Ale wszystko pocięte kratami. Drzewa, hałas, słowa, dzieci.

Jak to powietrze pachnie. Lipą i żarnowcem, w środku miasta.

Lipą i żarnowcem. Ale jazda nie trwa długo. Przewożą go tylko do innego więzienia w tym samym mieście.

Więźniarka zatrzymuje się.

Otwieranie kabin.

Oszołomiony wychodzę, muszą mnie podtrzymać. Nogi i ręce zesztynniały w ciasnocie, skurcz. Przy każdej próbie ucieczki strzela się bez ostrzeżenia, mówi jakiś mundur, bez ostrzeżenia, jasne? Tak. Kajdanki... wstydę się... nieogolony, śmierzdzący, po miesiącach w celach i piwnicach... Wzrok przypadkowych przechodniów, którzy pośpiesznie nas mijają...

Powoli zsuwam ręcznik, potem koszulę na kajdanki...

Sztwywny, zdrętwiały, dziwnie zdrętwiały, między dwoma mundurami przez korytarz, schody, posterunek. Pytania, odpowiedzi.

Schody, schody, potem cele...

/.../

Pomiędzy nimi mundury i wołania, głośne, odbijające się echem.

Zdejmują kajdanki, ręce bołą.

Znowu badanie.

Uszy, włosy, stopy, palce, usta. Podnieść jądra, odciągnąć napletek, rozsunąć poślądki, szerzej...

W porządku. Wyprowadzić.

Znowu w domu.

Stara, dobra cela, tylko dla mnie.

Jakie więc było to lato tego roku.

Lipa i żarnowiec, pocięta kratami zieleni w środku miasta.

I twarze, słowa, pocięta kratami i obcość.

I dzieci... rozkrzyczane, nieświadome, rozbawione.

Co za lato w tym roku... i zaczynam wędrówkę. Do dędogrodów i lasów, na ulice, za horyzonty wspomnień...

To lato. Uśmiecham się. Pierwszy dzień w więzieniu...

I znów zaczynają się marzenia o życiu.

## PIERWSZY DZIEŃ

Wchodzisz do więzienia, a ona stoi za drugą, właściwą bramą, na prawo od ciebie.

Lipa z Waldheim.

Nie wiem, kto ją zasadził i co zachowało ją od zniszczenia przez lata, dziesiątki lat.

To więzienie było kiedyś zamkiem. Zameczkiem myśliwskim - szczekanie psów, gorączka polowań, zapach koni - potem k'asztorem żeńskim, przytułiem dla ubogich.

Stare wizerunki świętych, wykute w kamieniu, przypominają o tym. Służą za podporękę w ubikacji, wielkie, ziejące kałem dziury, na każdym z czterech pięter dwie obok siebie. Może się zdarzyć, że załatwiasz swoją potrzebę na którymś z czterech pięter, obok ciebie inny więzień, a święty Franciszek albo Maria patrzą na ciebie. W kamieniu tylko, trochę deskrobani i przykryci patyną minionych lat, ale kto ich zauważy, w szarym dniu więziennym, kiedy się załatwia. Tak, a tam rośnie ona. Lipa. Wielka, stara, rozłożyste gałęzie, opiekuńcze, wyciągnięte, nie sięgają jednak dalej niż na odległość trzech, czterech metrów. Stara, sękata, wiele korzeni odcięto, przeszkadzały w codziennym spacerze więźniów. Nadgnili piei.

Obok kościoła. Wita cię przy przekraczaniu bramy więzienia, pocieszająco wyczekująco. Nie każdy z tych obok ciebie umie się modlić, albo szanuje modlitwę. Ale kościół koło wieży wartowniczej, muru i krat, z dachem łagodnie wznoszącym się w stronę więzienia, jego dzwonnica, od dawna osierocona, teraz gnieźdzą się tam sowy, ale tego dowiesz się później, łagodni nieco surowość rozkazów, nocy, pracy w pierwszych dniach.

Teraz wyczekujesz na nabożeństwo, pytasz o to sąsiadów przy stole, milczenie w odpowiedzi...

Następnego dnia rano, koło ósmej, do przebieralni. Dostajesz szczególnie ubranie na następne lata, pasiaste spodnie, kurtka i czapka żółte, rzucające się w oczy, łatwe do wykrycia ze wszystkich wież wartowniczych.

Strażnik zabiera cię wraz z innymi więźniami, nowo przybyłymi, jak ty. Idziemy, dziwisz się, do kościoła. Szczęk klucza w zamku, raz, drugi, potem wchodzisz... dalej, dalej, głośna komenda, w kościele.

Jakiś ptak, sowa, trzepocze się wystraszona pod sklepieniem. Na ścianach wizerunki świętych, zakurzone, pobrywane.

Obraz przedstawiający chór. Śpiew z martwych gardeł, w martwym wnętrzu.

Strażnik idzie przodem.

Szybciej iść, szybciej...

To jest kościół.

Tam jest ołtarz. Na zewnątrz czekają psy, słychać rozkazy.

Waldheim, pałacyk myśliwski - szczekanie psów, gorączka polowań, zapach ludzi...

Pytam strażnika, czy odbywają się tu nabożeństwa...

Tutaj? Moje zdziwienie dało się zauważyć.

Tutaj, powiedział i uśmiechnął się drwiąco, modlą się umarli... ale szybciej, szybciej...

Tutaj, mówię do innych, do siebie, do nikogo, wychodzimy z kościoła, pod ławkami ucieka szczur, tutaj, my będziemy się modlić, idąc, trzydzieści osiem kroków.

Ktoś je policzył.

## DC KOŚCIOŁA

W niedzielę, raz na dwa tygodnie, do kościoła. Strażnik głośno wywołuje nazwiska. Tylko ten, kto jest zapisany wcześniej, tydzień wcześniej, może iść.

H. melduje się, dołącza do innych.

Klucze obracają się raz, drugi, troje drzwi.

Kościół obok lipy. Stary, szary, ledwie stoi. Wokół stada wróbli.

Trochę słońca przebija się przez jesienne chmury, deszcz.

Idą w milczeniu, ośmiu mężczyzn. Z innych grup dochodzi jeszcze pięciu, ze strażnikiem R.

R. przekazuje ich A. Idą dalej. Strażnik A. otwiera drzwi.

Trzynastu mężczyzn wchodzi do ławek.

Z przodu po prawej, obok ołtarza jest małe pomieszczenie. Tam siedzi strażnik A. Sięga do kieszeni, kładzie przed sobą na stole papier, ołówek.

Pastor wychodzi z zakrystii.

Sutanna, białe wypustki, odświętne.

Błogosławi wszystkich, zaczyna kazanie, czyta z Biblii. Wygnanie. Zaczyna się, spostrzegając przypadkiem, że trzej zajęci są już handlem.

Tytoń za słońcą, słońca za przemyconą książkę.

Czyta dalej.

Czterech modli się. Ojciec nasz... któryś jest... odpuść... amen...

dociera do uszu H., ciche, stłumione, poważne.

H. widzi, że strażnik notuje, z zapalem. Ołówek, H. widzi to, nie opuszcza nawet znaków przestankowych. Ma wprawę.

H. trzyma w dłoni karteczkę.

Pastor kończy nabożeństwo ostatnim amen. Głośne echo odbija się od sklepienia, ścian, pokrytych pajęczyną, starych ławek.

H. wstaje, podchodzi do pastora, do pulpitu. Szepcze: proszę, proszę posiąć to dalej, moja matka jest ciężko chora, stara, proszę... mam jeszcze dwa lata, nie wiem...

Pastor bierze zwitek z w pół otwartej dłoni H. chowa w fałdach sutanny. H. bąka "dziękuję", odwraca się, porusza ustami, jakby szeptał jeszcze ostatnie słowa modlitwy, dołącza do innych.

Z powrotem do celi. Drzwi, klucze, znowu zatrzasujące się drzwi. Milczenie znów rozdzielanych więźniów. Komendy. Następnego dnia H. zostaje wezwany do oficera oddziałowego.

H., mówi porucznik Bresek, wysoki, barczysty, medale, sześć, za zasługi, mamy kłopoty z panem. Pańskie zapędy konspiracyjne, dostanie pan za to trzy dni karceru. Żąda pan od pastora pogwałcenia panującego tu porządku. Powinien pan wiedzieć, że tego nie tolerujemy. A ten pański świstek idzie do akt.

Dziurkuje karteczkę, wpina do teczki.

Pastor W., mówi dalej, oddał to strażnikowi A., jest przecież w końcu także posłem do naszego parlamentu. Czyżby pan sądził, że nie przejrzymy pańskiej prowokacji?

Zamelduje się pan u strażnika A., do karceru.

Tak jest, panie poruczniku.

Trzy dni ścisłego. Po nocach w zimnie, bez żadnego okrycia, dzień - nie kromka chleba i kubek kawy zbożowej, H. dowiaduje się, że siostra przysłała telegram. Matka zmarła. Pograżona w żałobie Inga. H. znowu idzie do kościoła. A więc jednak... mówi do siebie po

drodze, więc jednak Judasz.

Pluje pastorowi w twarz.

Zabierają go, znowu karcer, dziesięć dni, w celi bez okien.

## KSIAŻKA

... szybciej, szybciej, ruszać się, w nocy to onanizujecie się, że aż krew wam cieknie, a rano jesteście do niczego. No, ruszać się, jak który dziś nie wyrobi normy, nici z następnego widzenia. Mam was dosyć, lenie parszywe. Pracować uczciwie. I niech ja dziś któregoś w kiblu zobaczę, kto chce zapalić, meldować, dostanie pięć minut...

Głos brygadzysty wyrwał H. ze snu.

Znowu ten sam miyn, rano o piątej zabrać kubeł z odchodami z ostatniej nocy, wyjść przed celę, na komendę: wynieść gówna, marsz. Kroki więźniów ze wszystkich cel rozlegają się echem po wyłożonych stalową blachą korytarzach.

Kubeł trzeba schwycić umiejętnie za ucho i spód, podnieść, odwrócić, wylać. Kto robi to pierwszy raz, może być pewien kpin innych, bo trzeba praktyki, żeby gówna i mocz trafiły do wielkiej, przeznaczanej na to dziury i żeby nie wypaprać sobie przy tym ręk.

Z H. było tak samo - śmiech, kiedy miał całą rękę w fekaliach, a nie mógł wypuścić kubła, bo wywołałoby to wściekłość strażnika. Tylko spokojnie, rękę błyskawicznie pod kran, ale śmierdziała mimo to, z powrotem do celi, mycie, śniadanie, resztką przydziałowej marmolady, pod tym margaryna, cienko, potem do roboty. Apel. Baczność.

/.../

C. stojący obok H. wyglądał blado. Wczorajsza pasztetówka, powiedział z wysiłkiem, pies by nie żarł, ale nas mogą tym karmić.

Całą noc rygałem, myślałem, że wypluje żąłdek...

Głos strażnika... H., zameldować się u mnie.

Tak wcześnie rano, o co może tu chodzić...

Panie strażniku, więzień H. melduje się na wezwanie.

Strażnik miał przed sobą jakieś książki, kartkował.

Więzień H., przysłało panu kilka książek.

Paczka specjalna, za dobrą pracę, pomyślał H.

Zerknął na tytuły.

No tak, Tomasz Mann, dozwolone, ale powinien pan czytać raczej literaturę socjalistyczną, byłoby to z pożytkiem dla pana.

Panie strażniku, czytam: "Neues Deutschland", "Sonntag", "NDL".

Tak, tak, w porządku...

Ala tu... co to...?

Ma - la - par - te... sylabizował z trudem...

Mój Boże, jak to przepuścił, zgłoszę się na ochotnika do mycia kibla przez trzy dni...

A więc, po co panu to, dziwaczne rzeczy tu wypisują...

To powieść antywojenna, panie strażniku.

No tak, może pan to zabrać, nie mam ochoty słuchać skarg, zrozumiano, bo jak nie, to opróżnię szafkę.

Tak jest, panie strażniku.

Szybko pobierać, trzęsąc się z niepokoju, odmeldować się, do pracy, schować książki, pójść do A., opowiedzieć mu...



Tak, o to walczył przez osiem tygodni... nadgodziny, ścielenie łóżka według pruskiego wzoru, zamiatanie podwórza na ochotnika, wyrzucanie śmieci, opróżnianie kubków... ale teraz go ma... Mala-partę...

Ta tak ważna dla niego powieść, "Skóra",  
Następne dni, po pracy tylko... CZYTAĆ, CZYTAĆ, CZYTAĆ, bo inni czekają, wyglądają niecierpliwie spoza rozłożonych "ND", ile jeszcze do końca, bo po wszystkich osiągnięciach literatury socjalistycznej wreszcie książka niecenzurowana, bez skreśleń, bez oficjalnego rozpytywania się nad talentem pisarza, który prawidłowo ujął problem klasowy, a więc książka, prawdziwa, normalna książka, bez obowiązku kupowania przez biblioteki, bez sztabowej recenzji... książka bez odznaczeń państwowych, nagród i pochlebstw... kto może nojąc, co znaczy znowu moc odkrywać książkę, przeżywać każdą stronę, znowu, po tygodniach... miesiącach... Porażony zwycięstwem innych, porażony słowami, przerażony, bo kraty wrzynają się codziennie w lot ptaków i te myśli, gdy patrzy przez okno na daleki, coraz dalszy kraj za murami, to państwo zakratowanych okien, już na zawsze...

"W Neapolu szalała dżuma", H. przeczytał pierwsze zdanie. Dżuma szaleje w naszym kraju, tutaj, w tej części Niemiec, myślał przy tym.

Z tego więzienia weźmie kiedyś swój początek i wybuchnie jak w średniowieczu, opanowując w barbarzyńskim gniewie cały kraj, kraj już tak długo tłumionej ludzkiej nadziei na to, że każdy będzie miał prawo wypowiadać własne zdanie, pisać bez cenzury, bez skreśleń.

Tutaj wybuchnie, tu się zacznie, dżuma prawdy, bo tu jest ukryta w twardym drewnie taboretów, w brudnym drewnie stołów więziennych, w starym, odpadającym z murów tynku, czyha niewidoczna za kratami okien i czeka, czeka, by wstrząsnąć tym krajem i zaćić w końcu tę chorobę, to kłamstwo, że wokół nas panuje spokój, w jego trujących oparach zaczynają się już powoli dusić...

Dżuma jest we wszystkim. Może ukrywać się w każdym słowie, przez lata, przez dziesiątki lat, czytał H.

Ale ten kraj drutu kolczastego, tam, przed nim, tam, daleko, stawał się z wolna snem, niewiarygodnym snem, że kiedyś będzie można iść przez pola, kochać, i oddychać pod własnym niebem.

Mój Boże, myślał H., wstał i chwycił kurczowo za kraty w oknie, mój Boże, jeżeli w ogóle jesteś, a przecież jesteś, do diabła, jesteś - to spraw, żeby to się skończyło. Spraw, żeby się skończyło, błagam, spraw...

/.../

## SZCZUR

Oczywiście, że w więzieniu były szczury. Szczury do niego należą, tak jak drut kolczasty na murze i wieże wartownicze w nas i naszych snach. To były dorodne szczury, bo magazyn żywnościowy miał kiepskie zamknięcie a personel niewiele sobie robił z tego paskudztwa. Żaden z więźniów, którzy tam pracowali, nie korzystał z więziennego wiktu, wszyscy załatwiali sobie lepsze kąski z paczek za papierosy i bimber własnej roboty. A więc szczurom żyło się

całkiem nieźle z naszych zapasów i często, gdy dni były ciepłe, harcowały na podwórzu, a my podziwialiśmy ich wypasioną brzuchy. Pewnego dnia zezwolono A., żeby zastawił pułapkę na taką tłustą bestię. W jakiś sposób udało mu się przekonać strażnika, zwanego Psia Morda, że potrafi złapać tego najtłuszcieszego, który miał zwyczaj odwiedzać w nocy również pomieszczenia strażników, czyniąc tamci nie byli zachwyceni.

Tak, mury były stare, kilkusetletnie. Szczury miały więc dość czasu, żeby przekopać się przez mur i drewno i żyć razem z ludźmi, jakby były równorzędnymi partnerami, co prawda często przepędzane, ale zawsze obecne. A. złapał tego szczura. Widzieliśmy spoza krat, jak zaciągał pętlę, a szczur zdychał w drgawkach, wydając przy tym ohydny, przeciągły pisk. To był faktycznie wyjątkowo dobrze odżywny egzemplarz.

Potem widzieliśmy, jak A. ciągnął za sobą pułapkę na śmietnisko. Szczur leżał tam... ale niezbyt długo, bo B. wpadł na niezły pomysł.

B. pracował w kuchni dla strażników i personelu więziennego. Kiedyś był naprawdę szefem kuchni w jakimś interhotelu, aresztowali go za przestępstwa dewizowe. Diabli wiedzą, co go zagnało do NRD, wspominał coś o Legii Cudzoziemskiej, ale nikt nie wiedział tego dokładnie, każdy miał tutaj jakąś swoją historię...

B. był nałogowym palaczem, a mimo to jednym z niewielu więźniów, do których mieliśmy zaufanie. Wykorzystaliśmy okazję i daliśmy mu tego szczura, elegancko zapakowanego, wyłożyliśmy mu cały nasz plan i zapatrzyliśmy go w olbrzymią ilość papierosów, które udało nam się przemyć z zewnątrz przez jednego ze strażników. Czekaliśmy na wynik...

B. był prawdziwym mistrzem kuchni... później, po nagłych rewizjach w szafkach więźniów, szukano chyba trucizny, ale niczego nie udało się im znaleźć, mimo nocnych obław i kiedy lekarze z zewnątrz nie potrafili wyjaśnić przyczyny nagłego masowego zatrucia wśród strażników, opowiadał:

Sprawiłem go, podzieliłem jak należy, wyglądał jak mały królik, pokroiłem jego tłusty ogon i przyrządziłem z niego wspaniałą potrawę, dałem dużo cebuli, przyprawy nie żałowałem, żeby im stanęło w gardle, tym swiniom, bo każdy z nich miał na talerzu kawałek szczurzego ogona, zjedli, bo też było czym się delektować, w końcu jestem mistrzem kucharskim...

A potem wiadomo... żołądki nie były przyzwyczajone do szczurzych ogonów... Wszyscy rzygali, zieloni i bladzi, myślałem, że wykitują, miałem już porządne pietra... To był prawdziwy majstersztyk lekarze mogli tylko przypuszczać, że coś było nieświeże, a więc nie ja byłem winien, chociaż przez wasz pomysł straciłem taką funkcję...

Pocieszaliśmy go papierosami i doprowadziliśmy do tego, że ta historyjka dotarła jako kawał do samych strażników... ale oni niczego nie podejrzewali, te szczurojady z socjalistycznego więzienia.

## SEN O EGZEKUCJI

To był dzień, kiedy wykonali wyrok na C.

Kat wybrał miejsce pośrodku dziedzińca więziennego.

Widziałem przez okno, jak powoli budowano rusztowanie, wysokie, drewniane, w takiej scenerii mieli go stracić.

O piątej rano, tak zawsze tu bywało, miała odbyć się egzekucja.

Mówiło o tym całe więzienie. Nawet kryminalni byli tym wyraźnie przybici. Ostatnią noc spędził C. w celi śmierci, w jednym ze skrzydeł byłego pałacyku renesansowego, zamienionego później na ciężkie więzienie, przedtem był to pałacyk myśliwski, potem przytułek, potem klasztor. Egzekucja ta przywróciła mu jego dawną świetność.

Wszyscy mówili o tym, że całą ceremonię nadzorować będzie porucznik B.

Podocono na wyraźne życzenie C.

Następnego dnia rano stałem w milczeniu przy oknie. Kraty ciężki światło poranka na małe kwadraty i izolowały mnie boleśnie od tego, co działo się na zewnątrz, a jednocześnie układały wszystko w szereg wyraźnie oddzielonych od siebie zdarzeń, jakby to były kadry z filmu.

Rusztowanie było gotowe. Porucznik B. trzymał w ręce wyrok. Od-czytał go skazańcowi.

C. był ubrany jak wszyscy. Przeфарbowany żołnierski mundur, cienki, zgrzebny drelach.

C. trząsał się z zimna. Rozcierał zgrabiałe ręce.

Słyszałem głos porucznika B.:

... w imieniu narodu... za działalność opozycyjną wymierzona przeciw władzy państwowej, zdradę stanu, szkalowanie dobrego imienia Republiki, szerzenie oszczerstw pod adresem prezydenta, czynne zagrożenie jego bezpieczeństwa poprzez próby podburzania przeciwko niemu...

Nie skorzystano z prawa łaski.

Dwóch więźniów, C. wybrał ich sam, prowadziło go do rusztowania. Ustawili go przed workami z piaskiem.

Potem porucznik B. dał komendę katu.

Kat, był nim więzień S., rozwiązał ręce skazańcowi, zapytał czy chce, żeby mu zasłonili oczy, ale C. odmówił. Wtedy S. odciął nożyczkami kołnierz od kurtki więziennej C., tak żeby odsłonić szyję i dał znak temu, który trzymał karabin maszynowy. Tamten zakładał już taśmę. Naboi było jedenastcie, po jednym za każdy punkt oskarżenia. Karabin był gotowy do strzału i kat pociągnął za cyngiel.

Jedna seria ściał głowę C.

Kałużę krwi zakryto szmatami.

Głowa potoczyła się po słomie obok jego stóp.

Potem wsadzono go do trumny. Najzwyklejszej, zbitej w więzieniu z desek wziętych ze stolarni.

Miejsce, gdzie umarł, polewano wodą, żeby zmyć ślady krwi. W nocy widziałem, jak biegali tam szczury, musiały poczuć krew.

Następnego dnia wszyscy byli już nawróceni i prawomyślni. Byłem jedynym, który wciąż się opierał. Ale porucznik B. powiedział, że i ze mną sobie poradzą, wypiął przy tym dumnie pierś i wypielęgnowaną dłońią pogłaskał order, który nosił od czasu egzekucji.

/.../

## DOBRY DZIEŃ

... tak, to był zupełnie dobry dzień. A teraz tylko rozprostować nogi, ręce, przeciągnąć się porządnie, mimo że najpóźniej, za dziesięć minut zaczną marznąć stopy, plecy rozbolą od twardych desek, przykrytych centymetrową warstwą słomy, ubitej i zleżałej i mimo, że zaraz zaczną spadać na twarz pierwsze płatki śniegu.

I co z tego.

Wieczór. Cisza nocna. Jeden dzień mniej. Tylko jeden, ale zupełnie dobry dzień. Zza krat, z daleka słychać jakieś głosy.

To ci z miasta, pomyślał. Teraz będą chład, obmacywać kobiety. Jedwabne pończochy, nagie ciało... sam przerwał ciąg tych wyobrażeń, bo ręce już były zajęte jego własnymi genitaliami, jakby to było najnormalniejsze w świecie, poczuł gwałtowne pulsowanie krwi.

Cholerny gnój, pomyślał, cofnął ręce, przewrócił się na brzuch, odruchowo ściągając z twarzy pierwszy śnieg, wymamrotał jeszcze coś o dobrym dniu i zasnął, spał bez snów, bo i o czym tu snić.

Następny dzień zaczął się jak wszystkie. Nie wiedział nawet, jaki to dzień. Wstał, przemarznięty, wściekły, zmęczony, rozbity. Zatechłym mimo otwartego okna powietrzem nie dało się oddychać. Śmierdziało. Zwyczajnie śmierdziało, gównem, szczyzną, potem starych mężczyzn.

Od strony ubikacji słychać było dzikie wrzaski.

Jakiś pedał zanosił się płaczem. Odbili mu kochankę. Za trzy papierosy go zdradził, a następny przydział dopiero w przyszłym tygodniu. Jak więc miał go przekupić, czym. Cały tydzień wytrzymać bez słodkiej dupecki, doprowadzało go to do rozpacz.

Do akcji wkroczył grupowy. Znowu wrzask. Spokój.

Powłócząc nogami do umywalni, na dół, mycie w lodowatej wodzie, aż ręce bola i zęby, szybko wysikać się i z innymi do stołu, jakieś mrukliwe "dzień dobry", bezmyślnie siorbanie kawy śmierdzącej sodą. Mój boże, filiżankę gorącej kawy. Królestwo za filiżankę kawy, za filiżankę wspaniałej kawy, za filiżankę gorącej kawy o piątą rano, w najpiękniejszym więzieniu Niemiec.

H. moczył w kawie kromkę gliniastego chleba. Śniadanie: łyżka marmolady już dawno zjedzona, więc H. zapychał się chlebem i liczył dni do następnego przydziału w przyszłym tygodniu. Na każdy dzień wypadało po łyżeczce marmolady, przydział dostawali w niedzielę, po wszystko w kolejce, dają tylko tym, co przyjdą, kto się nie zgłosi, nic nie dostanie, miał pecha.

Tak, żyło się więc z dnia na dzień, o suchym chlebie i kawie.

Nagle w siorbanie i w zapach kawy wmieszał się ryk grupowego: trzech na ochotnika do sprzątnięcia placu. Nikt się nie zgłaszał.

Dla każdego liczył się tylko kubek w ręce i chleb na stole. Żeby tylko nie mnie, przy tej psiej pogodzie, niech sobie pedziów weźmie, wał jeden.

A., M., H. - wystap, zameldować się u strażnika, brać motyki, łopaty, miotły, wiadra, zamiatać liście, wygrażyć drogę... i do roboty...

Padło na mnie, jednak. A., M., H. powlekli się do wyjścia, zziębnięci obciągali kurtki, bo na dworze padało. Była jesień. Zameldowali się u strażnika, wzięli narzędzia, wszystko czekało już na nich.

Tylko by do roboty gonił, świnia parszywa, kłął M. po cichu. Stul

pysk, powiedział H. Wyszli na deszcz. Wiatr miotał liście po całym dziedzińcu. Strażnik opatulony w płaszcz z kapturem obserwował ich przez okno. Tak jak było mówione: wszystko posprzątać i żeby mi tu nie było ani jednej trawki, ani liścia, jak przyjdzie następna zmiana, i do roboty, ale już... Pocałuj mnie w d... powiedział H. Przestań, syknął A., ten jest jeszcze możliwy, inni to by nam zrobili gimnastykę poranną. Gimnastyka poranna, to była ulubiona rozrywka prawie wszystkich strażników. O w pół do szóstej rano trzeba było skakać na jednej nodze wokół tych paru usychających kwiatków, przechylając przy tym głowę raz na jedną, raz na drugą stronę.

Nazywało się to zabawą w kaczki.

"Żebyście widzieli, jacy z was durnie. Tyle lat siedzieć za kratkami, tylko dlatego, żeście gardłowali, że zachciało wam się pyskować na nasze państwo".

Wiele razy słyszeli to przy tej okazji. Tak więc ten dzień zaczął się tak samo, jak inne dni w więzieniu. Zwykły dzień w życiu zwykłego obywatela.

H. chodził po placu z wiaderem w ręce, gonił za każdym liściem podrywanym przez wiatr, za każdą trawką, dopóki zmarznięty, przemoczony, wyczerpany nie wysprzątał całego podwórza, aż wszystkie łosińki pod strugami deszczu bijącymi o asfalt. Potem zameldował strażnikowi; więzień H. melduje, plac wyczyszczony. Odmaszerował do roboty.

H. zaszywał się zwykle w kącie przy ledwie ciepłym piecu, żeby ubranie trochę wyschło, albo siedział do ubikacji, dwa cuchnące otwory ziały czarno, przyschnięte resztki kału, strzępy papieru. Tu-taj zaciągnął się dymem z peta, drząc jeszcze z zimna i patrzył jak za kratami, nad ziemią, wstaje dzień.

Jesienne słońce barwiło z wolna ścierniska na rudo, czerwieniły także pobliskie kępy krzaków, oczy bolały go od światła, od pierwszych promieni słońca i znów myślał o domu i domowym śniadaniu, choć nie miał domu ani rodziny.

Potem nagle docierał skądś donośny głos grup weso, każdy pędem wracał do roboty, i znów tępo wlepiony przed siebie wzrok, żeby tylko wyrobić normę, byle do obiadu, byle do kolacji, byle do niedzieli i niedzielnego obiadu...

Może tym razem kartofle nie będą całkiem zgniłe, może będa choć trochę lepsze, zastanawiał się ktoś, może załapię się na kawałek mięsa z gulaszu, kto wie, też mógłbym odpalić grupowemu ze trzy papierosy, albo nie, starczą dwa, a trzeciego dam mu potem, to może jeszcze sam zdążyć parę razy pociągnąć... jasna sprawa, tak się zrobi...

Mijały godziny.

Każdy musiał wyrobić normę, wieczorem podliczali wszystko. Kto się ociągał, występował do raportu i harował po godzinach tak długo, aż wyrobił swoje.

Każdy zwijał się jak mógł, bo w grupie maruderów nie było słodkiego życia. Tamci nie mieli spacerów, w ogóle nie było do kogo ust otworzyć. Nie mieli nawet takiej drobnej rozrywki, jak ten ciągły ubaw z pedałami, kiedy zaczynali głaskać się po tyłkach. Przede wszystkim i wyłącznie margaryna, ale tylko po 20 gramów dziennie, razem z mięsem - no i zimne, nieogrzewane cele. Niektó-

rym odbijała od tego szajba, zaczęli szaleć, rzucać się i często kończyło się to nowym wyrokiem za naruszenie porządku albo za wykroczenie przeciw moralności socjalistycznej w zakł. dzie kar-nym... A czasem, kiedy się szło po kartofle do piwnicy, to można było coś tam znaleźć i zρέcznie ukryć w spodniach, jakąś maichew, parę kartofli, dla wyrównania niedoboru witamin. Gdy się zapalało światło, szczyry tylko śmiały po kartoflach, ale to były te sym-patyczne, tuste szczyry domowe, popiskiwały ze złości na intru-zów, bo to był ich rewir. Cóż w tym dziwnego, też chciały żyć, były w końcu wśród swoich...

H. przypomniał sobie historię W., który pracował kiedyś w kuch-ni... Wyrok śmierci za szpiegostwo, potem dozwolcie, siedział już dziesięć lat. Dziwak się z niego zrobił, modlił się przed jedze-niem i przed sraniem, jak to kiedyś powiedział C. ...

No więc W. miał służbę w kuchni, zabrał się do roboty, zaczął wy-sypywać do dwóch ogromnych kotłów z wodą fasolę przyniesioną w workach ze strychu, patrzy, a fasola zaczyna się ruszać, łązić i pełzać, glisty, glisty, glisty... Tego dnia znowu przyjechała ze wsi śmieciarka. W. kazał załadować wszystkie worki /28 worków stanowiło zaopatrzenie na 15 pełnych posiłków dla całego więzie-nia/... Poszedł do Zezowatego, ale śmieciarka odjechała z więzie-nia dobre pół godziny wcześniej, złożył meldunek i zapytał, co ma ugotować... Awantura była straszna, W. dostał natychmiast karcer - na obiad nie było nic, bo mieli tylko fasolę. Zamiast obiadu popiło się więc gorącej wody, trzeba było czymś napełnić brzuch. Ludzie siorbali zupe, której nie było, ale o dziwo, nikt nie gde-rał, nawet kryminalni.

Tak minął dla H. ten dzień.

Jeden mniej, pomyślał wieczorem, po apelu, leżąc na cienkim sien-niku. Deski jak zwykle boleśnie gniotły go w żebra, przez okno, przy którym spał, wiatr nawiewał wolno padający śnieg i H., do tego także już przywykł, ścierał go sobie z twarzy...

... tak, to był całkiem dobry dzień, myślał przeciągając się. Jeden dzień mniej.

Tylko jeden, ale całkiem dobry.

Zza krat, z daleka dochodziły jakieś głosy...

## ZWOLNIENIE

To był wtorek, trzeciego lutego 19...

Trzy lata minęły.

To był dzień, kiedy został zwolniony.

H. stracił poczucie czasu. Przyzwyczał się już, wrósł w więzie-nne ubranie z zóktymi pasami na plecach i na szwach po zewnętrznej s.ronie nogawek.

Przywykł do ojczyzstego krajobrazu pociętego kratami, który codzien-nie widział przez okno. Tam na wzgórzu, daleko na horyzoncie, na polu pod lasem, pracowało wiosną i jesienią dwoje ludzi, mężczyz-na i kobieta. Tylko po ich ruchach mógł rozpoznać, co właściwie robili. Wiosną siali zboże a potem, jesienią, gdy nadszedł czas żniw, H. widział, jak zmęczeni kosili je po kawałku, wiązali i u-stawiali w stogi. Stały tam, na horyzoncie w swojskich rzędach, aż nadchodził czas zwózki. Co roku. Później, u schyłku jesieni, z



połączonym zimą, widywał stada ptaków, jak wzbijały się nad święto zaozonym polem i H. zdawało się, że ostry, hałaśliwy zgiełk ptasich głosów dociera aż do jego celi. Ale to było złudzenie, bo oddziaływały go od nich domy i rozległe pola, ulice i drogi, tak że ich głosy nie mogły nieść się aż do więzienia, gubiły się gdzieś po drodze w zaroślach. Te chmury ptaków, ciągnące zimą i wietrzna, burzliwą wiosną, rok w rok, przez całą codzienność H., były dla niego w swym dzikim, bezgłosnym krzyku znakiem, że ziemia wciąż żyje, że ludzie i zwierzęta, i niebo, i chmury, i cała przyroda jeszcze czekają, z roku na rok nadaremnie, ale czekają, aż on, H. wyjdzie im na spotkanie tam, gdzie zostały jego myśli i nadzieje...

Drzwi otworzyły się, H. został nagle wyrwany ze swych wspomnień jak ze snu. Strażnik Z. wyprowadził go z ogromnej sali ogólnej, zajmowanej teraz przez 112 mężczyzn, do magazynu.

Podporucznik S. wziął do ręki spis rzeczy osobistych, odebranych H. przed trzema laty i jakby nigdy nic zaczął czytać:

Kalesony białe, jedna para, podkoszulek biały, jeden, koszula rozmiar 42, jedna, buty rozmiar 42, brązowe, sznurowane, jedna para, garnitur w prątki, jasnoniebieski, jeden, płaszcz w kratę, rozmiar 48, jeden.

Obok S. stał strażnik Z., wyjmował z kartonu wymienione rzeczy, które przeleżały tam trzy lata, karton z jego numerem więziennym 725 268 też musiał przeleżeć na półce te trzy lata.

To nieduże, niepozorne pudło, o którym H. tyle razy snił, jego nadzieja i życie, miedź je teraz przed sobą, widzieć je, widzieć, jak strażnik Z. wyjmuje buty, stawia je na ladzie, dotknąć ich, ostrożnie, drżącymi rękami, z niedowierzaniem, przymierzyć, no tak, skóra zestarzała się przez ten czas, popękała, a sznurówki zbutwiały...

Wszystko wydawało mu się bardzo dziwne, nierzeczywiste, jak we śnie. Ale to były jego własne rzeczy, te same, które przed trzema laty zamienił na więzienne ubranie, wkładał je powoli.

Zaraz obok wisiąco duże lustro, zerknąwszy w nie H. zobaczył kogoś obcego. Kogoś w jasnoniebieskim garniturze, szpiczastych, wyglansowanych butach, zamiast ciężkich buciorów, sięgających aż nad kostkę. Nałożył zegarek, bransoletka ślizgała się, ręka była za szczipła.

Na polecenie porucznika S. podpisał: otrzymałem, H. Potem, mijając więźniów, spoglądali za nim z zazdrością, szedł schodami do biura. Dostał tam zwolnienie na piśmie, pieniądze, sto pięćdziesiąt marek i trzydzieści fenigów, za trzy lata pracy. Całą resztę potrącono mu w kolejnych comiesięcznych rozliczeniach za wyżywienie, zakwaterowanie i nadzór.

Pokwitował, odwrócił się. Zobaczył drzwi. Drzwi z klamką, tak po prostu chwycił za klamkę. Prawdziwa, żelazna klamka, dotknął jej ostrożnie, jakby w obawie, że mogłaby odpaść, że drzwi znów, jak przez te wszystkie lata nie miałyby klamki, a on z rękoma założonymi do tyłu, przed nim strażnik, czekałby na polecenie, żeby iść naprzód. Ale klamka została na swoim miejscu. Minął lipę, jeszcze rzut oka ku oknom tam, w górze, gdzie kiedyś żył, pracował, skąd teraz inni pozdrawiali go przyciskając twarze do krat, kilka rąk poruszyło się w niezdeterminowanym geście pożegnania, ale już spłoc-

szyl je krzyk strażnika. Teraz brama. Strażnik J. otworzył ją. H. wyszedł na zewnętrzny dziedziniec, posterunek z psem i pistoletem maszynowym, mundur, sprawdzają dokumenty, otwierają następne drzwi, to już ostatnie bez klamki, działają automatycznie, za naciśnięciem guzika. H. znalazł się w tym samym, co przed trzema laty korytarzu, gdy przywieziono go tu w kajdankach, z obstawą, a przy wysiadaniu z samochodu usłyszał: "przy każdej próbie ucieczki strzela się bez ostrzeżenia".

Miał przed sobą bramę z małym okienkiem z boku. Klapka podniosła się, jakiś głos zapytał go o nazwisko, odpowiedzieli: więzień H. numer 725 268, do zwolnienia. Głos zażądał kwitu, sprawdził coś, niewidoczny, podał papier z powrotem, a potem powoli, jakby z trudem otworzyła się brama. Przed H. był jeszcze próg, dalej ulica, ludzie, zgiełk.

Cofnął się gwałtownie.

No, niech pan idzie, a może woli pan tu zostać, powiedział głos. H. podniósł nogę, przestąpił próg, znalazł się całkiem nagle, na zewnątrz. Za jego plecami ze zgrzytem zatrzasnęły się wielkie drzwi.

Na wolności, pomyślał H.

Wypuszczony.

Mrużył oczy od światła. Wydawało mu się bardzo ostre, raziło go. Nie było to światło pocięte kratami lecz inne, rozległe, otaczało go zewsząd, zdawało się, że można w nim pływać.

H. przeląkł się nagle, że w nim utonie.

Przeknął ślinę, patrzył na mury ciągnące się wzdłuż ulicy, które strzegły więzienia jak wierne psy. Na wieży wartowniczej zobaczył mundur, strażnik spoglądał w jego stronę. H. szedł ulicą powoli, dziwnie odrętwiały, jego przesiąknięte zapachem naftaliny ubranie wisiało na nim jak na kołku.

Ulica biegła w dół, mijał małe, zakratowane okienka, potem były domy, w oknach firanki, dzieci.

Spostrzegł, że z daleka zbliża się jakaś postać, ktoś stary, zgarbiony, to była kobieta. H. rozpoznał ją. Matka. Przyszła nieoczekiwanie. Na chwilę ogarnęły go wspomnienia. Wspomnienia dzieciństwa, ciepła, ciszy i spokoju w domu dziadka.

Widział jak szła powoli. Postarzała się, pomyślał, bardzo. Trochę pochylona, stawiała kroki ostrożnie, jak wszyscy starzy ludzie, z obawy, żeby się nie potknąć o kamień, żeby nie upaść. Poznał jej twarz, jej włosy, jej ręce, którymi przytrzymywała poły płaszcza.

Widział, jak powoli opuszcza ręce... W oddali, na tle wzgórz, wznosił się dworzec. W oddali, ale mógł do niego dojść...

**Klaus Mann.**

## **Nawiedzenie Europejskiego ducha**

Europejscy intelektualiści są zmęczeni i zaniepokojeni. Wszyscy w Europie są zmęczeni i zaniepokojeni, ale intelektualiści szczególnie. Freudowskie "Unbehagen in der Kultur", to nieświadome czy podświadome uczucie niechęci i lęku, od pewnego czasu nierozzerwalnie związane z nowoczesną cywilizacją, przybrało charakter ciężkiego schorzenia i dokuczliwych, wyniszczających dolegliwości. Im bardziej jednostka jest dojrzała duchowo, im bardziej odpowiedzialna, tym boleśniej odczuwa ten powszechny kryzys.

W co ma wierzyć dzisiejszy intelektualista europejski? Tak wiele z tego, co odziedziczył, straciło moc albo przestało być oczywiste. Wiele prawd, które zdawały mu się ważne, brzmi dziś pusto i nieprzekonywająco. W powietrzu Europy odbijają się echem fałszywe wyznania wiary, upojna retoryka, nawzajem znoszące się argumenty i zaciekle ataki. Nie brak głosów zapalczywych, pedantycznych i gładko brzmiących; ale nie ma uporządkowanej dyskusji. Pobrzmiwają monologi, pojedyncze okrzyki, rozpaczliwe protesty. Słyszą głosy, ale nie rozumieją się nawzajem.

Mówią: "Dopiero wtedy, gdy środki produkcji zostaną upaństwowione, rozwiąże się wszystkie problemy, raz na zawsze! Tak powiedział on, wielki Karol Marks, i tak napisane jest w "Kapitale...".

I mówią: "Uratuje nas Święty Kościół. Tylko z Rzymu może wyjść przywództwo duchowe. T.S. Eliot wyjaśnia to tak pięknie i trafnie...".

I mówią: "Mój umiłowany kraj! Moja rasa! O, nic ponad świętą tajemnicę krwi i ziemi! Gdyby mój naród uzyskał władzę i panowanie nad światem, ludzkość byłaby uratowana. Czyż Maurice Barres, wielki patriota francuski nie wyłożył tego dość dobitnie, w sobie właściwy sposób...".

I mówią: "Nauki przyrodnicze! Zdumiewające wynalazki! Niesłychane odkrycia! Mamy już telewizję - co będzie dalej! Skonstruujemy sztuczne serce! Człowiek będzie żył sto pięćdziesiąt lat! Polecimy na Księżyc dzięki energii atomu. Opanujemy wszechświat! Postęp techniczny - oto wielka nadzieja!"

Mówią: "Postęp techniczny - największy wróg prawdziwej kultury! Aldous Huxley ma rację...".

I: "Stalinizm - największy wróg prawdziwej kultury. Arthur Koestler ma rację...".

I: "Imperializm z Wall-Street - największy wróg prawdziwej kultury. Ilja Erenburg ma rację...".

Słyszą się, ale nie rozumieją nawzajem. Rozprawiają o Kafce, o Picassie, o rynku tytoniowym - papierosy są za drogie i trudno je dostać. Rozprawiają o seksie, materializmie dialektycznym, wódce, Prouście, Szostakowiczu i bombie atomowej. Rozprawiają o wojnie. I boją się.

Zagubieni, z lękiem szukają pociechy w literaturze hinduskiej i pismach Lenina. Cytują Biblię i Jeana-Paula Sartre'a, Annę Pauker i Heideggera, Junga, Einsteina, generała de Gaulle'a i kosmopolitę Gary'ego Davisa. Cytują wielkiego Europejczyka, Paula Valery, który ogłosił: "L'Europe est finie".

Mówią: "Camus to też nic nadzwyczajnego". I: "Co wyprawia ten Strawiński?" I: "Teoria dziedziczności Mendla to burżuazyjna reakcja w najczystszej postaci". I: "Surrealizm to przeżytek". I: "Ten Rilke jest jeszcze całkiem niezły". I: "Biedny, stary Gide robi się z czasem przestarzały".

I mówią: "Jestem głodny".

Rozmawiają o podświadomości zbiorowej, o reakcjach łańcuchowych, o walce klas. Rozmawiają o rozpaczach, o "chorobie na śmierć", jak nazywa ją Kierkegaard.

Intelektualiści Europy mówią o rozpaczach.

A jeśli okazą się zbyt słabi, zbyt zniechęceni, by przejść próbę ognia? A jeśli nie zdołają, jeśli zdradzą swoje posłannictwo? Jeden z nich, francuski pisarz Julien Benda, oskarżył literatów o zdradę stanu.

Europejscy intelektualiści pamiętają nieprzejednane sformułowanie Bendy: "La Trahison des Clercs".

Podobnie jak staroangielskie słowo "clerk", tak i francuskie "clerc" może oznaczać duchowego, ale nie tylko, również każdego, kto zobowiązany jest do spełnienia pewnych drobnych posług w kościele; może to być także uczony czy po prostu ktoś, kto umie pisać i czytać. Używając wyrażenia "les clerics", francuski pisarz daje do zrozumienia, że pozycja intelektualisty we współczesnym świecie jest porównywalna do tej, jaką kiedyś zajmował kler.

W czasach gdy istnieją ugruntowane, niepodważalne autorytety religijne, intelektualista nie ma do spełnienia żadnej funkcji, żadnej raison d'être: nie istnieje. Dopiero gdy kapłani utracą duchowe przewodnictwo dochodzi do głosu niezależny krytyczny umysł, dochodzą do głosu intelektualiści. Tak było w starożytnej Grecji i Rzymie po detronizacji olimpijskich bogów/Sokrates, mistrz w stawianiu pytań, dialektyk, był intelektualistą w najlepszym, najwznioślejszym znaczeniu tego słowa/, tak było w czasach Renesansu, epoce, która nastąpiła po Średniowieczu. Humanieści czternastego i piętnastego wieku z dumą i świadomie unikali opieki Kościoła, dlatego właśnie oni są prawdziwymi twórcami współczesnej "inteligencji".

Intelektualista jest następcą i świeckim odpowiednikiem kapłana w tym sensie, że i jego zainteresowania dotyczą przede wszystkim wartości duchowych, a nie sukcesów materialnych. Intelektualista - tak jak kapłan - ocenia życie i społeczeństwo nie wedle kryteriów czysto utylitarnych, "realistycznych", lecz kieruje się pewnymi ideałami /czy też powinien się nimi kierować/. Jednak w przeciwieństwie do kapłana, który może oprzeć się na istniejącym systemie etycznym i metafizycznym, intelektualista - z natury

przynależny do rodziny badaczy i dysydentów - zobowiązany jest poszukiwać swoich własnych praw i ewangelii, swojej własnej prawdy. Prawdziwy intelektualista nie przyjmuje nic na wiarę, wa wszystko wątpli. Najważniejszą jego cechą jest bezgraniczna, namiętna ciekawość. Kocha wszystko, co nowe i niebezpieczne. W odróżnieniu od kapłana, który ma za sobą opiekę i poparcie potężnej hierarchii, intelektualista prowadzi niepewny żywot wędrowca - każdy dzień przynosi nowe doświadczenia, nową przygodę, nowe ryzyko, nowe objawienie.

Chociaż typowy czy też wzorowy intelektualista jest niezależnym niedowiarkiem, to jednak musi pozostawać wierny pewnym podstawowym, dobrowolnie uznanym prawdom i zasadom, jeśli nie chce zagubić się w gąszczu wątpliwości i sprzecznych argumentów. Prawdziwi przywódcy duchowi Europy, od Brama do Voltaire'a, od Montaigne'a i Spinozy do Henryka Heinego i Wiktora Hugo to nie tylko wielcy sceptycy i obrazurcy, lecz także ludzie wielkiej wiary: w godność, w posłannictwo moralne ludzkości, w oczywistą wyższość kultury nad barbarzyństwem. Wierzyli w postęp. Bez tej wiary nigdy nie byłiby w stanie przygotować i urzeczywistnić tak wielkich wydarzeń jak Renesans, Reformacja i Rewolucja Francuska.

Jednak w drugiej połowie XIX wieku duchowe przywództwo Europy zaczęło tracić poczucie miary i sensu. Wściekłe ataki Nietzschego wymierzone przeciw chrześcijaństwu, jego szaleńcze samouwielbienie i samozagłada; bezgraniczne i chorobliwe poczucie winy u Kierkegarda, jego zawzięta i rozpaczliwa walka o "czystość serca", diaboliczne grymasy Baudelaire'a i bluźniercze paradoksy "Człowiek ducha" - powiedział - "jest wrogiem świata.", obarczanie winą sztuki przez Tolstoja, jego niezłomnie ascetyczne życie i samotna śmierć, patologiczne ekstazy Dostojewskiego i budząca zgrozę pokora, śmiały bunt Oskara Wilde'a przeciwko mieszczańskiej hipokryzji, jego wygnanie i skandaliczne męczeństwo, zacieka wrogość wobec ludzi u Strindberga, jego potworna mania prześladowcza, teatralna magia Ryszarda Wagnera, niegodziwość jego ambicji, tęsknota do śmierci Czajkowskiego, ucieczka Flauberta do krainy zimnego i niezobowiązującego estetyzmu, zabójcze upojenie Verlaine'a modlitwą i absytem, odwrót Rimbauda ku afrykańskiej puszcy, odejście od poezji, straszne posiannictwo milczenia, ucieczka Van Gogha w szaleństwo - wszystkie te jednostkowe tragedie poprzedziły powszechny kryzys, który dziś wstrząsnął podstawami naszej cywilizacji.

Zbyt odważnie zagłębili się intelektualisci w tajemnice ludzkiej duszy, społeczeństwa, przyrody. To, co znaleźli w tych otchłaniach, okazało się zbyt straszne niczym głowa Meduzy, o której powiada, że na jej widok patrzący przemienia się w skałę.

Czy nie było żadnego oparcia, nic świętego?

Śmiałe eksperymenty i spekulacje współczesnych fizyków - zwłaszcza teoria względności Einsteina - zrewolucjonizowały nauki stosowane, ale także ludzkie wyobrażenia o kosmosie, ludzkie pojmowanie czasu, przestrzeni, materii i energii. Karol Marks odkrył, że walka klas jest właściwym motorem rozwoju historycznego i ideologicznego. Inny wielki intelektualista, Zygmunt Freud, zbadał najciemniejsze zakamarki podświadomości i odkrył, że roi się tam od tkniętych pragnień i złych duchów sprzyjających ojcostwu i kaziropdztwu.

Okazało się, że człowiek Zachodu, homo occidentalis, uważający się już za istotę całkiem oswojoną, na wskroś rozumna, w dalszym ciągu jest stworzeniem opętany przez demony, cwaładniętym irracjonalnymi i barbarzyńskimi mocami. Najciemniejsze przeczucia, najbardziej brwawe fantazje podtrzymywane przez dziewięć nastoletnich pesymistów nie dorównywały przerażającej rzeczywistości dwudziestego wieku. Antychryst, którego głos i gesty Nietzsche naśladował tak zuchwale, był obecny a jego potęga straszna. Komory gazowe i bomby; trująca, szczekliwa propaganda i zorganizowany wyzysk; okropności państwa totalitarnego satanicznie bezguście komercyjnej rozrywki; cynizm rządzących klik i głupota mas prowadzonych na manowce; uwielbienie pieniądza i mord; triumf podłości i obskurantyzmu - straszliwe konsekwencje niewiedzy - oto broń i metody Szatana, którymi posługiwał się i nadal posługuje, by zniewolić człowieka i ustanowić swoje panowanie nad przekłętym rodzajem ludzkim.

Gdy cywilizacja trzeszczy w posadach pod naporem barbarzyństwa ukrywającego się pod maską nowoczesności, cóż innego pozostaje intelektualistom czy artystom jak ukazywać powszechny obłęd i zmęczenie. Świat pełen koszmarów, świat Oświęcimia i świat komiksów, świat hollywoodzkich filmów i wojny bakteriologicznej - ten świat wymyka się wszelkim opisom i rozumowi. Portrety naszych poetów, malarzy rozpadają się tak, jak i nasz system społeczny. Geniusz Picassa maluje błyskawice i gromy apokaliptycznej nawałnicy. Franz Kafka odsłania z przerażającą jasnością nasze najtajniejsze lęki. Żeby wypowiedzieć to, co niewypowiadalne, James Joyce tworzy nowy język. Mistrzowie słowa, wielcy stylisci zaczynają się jękać. "Już nic nie ma związku z niczym" - wyznaje T.S. Eliot i prorokuje zmierzch i upadek zbeszczeszczonego świata. Poeta, artysta, intelektualista już nie udaje, że rozumie. Wstrząsa nim dreszcz i łkanie, gdy patrzy na "walące się wieże", na zburzone miasta. Obłęd, który od czasu I wojny światowej stale przybierał na sile i znaczeniu, wchodzi dziś w ostatnią, decydującą fazę.

Oczywiście, obecny kryzys, a właściwie permanentny kryzys tego stulecia nie ogranicza się do jednego kontynentu czy klasy. Świat zrobił się mały; czy chcemy tego czy też nie, jest niepodzielna całością, wszystkie narody i klasy stają wobec tych samych problemów i niebezpieczeństw. Jeśli jednak to prawda, że intelektualista odczuwa tę krytyczną sytuację dotkliwiej i boleśniej niż - powiedzmy - mistrz basetballowy czy panienska z rewii, to w takim razie jest również prawdą, że europejscy intelektualisci są nią dotknięci bardziej bezpośrednio niż ich brazylijscy czy australijscy koledzy. Rozważać możliwość upadku cywilizacji, to zupełnie coś innego niż oglądać go na własne oczy. Niektóre sceny i obrazy Apokalipsy wydają się studentowi filozofii z Kansas City czy poecie z Johannesburga obce, fantastyczne, niewiarygodne, ale mieszkańcom Berlina, Warszawy, Drezna i Rotterdamu znane były aż za dobrze. W Wiedniu, Atenach i Londynie "walące się wieże" Eliota były nie tylko poetyckimi symbolami. Wśród gruzów i ruin, w obliczu okaleczonych mężczyzn i głodujących dzieci śmiertelna powaga sytuacji staje się oczywista dla każdego myślącego człowieka.

Nic też dziwnego, że ze wszystkich współczesnych intelektualistów, ci z Europy są "najbardziej świadomi kryzysu". Poza tym



mocniej i bardziej świadomie podkreślają swoją rolę niż ich kole-  
dzy z innych kontynentów; mocniej i bardziej świadomie niż przed  
II wojną światową zaznaczają swoją europejskość. Wspólne cierpie-  
nie jednoczy. Mimo licznych punktów spornych w kwestiach narodo-  
wych i ideologicznych niż brak we współczesnej Europie /szczegól-  
nie wśród intelektualistów/ poczucia kontynentalnej solidarności.  
Cóż z tego, że czeski patriota nienawidzi węgierskiego sąsiada?,  
że Belg nie potrafi wybaczyć Niemcom? Przecież należą do tego  
samego zubożalego, a przy tym dumnego, szlachetnego rodu. Wielu  
mówi z nieskrywaną pogardą o Stanach Zjednoczonych i o Związku  
Radzieckim, tych dwu kolosach zasobnych w siłę materialną i mili-  
tarną, a tak ubogich w tradycję kulturalną, w wolność, mądrość i  
wrażliwość. Ta sama melancholijna arogancja, znużone lekceważenie,  
którymi niesłychanie błyskotliwi i mądrzy, choć trochę obdarci  
retorzy i literaci dekadentckiej Hellady - "graeculi" odpowiadali  
na siłę i dzielność rzymskich zdobywców. Wygląda na to, że nawet  
Anglicy wyrzekli się swojej wyspiarskiej dumy, swojej "splendid  
isolation". Oni także cierpieli, nie mniej niż ich kuzyni z konty-  
nentu; oni także są biedni, oni także spoglądają w niepewną,  
groźną przyszłość. Dlaczego więc nie mieliby dołączyć do dumnej,  
wzruszającej wspólnoty dotkniętych chorobą kryzysu Europejczyków?

Pewien znany młody kompozytor angielski opowiadał mi po kon-  
cercie w Amsterdamie: "Dopiero co spędziłem kilka tygodni w Ame-  
ryce. Bardzo miło, całkiem interesująco. Ale na dłuższą metę nie  
czułbym się tam szczęśliwy. Brak napięcia intelektualnego. Nie  
mają pojęcia o wielkich zadaniach i problemach. Pieniądże oczywi-  
ście są; absorbują ich tak bardzo nowe samochody i telewizory, że  
sprawiają wrażenie, jakby żyli poza głównym nurtem naszych cza-  
sów".

Prawie wszyscy zaprzyjaźnieni ze mną intelektualiści robili  
wówczas wrażenie nieco rozdrażnionych i niejako odartych ze skóry  
"Nie wiemy już, w co mamy wierzyć. Jesteśmy zupełnie zagubieni" -  
skarżyli się młodzi. A i starzy, mistrzowie, wzdychali: "Jesteśmy  
zupełnie zagubieni. Nie wiemy już, czego nauczać".

"Grand old men" stali się rzadkością w dzisiejszej Europie.  
Potężna generacja, która wydała Anatola France'a, Freuda, Bergso-  
na i H.G. Wellsa, Maksyma Gorkiego i Paula Valery stopniowo wymie-  
ra. A wśród tych, którzy przeżyli, wielu jest nieobecnych: Ein-  
stein, Strawiński, Schönberg, Tomasz Mann, inni zaś opuścili stary  
kontynent, żeby swoje ostatnie lata spędzić po tamtej stronie ocea-  
nu. Shaw, ten oczywiście pozostał. Ze smakiem i z niewyczerpanym  
poczuciem humoru sypie jak kiedyś swoimi paradoksami i salonowym  
dowcipem. Ale na intelektualną awangardę stary "G.B.S." nie ma  
już od dawna żadnego wpływu. Ponieważ uważa, że to jego przywilej  
wysmiewać dla żartu, dla kaprysu rzeczy choćby najpoważniejsze,  
dlatego nikt nie traktuje go poważnie.

Somerset Maugham też wprawdzie należał do leciwych już znako-  
mitości, ale za to nie ma ambicji, by odgrywać czołową rolę w  
kwestiach moralnych czy intelektualnych. Nie przejawia ich najwi-  
doczniej także E.M. Forster, mimo swojego wielkiego autorytetu,  
który usprawiedliwiałby takie ambicje. Od czasu śmierci Virginii  
Woolf żadnym powieściopisarz angielski nie zdobył tak wielkiego  
prestżu jak autor książki "A Passage to India". Jego sława ma

charakter literacki, prawie ezoteryczny, a poza tym ogranicza się do krajów anglosaskich. W Niemczech, Francji, Hiszpanii, we Włoszech i Szwajcarii ten wspaniały krytyk i prozaik jest prawie nieznamy nawet wśród zawodowych literatów.

Bertrand Russel uważany jest, i nie bez racji, za luchowego przywódcę; bardziej wymagający spośród czytelników mogą odbierać jego niezobowiązujący agnostycyzm i pozbawiony fantazji "common sense" jako nie dość efektowne. Benedetto Croce, sławny uczonec, szczery liberał, jest podziwiany daleko poza granicami Italii. Ale kiedy niedawno byłem u niego w Neapolu, miałem wrażenie, jakbym stał przed cennym eksponatem muzealnym, żywym pomnikiem przebrzmiałych czynów i zapomnianych wartości.

Ortega y Gasset, najbardziej reprezentatywny filozof współczesnej Hiszpanii - żyjący w Madrycie jak emigrant we własnym kraju - głębiej wniknął w podstawowe problemy naszych czasów. Jego doskonałe uwagi na temat "Powstania mas" pomogły nam zrozumieć burzliwe wydarzenia ostatnich dziesięcioleci. Ale choćby tego rodzaju komentarze były ważne i chętnie czytane, to zagubiona młodzież Europy potrzebuje czegoś innego. Potrzebuje przywództwa i pocieszenia, nowych ideałów i nadziei, jakiejś wiary.

"Za każdym razem kiedy młodzi ludzie chcą zasięgnąć mojej rady, wstydzą się własnej niekompetencji, jestem bezradny i zakłopotany". Takie wyznanie uczynił mi największy żyjący pisarz europejski, Andre Gide.

"Oni wszyscy pytają, czy jest jakieś wyjście z tego kryzysu" - powiedział - "czy w tym chaosie kryje się jakiś sens, jakaś logika, jakiś cel. Co mam im powiedzieć? Sam nic nie wiem".

A przy tym właśnie Gide mógł zaoferować coś więcej i to coś cenniejsze niż zwykłą radę: wspaniały dar, jakim jest wielki i trwały dorobek i przykład bogatej, zmiennej, choć pogodnie zrównoważonej i odważnie konsekwentnej osobowości.

Niewielu intelektualistów ma wiarę, siłę i niezbędną wierność samemu sobie, tak jak Gide czy Croce. Znane są nazwiska - brzmiące niekoniecznie z niemiecka - tych, dla których dyktatura faszyzmu i nazizmu nie była wcale ohydną zbrodnią. We Francji triumf barbarzyństwa powitały brawami gwiazdy literatury w rodzaju Celine'a, Paula Moranda i Henry de Montherlanta. W okupowanej Norwegii zdrajcą własnego kraju i cywilizacji okazał się wielki powieściopisarz Knut Hamsun.

A ci, którzy dziś "kolaborują" z Rosjanami - czy ich także należy traktować jak zdrajców? Niektórzy z nich - zwłaszcza w krajach, po tamtej stronie "żelaznej kurtyny" /włączając w to część Niemiec znajdującą się pod kontrolą radziecką/ - stali się marksistami z oportunistycznym i tchórczym. Pozostali są bez wątpienia uczciwi i pełni dobrej wiary. Louis Aragon, na przykład, kiedyś człowiek surrealisty, dziś "czerwony papież" francuskiej literatury, z pewnością nie uważa się za zdrajcę, a wręcz przeciwnie, za dzielnego patriotę i odważnego obrońcę pokoju i wolności. Również tak poważnej i szlachetnej kobiety jak Irena Joliot-Curie czy prawdziwego poety Paula Eluarda nie można traktować jak "boleszewickich agentów" i członków "piątek kolumny".

Niedocenianie wpływu i determinacji intelektualistów prądzieckich w Europie Zachodniej byłoby niewybaczalnym błędem. Lu-

dzie wielkiego formatu, o znanych nazwiskach, którzy są głęboko przekonani, że rewolucja światowa musi i powinna nadejść, żyją rozproszeni po całym kontynencie. Dla nich Związek Radziecki stanowi jedyną nadzieję, Rocher de bronze wolności i rozumu wśród mroków upadającego kapitalizmu.

W Kopenhadze rozmawiałem z siwowłosym nastorem współczesnej literatury duńskiej, Martinem Andersenem-Nexø, autorem popularnej w wielu krajach powieści "Pelle zdobywca". Sędziwy mistrz, bardzo malownicza postać - z mocno wysklepionym czołem i ogorzałą, zrytą bruzdami twarzą, zapewniał mnie łagodnie, choć zdecydowanie: "Przyszłość należy do komunizmu. Komunizm to pokój. Komunizm to dobrobyt. Komunizm to kultura. Kto nie dostrzega tych prostych prawd, jest albo ślepy, albo został przekupiony przez amerykańskich podżegaczy".

W Berlinie słynna pisarka Anna Seghers, autorka "Siódmego krzyża", opowiadała mi wiele o swoim ostatnim pobycie w Związku Radzieckim. Jak spaniale tam było. Jak przyjemnie i ciekawie żyje się pod życzliwym nadzorem Biura Politycznego. Nie, cenzury nie ma. Radzieckie artyści i uczeni cieszą się całkowitą swobodą, póki są wierni zasadom prawdziwie socjalistycznej, związanej z narodem kultury radzieckiej.

Przysłuchiwałem się im, stalinowskiemu intelektualistom w Pradze, Wiedniu, Budapeszcie, Brukseli, Paryżu, Mediolanie. Mówili: "Po co tyle szumu wokół tej szłuskiej, a jakże łagodnej nagany, którą otrzymali Szostakowicz, Prokofiew i Chaczaturian? Skoro lud rosyjski nic sobie nie robi z atonalnych kakofonii, to niechże ci panowie piszą muzykę bardziej zrozumiałą i popularną. Nie ma nic prostszego!"

Rozmawiałem z marksistowskimi profesorami, poetami, politykami. Mówili: "My mamy rację, tamci jej nie mają. My jesteśmy dobrzy, a tamci są źli. My jesteśmy demokratami i realistami, za to tamci - a fe! Zgrają reakcyjnych mistyków, pesymistów, imperialistów, formalistów, bumelantów, idiotów i trockistów!"

Moi marksistowscy przyjaciele wydają mi się często podobni do owych aniołów, o których Wiliam Blake - obserwator godny przecieży zaufania - pisze, że są wystarczająco próżne, żeby mówić o sobie jako o jedynych mądrych istotach, a czynią to z tą jedyną w swoim rodzaju ufną bezczelnością, która bierze się z systematycznego myślenia.

Co prawda niektórzy nie najlepiej czują się w tej skórze. Mam na myśli chociażby pewnego młodego, bardzo zdolnego i interesującego pisarza, z którym przeprowadziłem w Pradze rozmowę. Przy całej pozornej żarliwości jego komunistycznej wiary nie potrafił ukryć pewnego zatroskania. "Naturalnie, że przypadek Szostakowicza i towarzyszy ma w sobie coś - niepokojącego" - powiedział, oglądając się ukradkiem. "Tego rodzaju ograniczenia nie byłyby dla nas najważniejsze. Oczywiście żywią największy szacunek dla Związku Radzieckiego i wierzą w demokrację ludową. Ale, wie pan, stać na baczność nie bardzo mi się uśmiecha..."

Podobnie ostrożne zastrzeżenia i aluzje miał znany prozaik niemiecki Theodor Plivier, autor często cytowanej sagi stalingradzkiej, jednego z najważniejszych utworów literatury wojennej. Kiedy odwiedziłem go w Weimarze zajętym przez Rosjan, zdawało się,

że był jeszcze w jak najlepszej zgodzie z komunistami; de facto Plivier, Anna Seghers i jeszcze dwie czy trzy osoby uchodziły za creme de la creme partyjnej elity intelektualnej. Widząc jego dom i doskonałą pozycję, myślałem oczywiście, że jest drunny i zadowolony.

Kiedy jednak pogratulowałem mu szczęścia, wzruszył ramionami i skrzywił się. "Z pewnością - mruknął - jedzenia mam pod dostatkiem. Co z tego, skoro jestem więźniem, to mi nie odpowiada, choćby i klatka była szczerokołata".

W kilka miesięcy potem Theodor Plivier uciekł z radzieckiej strefy i przyjął go Amerykanie.

Komunistyczni intelektualiści gardzą wszystkimi niekomunistami, ale swoich dawnych kolegów, dezertersów i apostatów nienawidzą i boją się z całej duszy.

Ta zaciekła wrogość ze strony stalinistów tłumaczy się naturalną skłonnością wszystkich renegatów do obrzucania błotem swoich dawnych świętości. Wśród wielu rozhisteryzowanych i krzykliwych głosów, które rozbrzmiewają w dzisiejszej Europie, najbardziej fałszywe tony wydają z siebie pewni ekstradykałowie i fanatyczni antykomuniści. W swoim zaślepieniu, choć "zakatwić" dawnych przyjaciół, usiłują dowieść, że ich przemiana wewnętrzna jest autentyczna, posuwają się bardzo daleko; sięgają do najbardziej absurdalnych i nikczemnych metod. Nawet Arthur Kōstler, umysł jasny i trzeźwy w ocenach, zdumiał i zaniepokoił wielu swoich wielbicieli szaleńczym niepohamowaniem antykomunistycznych wybuchów. Inny wybitny ekskomunista, Andre Malraux, dawny bojownik o wolność hiszpańskiego ludu, dziś stał się prorokiem i głównym agitátorem generała de Gaulle'a, którego rządy mogą pozbawić naród francuski wolności i demokratycznych praw.

"Zdrajcy" - wykrzykują komuniści i mają na myśli takich ludzi, jak Kōstler czy Malraux. "Brudni faszyci! Płatni agenci amerykańskiego imperializmu!"

Krzyczą także ekstremiści i antykomuniści, wymyślając takim ludziom, jak Aragon, Picasso, Eluard, Bertold Brecht, Martin Anderson-Nexō: "Plugawi agenci Kremla! Wrogowie wolności, prawdy i moralności! Łajdaki, zbrodniarze, piąta kolumna, hańba wam!"

W powietrzu rozdartej i umęczonej Europy pełno jest wzajemnych oskarżeń, zniewag, pomówień i obelg. Podczas gdy Wschód i Zachód spoglądają na siebie z groźnym wyczekiwaniem, bitwa ideologiczna trzyma w napięciu najświetlejsze umysły kontynentu. Neutralność, mądrość, obiektywność uchodzą za zdradę. Intelektualiście godzi się wybrać, określić swoją pozycję, walczyć, być żołnierzem.

A czy trzecia siła "troisieme force", nie pośredniczy między wrogimi obozami?

Niektórzy pisarze usiłowali rzeczywiście być "apolityczni". Jeden z nich, Jean Cocteau, wyjaśniał mi niedawno, że polityka to według niego "de la blague" - niesmaczny dowcip, krwawy dzień zapustny - na pewno nie należy traktować jej poważnie. Ostatnia książka Cocteau "La Difficulte d'etre", zbiór czarujących notatek autobiograficznych, jego apercus, omawia tematy, które należy naprawdę traktować poważnie: piękno, śmierć, młodość, styl, język, znaczenie snów i niezwykły urok krajobrazów, wiersze i ludzkie twarze.

A bitwa ideologii trwa.

Wielu europejskich intelektualistów uwierzyło słowom Aldousa Huxleya: "Tylko wtedy, gdy świadomie i zdecydowanie skoncentrujemy się na wieczności, zdokony zapobiec temu, by ten czas nie obrócił wszystkiego, co robimy, w dzieło diabła".

Pociąg do mistycyzmu religijnego odgrywa wielką rolę w dzisiejszej Europie. Nawet autorzy dawniej lewicujący i ateistyczni skłaniają się ku pobożnym nastrojom i metafizycznym spekulacjom. Na przykład Ignazio Silone, były komunista, potem walczący socjaldemokrata, coraz częściej chyba zajmuje się "wiecznością". Podobnie rzecz się ma z powieściopisarzem Alfredem Döblinem, "repatriantem", który obecnie po kilkuletnim pobycie w Stanach działa we francuskim "Centre de l'Education" w Baden-Baden. Döblin, umysłowość wybitna, choć nieco bałamutna, komunizmowi powiedział: "adieu" i dziś głosi: "Zaczęła się nowa era religii i metafizyki. Świat, który wydał nam się aż nazbyt jasny z punktu widzenia pozytywizmu i nauki, dziś znowu okrył się tajemnicą".

On sam, tajemniczy Döblin, znalazł prawdę i ukojenie w objęciach Kościoła Katolickiego.

Wpływ Kościoła Katolickiego na inteligencję stale rośnie po tej stronie "żelaznej kurtyny". Nawet w protestanckiej Wielkiej Brytanii Rzym ma swojego literackiego obrońcę. T.S. Eliot przeciążył apokaliptyczny nihilizm wczesnej twórczości, doświadczył "cudu" i obwieścił go światu, postanawiając całą swoją wielką siłę przekonywania służyć świętej sprawie. Teraz jest mu dane widzieć ponad "walącymi się wieżami" "leżącego w dół gołębia z białym piórnikiem zgrozy".

Gdy tymczasem we współczesnej literaturze włoskiej prawie nie istnieje papieska kuratela /jest w tym niewątpliwie zasługa Croce i jego bezwarunkowej doczesności/, to we Francji Stolica Apostolska ma wielu zwolenników. Paul Claudel, Francois Mauriac i Jacques Maritain to naprawdę czynni słudzy Watykanu, a coś dopiero mówić o innych, licznych, równie gorliwych, choć może nie tak słynnych poetach i publicystach Czwartej Republiki, w których Rzym ma prawdziwe oparcie. Nawet egzystencjaliści mają swoich katolików, zwłaszcza bardzo cenionego Gabriela Marcela.

Jednym z dwu Niemców uznanych za twórców egzystencjalizmu jest Karl Jaspers /kiedyś Heidelberg, dziś Bazylea/, myśliciel przede wszystkim religijny, którego grupa Marcela obraża za swojego patrona; drugi z nich, Martin Heidegger, nie przyznał się co prawda oficjalnie do ateizmu, ale głosi, że Bóg jest "nieobecny" - zbyt daleki od swego stworzenia, za bardzo w ukryciu, zbyt niepojęty, żeby w ogóle można było na niego liczyć. Wydaje się, że pojęcie "nieobecności", zupełnej pustki, idea całkowitego nie-istnienia /załóżmy, że można to sobie wyobrazić/ stanowią podstawę i kwintesencję tej filozofii. Dla niego "nicność" oznacza prawie to samo, co "tao" dla Chińczyka: przyczynę wszelkiego działania się, ziemię, wieczne źródło - niedefiniowalne, wspaniałe w sobie, bezkształtne, wszystko i jedno, niezmienne, niewyczerpane, poza rozumem, bezimienne, istniejące i nie istniejące zarazem... Nazwano Heideggera "mystykiem nicości", tym który ubóstwił nihil. Nic dziwnego, że przypadła mu do gustu "rewolucja nihilizmu", jeżeli użyć sformułowania Hermanna Rauschninga, z pomocą którego definiował i potępiał narodowy socjalizm. Mimo to, właśnie Heidegger, do 1945

roku jeden z duchowych filarów Rzeszy hitlerowskiej, jest dziś idolem francuskiej awangardy, Jean Paul Sartre uważa się za ucznia Heideggera, chociaż ten wielokrotnie i niezbyt subtelnie odżegnywał się od jakiegokolwiek odpowiedzialności za "egzystencjalizm a la Sartre".

Sartre uprawia powieściopisarstwo i eseistykę z taką samą znajomością rzeczy i powodzeniem jak dramaturgię, jest bez wątpienia postacią najbardziej widoczną i najbardziej lansowaną w powojennej Europie. Są co prawda krytycy uważający jego wczesną twórczość - przede wszystkim bezbrzeżnie smutną i melancholijną powieść "Młodości" - za bardziej oryginalną i znaczącą niż jego późniejsze utwory. Są również zwacy, dla których Sartre prozaik jest słabszy od swojego kolegi - egzystencjalisty, Alberta Camusa, autora symbolicznej powieści "Dzuma", wzbudzającej międzynarodową sensację. A jednak to Sartre'owi, a nie Camusowi, egzystencjalizm - "lewicująca", ateistyczne skrzydło ruchu - zawdzięcza swoją silną pozycję w życiu intelektualnym dzisiejszej Europy.

Egzystencjalizm - w formie, w jakiej wykładają go zwolennicy Sartre'a - z trudnością daje się zdefiniować, a to przede wszystkim dlatego, że ten zdumiewająco niesystematyczny system filozoficzny zdaje się składać ze sprzeczności i niespójności. Dowolna, choć zajmująca, mieszanina sprzecznych ze sobą elementów. Nauka francuska zbyła filozofię Sartre'a jako "une confusion des plus facheuses".

Czy Sartre jest pesymistą? Czy na życie patrzy jak na potworny, zwiariowany Chaos? Sądząc z jego upodobania do kłopotliwych sytuacji i paskudnych charakterów, można by przypuszczać, że jest on nihilistyczną, pozabawioną złudzeń osobowością. A jednak Sartre nie chce być uważany za nihilistę. I chociaż wszechświat nazywa "totalite desintegree", a Boga nieudany ludzkiem wynalazkiem, "un Dieu manque", to jednak akceptuje pewne normy etyczne. Skąd pochodzi to prawo do sądów moralnych, co upoważnia do ich wydawania, tego nie wyjaśnia, ale obstaje przy tym, że pewne rzeczy muszą być uważane za dobre, inne za złe, że musimy wybierać pomiędzy tymi dwiema możliwościami, a decydując się, wybieramy zwanie lub potępienie własnej duszy. Ponieważ nie istnieje Bóg, który by nas prowadził i sądził, od nas samych zależy nie tylko nasz ziemski los, ale też pozycja, która w jakiejś nieokreślonej, dość niepewnej przyszłości stanie się naszym udziałem. Wszystko zależy od naszego działania, od tego, jak się zachowamy. Każdy jest taki, jakim chce być.

Sartre, podobnie jak Marks, upomina intelektualistów, by nie tylko poznawali świat, ale też pomagali zmieniać systemy ekonomiczne i społeczne. Słowo "engagement" - tak podstawowe dla niego - znaczy to samo co "obowiązek" - nasz obowiązek, nakazujący jednoznacznie zajmując stanowisko wobec spornych problemów współczesności. W przeciwieństwie do ortodoksyjnych marksistów uważających, że rozwój historyczny determinują czynniki ekonomiczne, egzystencjalista ten podkreśla znaczenie jednostkowych wyborów w kosmosie, w którym nie ma ani celu, ani żadnej logiki. Absolutny indywidualista, przekonany o prymacie wartości duchowych, a przy tym bojownik o postęp społeczny, zamierza Sartre do pogodzenia ze sobą obu tradycyjnych szkół, materializmu i idealizmu.

Ponieważ w filozofii i w polityce Sartre jest zwolennikiem i głosiicielem pewnego rodzaju radykalnych środków, to żadna z waż-



niejszych partii nie darzy go życzliwością. Kościół Katolicki widzi w jego nauce szczególnie odrażający rodzaj pogaństwa. Arthur Kbstler i inni łowcy czarownic pomawiają czołowego egzystencjalistę o ź'e zamaskowany stalinizm, gdy tymczasem oficjalni rzecznicy marksizmu zarzucają mu skłonności profasystowskie. W zeszłym roku na Dziesiątym Międzynarodowym Kongresie Filozofów w Amsterdamie delegat czeski Arnost Kolman mówił o egzystencjalizmie jako "sprytnym przedsięwzięciu dla obrony kapitalizmu".

Kłócili się w Amsterdamie, dokąd 700 zawodowych filozofów z dwudziestu pięciu krajów przyjechało po to, żeby podzielić się z innymi swoimi przemyśleniami. "Gdy już pan będzie u siebie w Pradze - sztydził Bertrand Russel, zwracając się do swego uczonego kolegi, profesora Arnoata Kolmana - niech pan poprosi swoich wocodawców, żeby na nasz następny międzynarodowy kongres przysłali kogoś nie tak grubiańskiego". Ponieważ inny emisariusz z CSRS w dalszym ciągu bronił walczącego marksizmu jako "nowego humanizmu", jeden z niemieckich myślicieli, Walter Brugger, syknął: "Nie widzę żadnej różnicy pomiędzy marksizmem a poglądami nazistów". Na koniec szacowny uczoney holenderski, przewodniczący kongresu, Hugo Pos podsumował ze smutkiem: "Nasze dyskusje wykazały powszechne powojenne rozdacie myśli".

Kłócili się we Wrocławiu, gdzie intelektualisci ze wszystkich kontynentów starali się pod komunistycznym kierownictwem stworzyć wspólną płaszczyznę obrad. Radziecki pisarz, Ilja Erenburg, chcąc przysłużyć się sprawie porozumienia między narodami, określił literaturę anglo-amerykańską jako "opium dla ducha". To zaś skłoniło brytyjskiego delegata, profesora A.J.P. Taylora z Oxfordu do gorzkiej konstatacji: "Ten kongres, który miał zbliżyć do siebie ludzi nie spełnił swojego zadania. Reprezentant Indii, Mulha Raj Anand, stwierdził na koniec, że jedyne, co uczestnicy kongresu mogą zrobić dla pokoju, to "zacząć głodówkę, jak Gandhi".

Czy nie ma żadnej innej nadziei?

Wzruszający entuzjazm, z jakim intelektualisci i masy Europy powitały śmiały gest "obywatela świata" Gary'ego Davisa, jest symptomatyczny dla powszechnego niepokoju, dla powszechnego gorącego pragnienia, żeby znaleźć jakieś wyjście, jakieś rozwiązanie. Czy inicjatywa jednego młodego, bezsilnego człowieka może nas uratować? Podczas gdy Davis gromadzi wokół siebie odważnych ludzi dobrej woli /także takie sławy, jak Gide, Camus, Sartre są wśród jego zwolenników/, podczas gdy miliony przerażonych ludzi pragną pokoju i się o niego modlą, przygotowania do wojny przybierają coraz bardziej złowieszczy charakter, bitwa ideologii trwa, zębna przepaść pomiędzy dwoma systemami światopoglądowymi staje się z dnia na dzień coraz głębsza.

Słaby, pełen dysonansów chór, głosy intelektualistów towarzyszą temu potwornemu dramatowi. Słyszę wiele głosów, niektóre bezosobne i agresywne; inne łagodne i kpiące, namiętne lub sentymentalne; ale nie słyszę przyjemnych, współbrzmiących ze sobą tonów, koncertu zharmonizowanych lub w zgodzie rywalizujących ze sobą sił.

"Nie ma nadziei. Obojętne, czy my, intelektualisci, jesteśmy zdrajcami, czy ofiarami, dobrze by było, gdybyśmy uznali naszą całkowicie beznadziejną sytuację. Dlaczego mielibyśmy robić sobie złudzenia? Jesteśmy straceni. Przegraliśmy!"

Głos wypowiadający te słowa - lekko zachrypnięty, ale dźwięczny i dziwnie ujmujący - należał do młodego studenta filozofii i literatury, którego przypadkiem spotkałem w Uppsali w starym szwedzkim uniwersyteckim mieście. To, co miał do powiedzenia było wystarczająco ciekawe, a z pewnością było charakterystyczne; podobne wypowiedzi intelektualistów słyszałem w Europie wszędzie.

Powiedział: "Jesteśmy straceni, jesteśmy skończeni, przyznajmy się wreszcie do tego! Walka pomiędzy obiema wrogimi kulturze potęgami politycznymi - amerykańskim pieniądzem i rosyjskim fanatyzmem - nie zostawia już miejsca na intelektualną niezależność i swobodę. Jesteśmy zmuszeni zając jakieś stanowisko i właśnie dlatego zdradzić to, czego powinniśmy bronić, co powinniśmy szanować najbardziej. Körtler nie ma racji, ponieważ jedną stronę przedstawia jako trochę lepszą od drugiej, jako szarą, a nie jako czarną. Naprawdę żadna z nich nie jest wystarczająco dobra, to znaczy, że obie są złe, obie czarne, czarne, czarne".

I powiedział: "Dostyc mam tego, kłamstw i dyplomatycznych sztuczek i kompromisów. Nawet egzystencjaliści zatrzymują się w pół kroku. Po co nam ta cała gadanina o jednostkowych wyborach? Już za późno na indywidualny wybór. Les jeux sont faits. Jesteśmy skazani, pokonani. Przynajmniej powinniśmy mieć odwagę przyznać, że ponieśliśmy fiasko. Skoro nie mamy nic do stracenia, to dlaczego nie być szczerym? Dlaczego nie wykrzyknąć naszego obrzydzenia, naszego gniewu i rozpaczy?"

I powiedział: "Nowy ruch powinniśmy stworzyć, intelektualiści Europy, ruch rozpachy, rebelię tych, którzy utracili nadzieję. Zamiast bezsensownych prób ugłaskania władzy, zamiast bronić chciwych bankierów i żądnych władzy biurokratów i popierać ich machlojki, powinniśmy głośno i wyraźnie zaprotestować, dać jednoznacznie wyraz goryczy i przerażenia. Dotarliśmy do punktu, w którym jedynie najbardziej dramatyczny, ostateczny gest ma jeszcze szansę, że zostanie zauważony, że przemówi do sumień zaślepionych, zahipnotyzowanych tłumów".

I powiedział: "Setki, tak, tysiące intelektualistów powinny zrobić to, co zrobili Virginia Woolf, Ernst Toller, Stefan Zweig, Jan Masaryk. Fala samobójstw, których ofiarą padłyby najznakomitsze, najsłynniejsze osobistości, obudziłyby z letargu narody, by wreszcie pojęły śmiertelną powagę tej opętającej choroby, która człowiek sprowadził na siebie przez własną głupotę i egoizm".

I powiedział głosem, w którym nie było już tyle pewności: "Powinniśmy oddać się absolutnej rozpaczy. Jedynie to byłoby uczciwe i tylko to mogłoby pomóc".

Po krótkim milczeniu ze słabym, nieśmiałym uśmiechem rozjaśniającym jego młodą, zamysłoną twarz dodał: "Pamięta pan, co powi dział wielki Kierkegaard? Bezgraniczna rezygnacja to ostatni stopień ku wierze, kto tego nie osiągnie, nie może jej osiągnąć. Stąd ta możliwość, możliwość wiary jeszcze w tym życiu, ale dzięki absurdowi, nie dzięki ludzkiemu rozumowi".

/1949/

Klaus Mann (1906-1949) popełnił samobójstwo skrótko po napisaniu tego dramatycznego apelu. Polacy znawcy twórczości autora "Mefista" rzadko piszą o politycznych powodach tego czynu, a niektórzy je wręcz negują. Publikowany tekst nigdy nie ukazał się w polskim tłumaczeniu. Cenzura zapewne nie zezwoliłaby na druk, a reszta autocenzura naszych redaktorów okazała się dość skuteczną, by nie dało się tego dotąd wypróbować. Sędzia do napisania tego tekstu dostarczył m.in. słynny Kongres Pokoju we Wrocławiu, którego przebiegiem Klaus Mann był przereżony.

Od Redakcji	3
Milan Kundera Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej . . . . .	4
Timothy Garton Ash Czy istnieje Europa Środkowa? . . . . .	19
Andrzej Drawicz Małe, piękne i niejasne . . . . .	42
Jacek Bałuch Idea "środk" a tożsamość czeskiej kultury . . . . .	44
Nie mówcie: Europa Rozmowa z Leszkiem Szarugą . . . . .	54
Redaktor Nowa wspólnota, komunikacyjna . . . . .	66
Richard Wagner Między braćmi. Rejestr wschodnioeuropejskich nienawiści . . . . .	60
Vilem Hejl Kwestia czeska a polska alternatywa . . . . .	68
Komunizm to cała moja młodość Rozmowa z Antoninem Liehmem . . . . .	81
Polityka to coś, co przychodzi do ciebie do domu Rozmowa z György Konradem . . . . .	91
Kadaryzm nie jest drogą ku demokracji Rozmowa z Miklosem Haraszti . . . . .	99
Narodziny i śmierć w Rumunii . . . . .	104
Siegfried Heinrichs Wygnanie albo szkice z pewnego socjalistycznego więzienia . . . . .	115
Klaus Mann Nawiedzenie europejskiego ducha . . . . .	141

Numer oddano do druku 1 września 1987.

**PRAWY  
MARGINES**